

HAJMDAL

TOM 4

WIEŻY KRWI

DARIUSZ
DOMAGALSKI

DARIUSZ
DOMAGALSKI

HAJMDAL
TOM 4
WIĘZY KRWI



Warszawa 2020

Copyright © by Dariusz Domagalski
All rights reserved

Copyright © by Drageus Publishing House Sp. z o.o.,
Warszawa

Projekt okładki: Tomasz Maroński
Redakcja: Rafał Dębski
Korekta: Agnieszka Pawlikowska
Skład i łamanie: Karolina Kaiser
Opracowanie e-wydania: **mobi**sfera

Książka ani żadna jej część nie może być kopiowana w urządzeniach przetwarzania danych ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Utwór niniejszy jest dziełem fikcyjnym i stanowi produkt wyobraźni Autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Wydawca:
Drageus Publishing House Sp. z o.o.
ul. Kopernika 5/L6
00-367 Warszawa
e-mail: drageus@drageus.com
www.drageus.com

ISBN EPUB: 978-83-66375-27-7
ISBN MOBI: 978-83-66375-28-4

SYSTEM TAU CETI USHAKIJSKI FRACHTOWIEC „QUASIMODO”

Ekran wizualny rozbłysnął. Eksplozja miała miejsce sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od frachtowca, ale Drafn Obrim instynktownie zmrużył oczy i głębiej wbił się w kapitański fotel jakby w obawie, że wybuch rozerwie go na strzępy. Wyglądało na to, że wszechświat oszalał.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – wyszeptał do siebie, ale na tyle głośno, że komunikator wychwycił jego słowa, przetłumaczył i posłał na wszystkie stanowiska. Mężczyzna zmarszczył brwi, widząc, że członkowie obsady mostka spoglądają na niego wyczekująco. Dwoje Arya, jeden Khambalczyk i Zethoneanin oczekiwali rozkazów.

Drafn Obrim od dziesięciu standardowych lat regularnie kursował do systemu Tau Ceti, przewożąc monokryształy krzemu, zawsze na tym samym zdezelowanym frachtowcu, należącym do ushakijskiego armatora. Najpierw służył jako nawigator, potem pierwszy oficer, aż wreszcie został kapitanem.

Statek był jednym z najbrzydszych, jakie widział w swoim życiu. Nieforemny kolos, z poobijanym kadłubem, odpadającą farbą i licznymi wypustkami czujników, które dla zaoszczędzenia miejsca ładunkowego umieszczono na zewnątrz. Ushakijskiej nazwy frachtowca nie potrafił wymówić, więc po objęciu dowodzenia nazwał go po swojemu. Ze względu na brzydotę ochrzcił go imieniem bohatera książki, której nigdy nie czytał, ale ktoś mu ją kiedyś opowiedział. To była historia szkaradnego dzwonnika z katedry Notre-Dame. Miał olbrzymią głowę z postrzępionymi rudymi włosami, jedno oko malutkie, drugie przykryte brodawką, krzywe zęby, rozdwojony podbródek, ogromne stopy i ręce, a także garb wyrastający między łopatkami. Ale pomimo swojej pokraczności dzwonnik był niezwykle silny, sprawny i pocziwy. Zupełnie jak ten statek.

„Quasimodo” wyszedł z nadprzestrzeni na obrzeżach układu Tau Ceti, przedarł się przez masywny sferyczny dysk materii, gdzie umieszczono liczne stacje, porty przeładunkowe, orbitalne magazyny, i poleciał dalej w głąb systemu. Towary zazwyczaj wyładowywano w zewnętrznych bazach i dalej transportowane były promami wewnątrzukładowymi. Velmeni zazdrośnie strzegli swojej prywatności i tylko nieliczne frachtowce lądowały na ich planetach. „Quasimodo” także do nich należał.

Drafn Obrim do końca nie wiedział, czemu on i jego statek dostąpili tego zaszczytu. Może to była kwestia kontraktu z armatorem? Może przewożonego towaru, który był niezbędny do funkcjonowania Velmenów? A może przez te wszystkie lata zdobył sobie ich zaufanie? W to ostatnie akurat trudno było uwierzyć. W każdym razie miał

to szczęście i widział na własne oczy całe globy pokryte infrastrukturą miejską, metalowe wieże sięgające chmur, wielopoziomowe arterie, po których mknęły pojazdy, dryfujące w powietrzu osiedla i technokratyczne świątynie, w których dokonywano cybernetycznych modyfikacji.

Mężczyzna podziwiał Velmenów za porządek i skrupulatność. Wszystko u nich funkcjonowało idealnie, znajdowało się pod pełną kontrolą, perfekcyjnie dopracowane, z pedantyczną wręcz dbałością. Tym razem jednak w systemie Tau Ceti panował chaos.

Kolejny wybuch rozświetlił ekran. Pierwszy oficer, podobny do ptaka Khambalczyk, coś zaskrzeczał, ale Obrim nic nie zrozumiał, bo translator odmówił współpracy. Widocznie jego załogant użył dialektu, z którym urządzenie sobie nie poradziło. Kapitan zrobił zrzut z lidaru na swój osobisty terminal. Z trudem przełknął ślinę.

Na trójwymiarowym wyświetlaczu ujrzał tysiące czerwonych punktów, a każdy z nich reprezentował jednostkę wojenną. Na początku pomyślał, że Velmeni koncentrują wszystkie swoje siły, zbierają armadę do kolejnej inwazji albo szykują się do wojny. Ale ku jego zdumieniu okazało się, że walczą pomiędzy sobą.

– Zabierz nas stąd! – krzyknął do sternika. Szczupły Arya skinął głową, na której zamiast włosów miał podłużne chrząstki zrosnięte z czaszką, i pochylił się nad panelem sterowniczym. Nawrót tak olbrzymim statkiem trwał dosłownie wieki, ale wreszcie frachtowiec pognał z powrotem w stronę obrzeży układu, gdzie mógł dokonać bezpiecznego skoku w nadświetlną.

– Koordynaty? – zapytał drugi Arya, pełniący funkcję oficera nawigacyjnego.

– Do najbliższego układu gwiazdowego!

Kapitan Obrim spojrział na odczyty. Napęd pozostawał nadal rozgrzany i wystarczyło przetrwać trzynaście minut, żeby wydostać się z tego piekła. Jednak trzynaście minut to podczas kosmicznej bitwy wieczność.

Ekran wizualny pokazywał teraz obraz z kamer rufowych. Walka toczyła się tysiące kilometrów dalej, ale zbliżenia sprawiały wrażenie, jakby wszystko było na wyciągnięcie ręki. Najbliżej „Quasimoda” znajdowała się grupa krążowników, którą wściekle atakowała wataha złożona z setki mniejszych okrętów. Wśród nich znajdowały się niszczyciele, korwety, fregaty i kutry torpedowe. Wystrzeliły rakiety. Pierwsza fala dotarła w zasięg systemów obrony bezpośredniej krążowników i większość straciła namiary. Reszta została zestrzelona przez sprzężony ogień dział laserowych bliskiego zasięgu. Kolejna fala rakiet była już skuteczniejsza. Przestrzeń rozbłysła. Dwa okręty przestały istnieć, cztery inne zmieniły się we wraki, za którymi ciągnęły się chmury skryształizowanego powietrza.

Dopiero teraz krążowniki otworzyły ogień. Wiązki laserowe bez problemu przebijały słabe osłony energetyczne małych jednostek. Okręty próbowały uników, ale

niewiele to dawało. Połowa nacierającej floty została zniszczona, reszta rozproszyła się, ścigana przez rakiety przeciwników.

Trzysta tysięcy kilometrów dalej, w okolicach jednej z lodowych planet, trwał pojedynek okrętów liniowych. Toczyło go ponad dwieście jednostek, uformowanych w dwie ściany. Zwrócone do siebie pancerniki i ciężkie krążowniki pluły ogniem, a przestrzeń wokół nich gotowała się od wybuchów i krzyżujących się promieni. Obie strony używały warstwowej osłony energetycznej, zintegrowanych dział obrony bezpośredniej i zgranych fal antyrakiet. Tylko velmeńskie jednostki potrafiły tak ze sobą współpracować.

Lidar wskazywał, że bitwa toczy się w całym układzie Tau Ceti. Składała się z dziesiątek mniejszych i większych starć, a zaangażowanych w nią było tysiące velmeńskich jednostek. Wyglądało to na wojnę domową.

– Do granicy wejścia w nadświatlną pozostały dwie minuty – poinformował Khambalczyk. Tym razem translator prawidłowo przetłumaczył jego słowa. Obrim odetchnął z ulgą. Wszystko wskazywało na to, że uda im się uciec.

Wtem na lidarze pojawiły się nowe odczyty. Cztery wielkie obiekty pojawiły się nagle siedemnaście tysięcy kilometrów od bakburty „Quasimoda”. Musiały dopiero co wyjść z nadświatlnej. Frachtowiec nie dysponował technologią pozwalającą zidentyfikować klasę okrętów po sygnaturze silników, ale kapitan wiedział, z czym ma do czynienia. Z trudem przełknął ślinę. Zbliżenie z kamer potwierdziło jego obawy – to były velmeńskie lotniskowce.

Przestrzeń zaroiała się od myśliwców. Większość pognęła w stronę centrum układu planetarnego przyłączyć się do bitwy, ale jedna eskadra ruszyła na „Quasimoda”.

– Trzydzieści sekund do wejścia w nadświatlną – zakomunikował pierwszy oficer.

W stronę frachtowca poleciała chmura pocisków.

Czoło kapitana zrosił zimny pot. „Quasimodo” był statkiem handlowym i nie posiadał żadnych aktywnych systemów obrony antyrakietowej ani ECM. Nic nie można było zrobić. Komputer pokładowy obliczył już, za jaki czas rakiety dotrą do celu, ale Drafn Obrim wolał nie patrzeć. Czy „Quasimodo” zdąży wejść w nadświatlną? Wiedział, że będzie blisko. Sekunda w jedną lub w drugą stronę mogła zaważyć na ich życiu. Przymknął powieki.

Czekał.

SYSTEM CHI AURIGAE

OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”

Alarm wył niemiłosiernie, ogłaszając wszem wobec, że na okręcie panuje czwarty stopień pogotowia bojowego. Światła pulsowały gniewną czerwienią, cała załoga drednota została postawiona na nogi, na korytarzach panował wzmożony ruch.

Oficerowie floty, odsypiający nocną wachtę, zrywali się z koi, w pośpiechu wciskali w niebieskie mundury i pędzili na mostek. Piloci myśliwców, grający w kantynie w Mintaka, natychmiast rzucili karty, które upadły na stół obok malej fortuny, uformowanej ze stosu żetonów, i ruszyli na pokład hangarowy, gdzie technicy już szykowali maszyny do startu. Żołnierze z wojsk rozpoznawczych, którzy po powrocie z misji zwiadowczej na spalonej słońcem planecie krążącej najbliżej błękitnego nadolbrzyna, siedzieli w stołówce, jedząc spóźnione śniadanie, zerwali się, zostawili niedokończony posiłek i pobiegli na miejsce zbiórki.

W tym czasie na stanowiskach artyleryjskich po kolei uruchamiały się odpowiednie procedury. Systemy uzbrojenia jedne po drugich budziły się do życia, rozwarły się furty wyrzutni rakiet, na lśniących nowością pociskach nuklearnych zamigotały kontrolki uzbrojenia, na torpedach plazmowych komputer usunął zabezpieczenia. Wszystkie rezerwy mocy skierowano do dział laserowych, wystrzelono aktywne systemy obrony bezpośredniej, które w postaci niewielkich sond zaczęły krążyć wokół potężnego kadłuba okrętu. Ekipy naprawcze i medyczne w napięciu oczekiwały na pierwsze komunikaty dotyczące zniszczeń i ofiar w ludziach.

Jednak na pokładach „Hajmdala” nie sposób było dostrzec najmniejszych oznak paniki. Pomimo tego, że okręt został wprowadzony do służby zaledwie rok temu, brał już udział w kilku bitwach, załoga dawno miała za sobą chrzest bojowy. Ludzie nabrali doświadczenia i doskonale wiedzieli, co mają robić.

Nikt się nie wahał, nikt nie podważał rozkazów. Ten etap mieli już za sobą. Po buncie i bratobójczej walce zostało tylko mgliste wspomnienie, skaza przeszłości, wstydlivy temat, do którego nikt nie wracał. Teraz ludzie gotowi byli wspólnie stawić czoło nadciągającemu niebezpieczeństwu.

Alarm zamilkł, jednak cisza napawała jeszcze większą grozą. W ludzkie serca wkradł się strach i powoli pełzył w górę, ściskając za gardła. Członkowie załogi nauczyli się panować nad emocjami, chowali je za maską zimnego profesjonalizmu, ale nie mogli zupełnie się odciąć od pierwotnego lęku, mającego źródło w instynkcie przetrwania.

Ich strach potęgowała niepewność. Nie wiedzieli, z czym mają do czynienia.

Niektórzy spoglądali przed siebie, marszcząc czoło, jakby w nadziei, że uda im się

wzrokiem przebić stalowe ściany okrętu i dostrzec w przestrzeni kosmicznej zbliżającego się wroga, inni przymykali oczy i wyteżali słuch, próbując wychwycić dudnienie pocisków uderzających o pancierz drednota, trzask łamanego kadłuba, okrutny świst lasera przenikającego poszycie, wybuchy i krzyki umierających. Ale przede wszystkim pragnęli usłyszeć komunikat, że to tylko ćwiczenia i mogą już wrócić do kwater.

– To nie są ćwiczenia – w głośnikach rozległ się metaliczny głos komandora Abrama Petersa.

Nathaniel Kashtaritu zważym krokiem wkroczył na mostek. Dowódca okrętu miał na sobie śnieżnobiały mundur, przynależny najwyższym rangą oficerom terrańskiej floty, z admirałskimi szarżami na pagonach, jednak bez medali i odznaczeń. Nie dlatego, że nie zasługiwał na wyróżnienia, wręcz przeciwnie. Admirał w ciągu ponadtrzydziestoletniej służby wojskowej wielokrotnie wykazywał się męstwem, a także przeprowadzał genialne manewry taktyczne. Podczas wojen Kopców, w słynnej bitwie o Deneb, jego okręt zdołał zniszczyć czternaście jednostek Czerwono-Żółtych, przechylając szalę zwycięstwa na stronę Niebiesko-Czarnych. Nemalahowie jednak go nie nagrodzili. Nie przywiązywali wagi do indywidualnych zasług. U nich zwycięstwa odnosił cały Kopic.

– Co się dzieje, pierwszy? – zapytał Kashtaritu. Na jego poranej bruzdami twarzy malował się niepokój.

Abram Peters natychmiast zerwał się z fotela dowódcy i ustąpił mu miejsca.

– Sam zobacz.

Admirał usiadł z ciężkim westchnieniem i powiódł spojrzeniem po mostku. Podczas buntu generała Ae-Hwa pomieszczenie zostało całkowicie strawione przez ogień i potrzebny był kapitalny remont. Wykonano go w bahiriańskiej stoczni, ale cesarscy inżynierowie nie dysponowali takim potencjałem technologicznym jak Togarianie i nie udało im się w pełni odtworzyć całego wyposażenia. Mostek dowodzenia zagracały mniej wydajne, choć olbrzymie konsole z przewodami wyprowadzonymi na zewnątrz. Estetycznie pomieszczenie wyglądało koszmarnie, ale funkcjonowało bez zarzutu. Problemem stała się za to ograniczona przestrzeń.

Po remoncie mieściło się tutaj zaledwie dwunastu oficerów. Stali za konsolami w niebieskich mundurach ze złotymi lampasami. Na głowach nosili stożkowate czapki z granatowymi otokami. Wszyscy z niepokojem przeglądali informacje nawigacyjne, dane techniczne okrętu i odczyty z sensorów, migoczące na trójwymiarowych wyświetlaczach. Kashtaritu przeniósł spojrzenie na ekran wizualny.

Po opuszczeniu granic Cesarstwa Bahiriańskiego od dwóch miesięcy podróżowali przez terytoria niczyje. W systemie Chi Aurigae przebywali od tygodnia, uzupełniając zapasy. Okręt poruszał się na silnikach manewrowych od jednego świata do drugiego w poszukiwaniu niezbędnych zasobów.

Planeta, do której właśnie zbliżał się „Hajmdal”, miała być ostatnim przystankiem przed dalszą podróżą. Znajdowała się w centralnym sektorze układu gwiazdowego i obiegała błękitnego olbrzyma po idealnie kołowej orbicie. Posiadała biało-zieloną barwę i otoczona była dwoma pierścieniami pyłowymi, jednym ciągnącym się wzdłuż równika, drugim nachylonym do pierwszego pod kątem czterdziestu pięciu stopni. W blasku promieni słonecznych pierścienie lśniły srebrzyście. Ich widok zapierał dech w piersiach, ale to nie był odpowiedni czas na ich podziwianie. Coś zbliżało się w stronę „Hajmdala”.

Nathaniel Kashtaritu naliczył dziewięć obiektów, nadciągających z zewnętrznych rejonów systemu. Znajdowały się w odległości ponad dwustu tysięcy kilometrów, ale kamery zamontowane na kadłubie okrętu zrobiły zbliżenie. Admirał zmarszczył brwi, gdy uświadomił sobie, z czym mają do czynienia.

To były asteroidy.

Większość planetoid miała w zwyczaju poruszać się w „stadzie” po wyznaczonych torach, obiegając gwiazdę centralną. Ale zdarzało się, że niektóre wytracone z orbit samotnie mknęły ku słońcu, aż spłonęły w jego trzewiach. Chyba że wcześniej zostały przechwycone przez pole grawitacyjne jakiegoś wielkiego ciała niebieskiego i wówczas weń uderzały, czyniąc mniejsze lub większe spustoszenie. Jednak te, które obserwował Kashtaritu, zaprzeczały odwiecznym prawom fizyki. Zignorowały biało-zieloną planetę i pędziły wprost na drednota.

Admirał pobladł, kiedy dotarło do niego, co to oznacza.

– Luusaat – wyszeptał.

– Bez wątpienia – zgodził się Peters.

– Co oni tu robią?

Komandor bezradnie wzruszył ramionami.

Roje Luusaat regularnie najeżdżały systemy gwiazdne na pograniczu Imperium Teegardeańskiego, sporadycznie pojawiały się też na terytoriach Lacertan i Ardhanari, ale nigdy nie widziano ich po tej stronie Galaktyki.

Luusaat nie posiadali własnych układów planetarnych, prowadzili wędrowny tryb życia. Latali w rojach zrzeszających od stu do trzystu okrętów-asteroid. Potrafili przystosować planetoidy do podróży międzygwiazdnych. Drażyli w nich tunele i komnaty, gdzie znajdowały się ich leża. Pogrążeni w letargu przesypiali setki, a nawet tysiące lat, dryfując w kosmicznej pustce.

Po przebudzeniu kierowali okręty ku zamieszkałym systemom gwiazdowym, poruszając się na słonecznych żaglach. Gazy odparowywane z powierzchni asteroid służyły jako stery strumieniowe. Brak sygnatur silników manewrowych i naturalne kadłuby emitujące mało promieniowania podczerwonego sprawiały, że jednostki Luusaat były praktycznie niewykrywalne dla teledetekcji. Wizualne obserwacje też na niewiele się zdawały, bo z zewnątrz okręty wyglądały jak zwykłe skały.

O inwazji dowiadywano się zazwyczaj zbyt późno, gdy asteroidy z hukiem przedzierały się przez atmosferę planety. Zaraz po wylądowaniu Luusaat wypełzali z tuneli i rozpoczynali krwawe polowanie.

Niezwykle szybcy i silni, uchodzili za doskonałych drapieżców. Ale w przeciwieństwie do zwierząt polowali również dla przyjemności. Byli okrutni i bezwzględni. Żywili się krwią innych istot, traktując je jak bydło. Zaspokoiwszy pragnienie i żądę zabijania, wracali na okręty i pogrążali się w rytualnym śnie. Wówczas najłatwiej było ich dopaść. Należało odnaleźć ich leża i spalić morderców żywym ogniem. W innym wypadku Luusaat budzili się i rozpoczynali łowy od nowa, do czasu aż na planecie nie pozostawała choćby jedna żywa istota. A potem odlatywali szukać nowych ofiar i nowych źerowisk.

– To zwiadowcy – stwierdził komandor Peters, ponuro spoglądając na ekran. – Reszta roju pewnie czeka na obrzeżach układu.

Nathaniel Kashtaritu skinął głową, w pełni zgadzając się z zastępcą. Awangarda Luusaat przeprowadzała rozpoznanie, starając się ustalić, z jakimi siłami wroga przyjdzie im się zmierzyć.

Obcy mieli dużo szczęścia i wychodziło na to, że znaleźli idealny teren do łowów. System Chi Aurigae zamieszkiwany był tylko przez trzy rozumne gatunki, ale żaden z nich nie opanował jeszcze technologii lotów kosmicznych. Najbardziej rozwinięta cywilizacja, która zamieszkiwała planetę widoczną na ekranie wizualnym, znajdowała się dopiero w epoce odpowiadającej ziemskiemu średniowieczu. Tak przynajmniej wynikało z danych komputera pokładowego opracowanych na podstawie informacji bahiriańskich podróżników, którzy dotarli do tych rejonów Drogi Mlecznej.

– Bez trudu możemy ich wymanewrować, rozgrzać silniki nadświatłne i uciec – oświadczył Peters. – Zebraliśmy wystarczająco dużo zasobów. Nic już nas nie trzyma w tym systemie...

Zamilkł, widząc minę admirala.

– Z jak dużym rojem mamy do czynienia? – Kashtaritu zwrócił się do chorąży Gladys Gaumaty. Kobieta, obsługująca stanowisko teledetekcji, ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w dane spływające z czujników.

Z rezygnacją pokręciła głową.

– Lidar i sensory optyczne wskazują na duże skupisko planetoid na skraju systemu, ale nie jesteśmy w stanie stwierdzić, które są zwykłymi asteroidami, a które okrętami Luusaat.

Nathaniel Kashtaritu westchnął ciężko. Wrogie jednostki nieubłaganie zbliżały się do „Hajmdala”. Na ekranie dokładnie było widać ich nieregularne kształty, kratery powstałe wskutek licznych kolizji i ciągnące się ogony, utworzone z odparowywanych gazów.

– To nie może być jakiś wielki rój – odezwał się podporucznik Tycho Brahe.

Postawny brunet o nieprzeniknionym spojrzeniu bursztynowych oczu zastąpił na stanowisku taktycznym porucznika Chonga, który zginął podczas buntu. Gladys Gaumata wciąż nie mogła się z tym pogodzić, zdarzało się, że spoglądała na nowego oficera z mieszanką smutku i złości.

– Wyjaśnijcie to, poruczniku? – Kashtaritu obrócił fotel w jego stronę.

Mężczyzna nerwowo przełknął ślinę, nieco zdeprimowany tym, że zwrócił na siebie uwagę admirała.

– Przez siedem standardowych lat służyłem w teegardeańskiej flocie pogranicza i niejednokrotnie miałem do czynienia z Luusaat. Na podstawie liczby jednostek wysłanych w awangardzie można określić wielkość roju. To wynika z proporcji...

– Ile?

– Najwyżej sto dwadzieścia okrętów.

Admirał pokiwał głową i na powrót wbił wzrok w ekran.

– Nathanielu – zwrócił się do niego Peters, który dobrze znał swojego przyjaciela i wiedział, co mu teraz chodzi po głowie – powinniśmy jak najszybciej opuścić system. Nic nie jesteśmy w stanie zrobić dla mieszkańców tej planety. Nie poradzimy sobie z całym rojem.

Kashtaritu zmrużył oczy.

– To prawda – odparł. – Z całym rojem sobie nie poradzimy. Ale jeśli zniszczymy zwiadowców, reszta Luusaat może uznać, że system jest silnie broniony i nie warto go atakować.

– Luusaat są głodni. Nie odpuszczają.

– Według danych, jakie posiadamy, na planecie są dwa miliardy istot – rzekł twardo admirał, wskazując biało-zielony glob. – Nie możemy ich tak zostawić.

Peters westchnął ciężko. Właśnie takiej odpowiedzi spodziewał się po swoim przyjaciolem.

– Kurs przechwytyjący! – rozkazał admirał.

* * *

Gdy na pokładzie „Hajmdala” rozległ się alarm, Ezra Leahy właśnie skończył trening na siłowni, na której codziennie spędzał przynajmniej godzinę. Zdążył wziąć prysznic i stojąc nago przed lustrem, spoglądał na swoje odbicie. W niczym już nie przypominał tego chudego chłopaka, który trzynaście miesięcy temu wstępował do terrańskich sił zbrojnych. Wówczas głowę miał wypełnioną mrzonkami o kosmicznych bitwach, brawurowych abordażach na okręty wroga i desantach na egzotycznych planetach. Marzył o bohaterskich czynach i wierzył w zjednoczenie rasy

ludzkiej. Był nieopierzony, naiwny i beznadziejnie zakochany w Abigail Torres.

Teraz w lustrze widział postawnego, umięśnionego mężczyznę o szczeciniastym zarostie i zimnych niebieskich oczach. Ezra Leahy przez ten krótki czas zdążył nabrać doświadczenia, zdobyć szacunek żołnierzy i oficerów, objąć dowodzenie nad plutonem, a miesiąc temu awansować na sierżanta. Uśmiechnął się pod nosem. Nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie miał ten sam stopień co Seth Campbell, który był jego pierwszym dowódcą.

Ale nie tylko to mu się udało.

Ezra uśmiechnął się na wspomnienie Abigail. Zdobył kobietę, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia – piękność o miodowych oczach, burzy czarnych włosów i posągowych ustach. Na początku wydawało się, że jest dla niego równie niedostępna co odległa galaktyka. Traktowała go jak przyjaciela, on natomiast czuł do niej coś więcej.

Stracił nadzieję, gdy Abigail związała się z dowódcą eskadry myśliwców. Leahy nie mógł konkurować z przystojnym, charyzmatycznym pilotem. Jednak Uriah Nelson poległ podczas bitwy w systemie Epsilon Eridani. Potym wydarzeniu Torres przez kilka miesięcy nie była sobą. Na początku nie mogła uwierzyć w śmierć ukochanego, chwytła się każdej nadziei, ale przyszedł czas, gdy wreszcie musiała zaakceptować oczywiste i pozwolić sobie na żalobę.

W tamtym okresie Ezra odsunął się od niej. Nie wiedział, jak ma się zachować. Miotał się, gdyż nie umiał jej pomóc. Ich relacje popsuły się i obawiał się, że na zawsze ją utracił. Związał się z kimś innym. Potrzebował bliskości, kogoś u boku. Ale Sandra to nie była Abigail. Gdy dowiedział się, że stanęła po stronie buntowników i uciekła z „Hajmdala”, poczuł tylko ukłucie żalu. Żadnej rozpacz.

Teraz Sandra należała już do przeszłości. Jedynie od czasu do czasu Leahy zastanawiał się, co się z nią dzieje. Czy nadal przebywała w Dominium Hatysa, ciesząc się azylem Togarian? Czy może wyruszyła na poszukiwanie matki? Tajemniczej kobiety, określanej mianem mistrzyni, która tak dalece poddała się technologicznym modyfikacjom, że straciła człowieczeństwo i teraz służyła Velmenom. Jeśli Sandra zdecydowała się ją odszukać, groziło jej poważne niebezpieczeństwo. Leahy jednak nic nie mógł na to poradzić. Dzieliły ich tysiące lat świetlnych. I nie tylko sama odległość.

Z każdym kolejnym miesiącem coraz rzadziej myślał o dawnej kochance i jej los coraz mniej go obchodził. Podejrzewał, że niedługo zupełnie zniknie z jego myśli i pozostaną po niej blade wspomnienia. Teraz jedyną kobietą w jego życiu była Abigail.

Ezra promieniał radością. Był szczęśliwie zakochany, jego pluton uchodził za najlepszy oddział w wojskach rozpoznawczych, wyremontowany „Hajmdal” kontynuował podróż, a ludzie na pokładzie wreszcie zapomnieli o buncie i znowu zaczęli sobie ufać. Wyglądało na to, że wszystko się układa.

– Co, do diabła?!

Uśmiech natychmiast zgasł na jego ustach, gdy usłyszał wycie alarmu. Wciągnął bieliznę i spodnie, wzuł buty. Wypadł z sali rekreacyjnej niczym pocisk wystrzelony z peruna i pędem ruszył na miejsce zbiórki pierwszej kompanii. Znajdowało się w zbrojowni numer sześć, na drugim krańcu pokładu, więc miał spory dystans do pokonania, a chciał dotrzeć jako jeden z pierwszych. W biegu nałożył wojskową bluzę w kolorze khaki i dopiął guziki.

Spodziewał się tłumu na korytarzach, lecz było pusto. Na początku zdziwił się, że nie musi się przepychać, brnąć przez ludzką masę zdążającą na stanowiska bojowe, torować sobie drogi łokciami i wysłuchiwać przekleństw. Potem uświadomił sobie, jak wielu członków załogi zginęło w ciągu roku. Obecnie stan osobowy „Hajmdala” wynosił niecałe dwa tysiące ludzi, co stanowiło zaledwie dwie trzecie podstawowego personelu. Oznaczało to więcej przestrzeni, ale także dłuższe wachty i mniej wolnego czasu.

Ezra nie pamiętał, kiedy po raz ostatni podziwiał gwiazdy na pokładzie widokowym, na który tak lubił przychodzić z Abigail. Mógłby przysiąc, że było to przed dwoma tygodniami, ale równie dobrze mogły minąć dwa miesiące. Stracił rachubę.

Każdy dzień na pokładzie drednota wyglądał podobnie – pobudka i poranna zaprawa dla całej kompanii, potem czas na indywidualne zajęcia, który Ezra spędzał na siłowni. Następnie śniadanie i odprawa dowódców plutonów. Treningi na strzelnicy i na symulatorach wypełniały czas do obiadu, a potem czyszczenie broni, konserwacja ekwipunku oraz zajęcia teoretyczne, na których większość żołnierzy przysypiała. Wkurzało to oficerów sztabowych, omawiających błędy, jakie zwiadowcy popełnili podczas ćwiczeń w symulatorach, ale nikt się nimi nie przejmował, bo żaden z tych teoretyków nigdy nie postawił nogi na polu bitwy. Campbell pewnego razu otwarcie im powiedział, gdzie mogą sobie wsadzić te wszystkie analizy, rachunki prawdopodobieństwa i dobre rady, które na nic się zdadzą w prawdziwej walce.

Dopiero po kolacji żołnierze mieli wolne. Część z nich uczestniczyła w dodatkowych zajęciach walki wręcz, inni spędzali czas na rozrywkach w salach rekreacyjnych, a Ezra i Abigail zamykali się w kajucie. Nie mieli już ochoty na długie spacery po pokładzie widokowym. Znaleźli sobie lepsze zajęcie. Seks.

I tak mijał dzień za dniem. Harmonogram zmieniał się, gdy „Hajmdal” docierał do jakiegoś systemu gwiazdowego. Wówczas plutony zwiadowców lądowały na planetach i księżycach układu. Tak też było w Chi Aurigae.

Leahy wraz z Plutonem 7 lądowali już trzykrotnie na globach tego systemu i wszystkie misje przebiegły gładko. Układ zamieszkały był przez prymitywne, przedkosmiczne cywilizacje. Ezra zastanawiał się, co w takim razie było przyczyną

alarmu.

Syreny wreszcie umilkły, ale pozostało pulsujące czerwone światło, wypełniające korytarze okrętu, światło złowieszcze i niepokojące. Ezra nienawidził go. Zawsze oznaczało kłopoty.

Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w prawo i zderzył się z Tobiasem Bishopem.

– Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia. – Leahy wzruszył ramionami. – Wiem tyle co i ty.

– Aha.

Dalej biegli razem.

Ezra zerknął na przyjaciela. Zazwyczaj uśmiechnięty i jowialny zwiadowca tym razem usta miał mocno zaciśnięte, czoło zachmurzone. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest w paskudnym nastroju. Bishop nawet w obliczu niebezpieczeństwa potrafił tryskać humorem i rzucać kiepskimi żartami, więc alarm nie był powodem jego złego samopoczucia. Leahy domyślał się, o co chodzi – o kobietę. Nie pomylił się. Zyskał pewność, gdy w zbrojowni ujrzał nadąsaną Miriam Funke.

Kobieta trafiła do wojsk rozpoznawczych z oddziałów szturmowych i na początku traktowała nowy przydział jako degradację. Szybko jednak przekonała się do zwiadowców, najpierw w Plutonie 1, a potem w Siódemce. Była opryskliwa, butna i zarozumiała, ale okazała się doskonałym żołnierzem. Rzetelnie wykonywała swoje obowiązki i świetnie radziła sobie w trudnych sytuacjach. Ezra cieszył się, że ma ją pod komendą. Problem stanowił jej związek z Bishopem.

Wszystkie pary przeżywają kryzysy, mają dobre i złe chwile, ale w przypadku tych dwojga drobne sprzeczki urastały do miana wojny. Potrafili kłócić się godzinami, a potem tyle samo czasu spędzać w koi, godząc się tak, że pół okrętu ich słyszało. Już cztery razy się rozstawali i do siebie wracali. Leahy obawiał się, że podczas akcji może to zaważyć na losach plutonu, i poważnie zastanawiał się nad przeniesieniem Funke do innego oddziału. Ale wówczas uczciwość nakazywałaby przenieść również Abigail.

Jeszcze rok temu związki w szeregach jednego oddziału były niedopuszczalne i groziły za to poważne konsekwencje. Obecnie jednak, ze względu na braki kadrowe, dowództwo podchodziło do tego o wiele mniej restrykcyjnie. Wszystko zależało od dowódcy. A Ezra nie chciał rozbijać dobrze funkcjonującego zespołu. Siódemka cieszyła się sławą elitarnego oddziału.

Do Plutonu 7 należeli również ciemnowłosey Tirah Gonzalez, który emanował flegmatycznym spokojem, i Ivar Björk, stanowiący jego dokładne przeciwieństwo. Ivar był porywczy, impulsywny, wybuchowy i na początku miał problemy z dyscypliną. Leahy musiał go przytemperować.

Gonzalez i Björk dotarli do zbrojowni w tym samym czasie co Ezra i Bishop. Ostatnia pojawiła się Torres z gniewnym grymasem na ustach i mokrymi włosami.

Alarm złapał ją pod prysznicem. Leahy rozmarzył się o jej nagim ciele, wodzie spływającej po delikatnej skórze, kształtnych piersiach i mocnych udach. Zapragnął jej właśnie teraz, znowu, chociaż kochali się niecałe dwie godziny wcześniej.

Nagle uświadomił sobie, że rozmyśla o seksie z Abigail, gdy na okręcie panuje podwyższony stopień gotowości bojowej. Przywołał się do porządku. Skupił się na tu i teraz.

Dołączył do pozostałych, którzy w pośpiechu zakładali kamizelki taktyczne, ładowali broń, wciskali do ładownic magazynki i brali granaty błyskowe oraz hukowe. Nie wiedzieli jeszcze, z jakim zagrożeniem mają do czynienia, ale woleli być przygotowani na każdą ewentualność.

Ezra sięgnął po hełm i się rozejrzał. Cała pierwsza kompania była już w komplecie. Anthony Pike, dowódca plutonu 12, skinął mu oschle głową, ich spojrzenia się spotkały. Nie darzyli się sympatią. Pike uważał, że Campbell faworyzuje pluton 7 ze względu na to, że niegdyś nim dowodził. Miał jednak na tyle dużo instynktu samozachowawczego, żeby nigdy tego nie powiedzieć sierżantowi prosto w oczy. Marnie by się to dla niego skończyło.

Natomiast dowodząca plutonem 1 kapral Elektra Ramos posłała Leahy'emu miły uśmiech. Ta niska brunetka była ciepła, łagodna, wyrozumiała i trudno było uwierzyć, że potrafiła zdobyć posłuch pięciu facetów przewyższających ją o głowę.

Ramos chciała odezwać się do Ezry, ale dostrzegła utkwione w niej czujne spojrzenie Abigail i zrezygnowała. Jeszcze rok temu Leahy był niczym niewyróżniającym chudym młodzieńcem, obecnie zmężniał, zyskał pewność siebie i nagle zaczął budzić zainteresowanie kobiet. Torres doskonale o tym wiedziała.

Większość zwiadowców uporała się już ze sprzętem i zaczęli się nudzić. W oczekiwaniu na dalsze rozkazy dywagowali, co może być przyczyną alarmu.

– Zamknąć ryje! – ryknął żyłasty mężczyzna w średnim wieku z pooraną bruzdami twarzą. Miał na sobie pełny rynsztunek bojowy, przez ramię niedbale przewieszony karabin C-24, w ustach nieodłączne cygaro. Seth Campbell, pomimo awansu na starszego sierżanta i objęcia dowodzenia nad całą kompanią, nie zmienił swojego obcesowego zachowania.

Wszystkie rozmowy ucichły i zwiadowcy zamarli w oczekiwaniu.

– Pięć minut temu admirał wydał rozkaz o podwyższeniu gotowości bojowej do czwartego stopnia, a to oznacza, że szykujemy się do bitwy. Zgodnie z informacjami, jakie otrzymałem, istnieje zagrożenie wdarcia się sił nieprzyjaciela na pokład „Hajmdala”.

Na twarzach żołnierzy pojawił się niepokój. Próżno jednak było na nich szukać strachu bądź paniki. To byli doświadczeni ludzie, wykuci w ogniu walki.

– Działamy zgodnie z procedurą o numerze... – Sierżant skrzywił się i wymamrotał coś pod nosem. Biurokracja nigdy nie była jego mocną stroną. – Naszym zadaniem

jest obrona pokładu drugiego od sekcji czterdziestej ósmej do pięćdziesiątej szóstej. Dowódcy plutonów otrzymali szczegółowe instrukcje.

Ezra sięgnął do przenośnego urządzenia na nadgarstku i odczytał dane na hologramie. Siódemce przypadła obrona odcinka z centralnymi wymiennikami powietrza.

– Rozejść się! – rozkazał Campbell.

Nikt się nie ruszył.

– Czego?!

Wszyscy patrzyli po sobie.

– Sierzancie – odważył się odezwać Bishop – z czym mamy do czynienia?

– Z Luusaat.

– Wampiry! – jęknął Tobias.

– Zgadza się, szeregowy – warknął Seth Campbell. – Pierdolone wampiry.

SYSTEM ALMAAZ ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY

Dziewięciopokładowy kolos był bez wątpienia jedną z najbardziej luksusowych jednostek przemierzających gwiazdne szlaki. Zanim statek został przeznaczony do służby dyplomatycznej, kursował pomiędzy ardhanariańskimi planetami rozkoszy, przewożąc żądnych wrażeń turystów. Prom posiadał liczne sale rekreacyjne, bary ze stymulatorami, salony masażu, kabiny wirtualnej rzeczywistości i sekretne pokoje, w których można było zaspokoić najbardziej perwersyjne fantazje seksualne. Dwupłciowi Ardhanari specjalizowali się w wyszukanych doznaniach zmysłowych. Nie tylko w sferze erotycznej.

Tworzyli wspaniałe dzieła sztuki i architektoniczne cuda. Orbitujące księżycogrody zapierały dech w piersiach i budziły zazdrość nawet w Imperium Teegardeańskim, które uchodziło za cywilizacyjne i kulturalne centrum Galaktyki. Wznosili strzeliste pałace i regulowali przepływ rzek, wykorzystując do tego generowane pola grawitacyjne tak, że kaskady wodospadów stawały się urbanistycznym elementem ich miast.

Ardhanari kochali piękno, nic więc dziwnego, że doktor Sandra Thushpa bez najmniejszego problemu wkupiła się w ich łaski. Rhw'kho, pełniące obowiązki ambasadora w Dominium Hatysa, twierdziło, że to najpiękniejsza istota humanoidalna w całym kosmosie. Trudno było nie zgodzić się z tą opinią. Kobieta posiadała idealne ciało i symetryczne rysy. Wszystko to dzięki inżynierii genetycznej – została ukształtowana już w łonie matki.

Sandra dostojnie wkroczyła na pokład widokowy, ubrana w długą aksamitną suknię zmieniającą kolor od czystego błękitu poprzez szafir, lazur, intensywne indygo, aż po stonowany seledyn. A wszystkie te barwy zostały dobrane pod kolor jej oczu, przypominający morską toń. Po lewej stronie suknia miała długie rozcięcie, odsłaniające zgrabne udo. Buty na wysokim obcasie i fantazyjna fryzura dodawały szyku. Ostry makijaż w dominującej czerni i bieli upodabniał ją do Ardhanari.

Na pokładzie widokowym odbywał się właśnie bankiet. Sandra nawet nie wiedziała, z jakiej okazji, ale nie miało to żadnego znaczenia, bowiem na promie świętowano z byle powodu. Równe dobrze mogło chodzić o uczczenie jakiegoś androgenicznego bóstwa, przylotu do stolicy Cesarstwa Bahiriańskiego czy szczęśliwego wyjścia z nadświatlnej.

Na sali obecni byli przedstawiciele wielu gatunków. Statek tak naprawdę stanowił ruchomą ardhanariańską ambasadę w tym sektorze Galaktyki i rezydowali na nim różnej maści dyplomaci. Thushpa nie miała jednak ochoty na konwersacje.

Przepchnęła się przez tłum i stanęła przy olbrzymim iluminatorze. Westchnęła z wrażenia, obserwując zjawisko, które trzysta lat temu spędzało sen z powiek ziemskim astronomom.

W samym sercu systemu Almaaz znajdował się biały nadolbrzym, który na Ziemi został sklasyfikowany jako gwiazda zmienna zaćmieniowa, bo co dwadzieścia siedem lat jego jasność drastycznie spadała o połowę na mniej więcej dwa lata. Astronomowie zachodzili w głowę, co może być tego przyczyną. Na początku wiedzieli tylko, że jakiś tajemniczy obiekt orbitujący wokół gwiazdy powodował jej przygasanie. Nie mogła to być jednak żadna planeta, bo wówczas musiałaby być trzy tysiące razy większa od Słońca, a to było zwyczajnie niemożliwe. Ponadto w kulminacyjnym momencie zaćmienia jasność gwiazdy niespodziewanie wzrastała, co oznaczało, że nie mogło to być żadne znane ciało niebieskie.

To było w czasach, gdy ludzie spoglądali w nocne niebo, zastanawiając się, czy gdzieś tam, wśród jaśniejących punktów, istnieje w ogóle jakieś życie. W najśmielszych snach nie przypuszczali, że w Galaktyce spotkać można dziesiątki tysięcy inteligentnych gatunków, a pierwszy kontakt z obcą rasą okaże się jednocześnie ostatnim dla ludzkiej cywilizacji. Ziemia została zniszczona, ocaleli jedynie ci, którzy wówczas znajdowali się poza macierzystym globem. Ich potomkowie tułali się teraz po całej Galaktyce.

Sandra odsunęła od siebie ponure myśli i skupiła się na obserwacji wspaniałego widoku. Almaaz był układem podwójnym. Drugą gwiazdę otaczał olbrzymi dysk ciemnego pyłu i to wyjaśniało fenomen obserwacji astronomicznych. Obiekt był wystarczająco duży, żeby powodować zaćmienie, a jednocześnie luka wolna od pyłu przepuszczała światło, co powodowało zwiększenie jasności w kulminacyjnym punkcie zaćmienia.

Gwiazda, otoczona ciemnym, gęstym pyłem, przypominała torus i Sandra teraz już wiedziała, dlaczego Bahirianie uważają ten kształt za idealny, otaczają kultem i projektują na jego wzór swoje bazy kosmiczne i okręty. Stanowił symbol ich stolicy.

Thushpa uruchomiła urządzenie na nadgarstku. Pojawiła się holograficzna poświata wielkości dłoni. Kobieta przywołała dane dotyczące prędkości i trajektorii lotu promu oraz odległości do Nūshen – planety, na której rezydował cesarz. Szybko dokonała w głowie obliczeń i wyszło jej, że dotrą do celu za kilka standardowych godzin.

Westchnęła ciężko. Sandra była naukowcem i to nauczyło ją cierpliwości. Czekala wiele miesięcy, więc te parę godzin nie sprawi różnicy. Jednak teraz, gdy była tak blisko celu, czuła narastające napięcie.

Po tym, jak udało jej się uciec z „Hajmdala”, poprosiła o azyl w Dominium Hatysa. Na początku obawiała się, że Togarianie, rozdrażnieni tym, co stało się w układzie Jota Orionis, nie potraktują jej dobrze. Przecież na ich terytorium żołnierze terrańscy przeprowadzili nielegalną operację wojskową i porwali bahiriańskiego renegata, który

znajdował się pod ich protekcją. Sandra myliła się jednak, przypisując Togarianom typowo ludzkie emocje. Nie mieli do niej żadnych pretensji. Przyjęli ją bardzo serdecznie i nawet udzielili pomocy w poszukiwaniu matki.

Matka. To słowo zawsze wywoływało bolesne wspomnienia. Odeszła dawno temu, pozostawiając po sobie pustkę. A odeszła z egoistycznych pobudek, napędzana pragnieniem wiedzy, zafascynowana Velmenami, ruszyła na ich terytorium z misją badawczą, z której już nie wróciła. Nie obchodziła jej mała dziewczynka, która każdej nocy płakała z żalu i tęsknoty.

Wszyscy byli pewni, że dawno zginęła. Ale nie Sandra. Ona wierzyła, że kiedyś ją odnajdzie. Tyle że sama nie wiedziała, po co. Może chciałaby spojrzeć jej w oczy i zapytać, czy było warto? Może wykrzyczeć swój ból, opowiedzieć o samotności, potrzebie matczynej bliskości, której zabrakło w jej życiu? A może po to, żeby zrozumieć jej motywacje?

Ojciec zawsze powtarzał, że bardzo ją przypomina. Oprócz delikatnych rysów twarzy, oliwkowego odcienia skóry, koloru oczu i ciemnobrązowych włosów odziedziczyła po niej również cechy charakteru. Była pewna siebie, często arogancka i nieprzewidywalna. Tak samo jak matka potrafiła wszystko poświęcić w imię nauki, co odbijało się na relacjach z innymi ludźmi. Nie pozwalała sobie na emocje, wręcz od nich uciekała. Z matką łączyła ją również bezwzględność w dążeniu do celu. A teraz była już tak blisko jej odnalezienia, że wręcz namacalnie czuła obecność rodzicielki.

– Tego właśnie pragniesz?

Sandra drgnęła, słysząc melodyjny szept tuż przy uchu. Odwróciła się. Stała przed nią wysoka, humanoidalna istota, odziana w purpurową koronkową szatę, obszytą złotymi zdobieniami. Burza srebrnych włosów samoistnie falowała wokół niesamowicie pięknej twarzy. Podobna była do ludzkiej, lecz nieco szczuplejsza, o mocno wystających kościach policzkowych. Drobny nos, wąskie usta, ledwie zarysowane brwi i oczy emanujące niezwykłym blaskiem dopełniały obrazu całości.

Doktor Thushpa ukloniła się głęboko.

– Rhw'kho.

– Odpowiesz na moje pytanie?

Ardhanari nie musiało używać translatora. Nauczyło się ziemskiego języka, a podobne ludzkim struny głosowe sprawiały, że brzmiało jak człowiek.

Sandra skrzywiła się. Wiedziała, że przedstawiciele gatunku Ardhanari mają zdolności telepatyczne. Wprawdzie nie były silne i nie potrafili sondować myśli tak jak Rsi, ale kobieta i tak poczuła się niekomfortowo.

– Prosiłam, żebyś tego nie robiło.

Rhw'kho roześmiało się wdzięcznie.

– Wybacz – rzekło. – Twoje myśli są bardzo głośne. Niedługo ją spotkasz.

Skinęła głową. Dowiedziała się, że do systemu Almaaz z misją dyplomatyczną ma

przybyć velmeńska delegacja, której przewodzi mistrzyni.

Ardhanari wysmukłą dłonią sięgnęło twarzy Sandry i delikatnie pogładziło. Uwodzicielsko. Rozkoszny dreszcz przeszył całe ciało kobiety. Przymknęła powieki i poddała się pieśczości. Zaraz jednak otworzyła oczy i cofnęła się o krok.

– Nie – wyszeptała.

– Dlaczego? – W chabrowych oczach ambasadora pojawiło się zdumienie. – Twój towarzysze cały czas spędzają w salonach rozkoszy. Tobie też przydałoby się odprężenie.

Thushpa skrzywiła się na wspomnienie dwóch mężczyzn, z którymi podróżowała. Pierwszy z nich, Lasanto, był pilotem, którego owinęła sobie wokół palca. Zadurzony w niej młodzieniec porwał prom i pomógł jej wydostać się z „Hajmdala”. Drugim był Ghazan Zao – były szturmowiec, który po buncie musiał uciekać z drednota, bo pewnie zarobiłby kulę w łeb za swoje zbrodnie. Pierwszy ją drażnił, drugiego się bała.

Obaj postanowili jej towarzyszyć w poszukiwaniu matki. O ile jednak była w stanie zrozumieć motywację Lasanta, którego zresztą traktowała jak niechcianego pasożyta, o tyle nie mogła pojąć, jakimi pobudkami kierował się Czacha. Postanowiła jednak teraz nie zawracać sobie tym głowy. Miała inne zmartwienia.

– Pragnę ją zobaczyć – rzekła cicho. – Ale nie wiem, czy jestem na to gotowa.

Na wąskich ustach Rhw'kho pojawił się delikatny uśmiech, a w chabrowych oczach dziwny, nostalgiczny błysk. Kiedy istota ruszyła w stronę iluminatora, wydawała się płynąć w powietrzu. Poruszała się eterycznie, niczym zjawa. Gracja ruchów zapierała dech w piersiach. Przez chwilę Rhw'kho spoglądało w milczeniu na Almaaza, wyłaniającego się zza bliźniaczej gwiazdy.

– Twoja matka była niezwykłą kobietą – rzekło. – Bardzo ją przypominasz.

SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL” ...

Jedyny okręt w służbie terrańskiej floty wojennej kształtem przypominał dwie foremne bryły, połączone wąskim przesłaniem, liczył tysiąc trzysta metrów długości i posiadał tonaż średniej wielkości stacji kosmicznej, więc minęła wieczność, zanim wykonał zwrot, tak obracając się do przeciwnika, żeby móc oddać pełną salwę burtową.

Bosmanmat Jonathan Anderson, uchodzący za jednego z najlepszych sterników w Galaktyce, intensywnie wpatrywał się w hologram wyświetlający aktualny kurs, prędkość i położenie okrętu względem ekliptyki układu. Czoło mężczyzny obficie zrosił pot, na szurzej twarzy malowało się napięcie, gdy odpowiednio zwiększał lub zmniejszał ciąg silników, żeby drednot ustawił się w dogodnej pozycji względem nieprzyjaciela. Podoficer wreszcie podniósł wzrok na ekran wizyjny i z zadowoleniem stwierdził, że manewr udał się idealnie. „Hajmdal” miał teraz jednostki Luusaat jak na przysłowiowej patelni.

– Sto dwadzieścia trzy tysiące kilometrów do celu – oznajmiła chorąży Gladys Gaumata głosem wypranym z emocji. Nathaniel Kashtaritu zastanawiał się, czy kobieta zdążyła uodpornić się na stres i przywyknąć do niebezpieczeństw, czy też może dzięki velmeńskim wszczepom potrafiła zapanować nad strachem.

Gdy na jaw wyszła jej prawdziwa tożsamość, wielu członków załogi się od niej odwróciło. Nie podobało im się, że ktoś wychowywany w velmeńskim ośrodku szkoleniowym na Tau Ceti pozostaje czynnym członkiem terrańskiej floty, a co gorsza, należy do ścisłej obsady mostka. Admirał jednak uporczywie ignorował wszelkie obiekcje. Dobrze wiedział, że Gladys zrobiła dla „Hajmdala” więcej niż wszyscy inni razem wzięci. Udowodniła swoją lojalność i Kashtaritu ufał jej bezgranicznie.

– Za dziewięćdziesiąt sekund jednostki Luusaat wejdą w zasięg skutecznego ostrzału raketowego – powiadomił podporucznik Tycho Brahe.

Kashtaritu odwrócił fotel i spojrzał ze zdumieniem na oficera taktycznego. Doświadczenie wojenne podpowiadało mu, że należy jeszcze poczekać. Rakiety wystrzelone z tak daleka nie powinny mieć szans na przedarcie się przez boje ECM, zagłuszacze i wabiki, które zmylą elektronikę. Natomiast Brahe sugerował coś zupełnie innego.

– Luusaat nie dysponują zaawansowanymi systemami obrony bezpośredniej – wyjaśnił podporucznik, widząc zdziwioną minę admirała. – W defensywie okręty-asteroidy dysponują jedynie solidnym niklowo-żelazowym pancerzem.

Nathaniel Kashtaritu ruchem ręki przywołał admirałski interfejs i zaczął przeglądać dane taktyczne dotyczące jednostek Luusaat, zawarte w pamięci komputera pokładowego, ale nigdzie nie znalazł informacji potwierdzających słowa podporucznika. W swojej długiej karierze wojskowej nigdy jeszcze z nimi nie walczył i nie miał żadnego doświadczenia w konfrontacji z tym drapieżnym gatunkiem.

– Im szybciej na nich uderzymy, tym większe mamy szanse na zwycięstwo – kontynuował Tycho.

– Skąd ta pewność, poruczniku?

– Nauczyłem się walczyć z Luusaat. Nie możemy dopuścić, żeby okręty-asteroidy znalazły się w bliskim zasięgu drednota, bo wtedy...

– Nic nam nie zrobią – prychnął komandor Peters. – Wystarczy jedna salwa burtowa „Hajmdala”, żeby je wszystkie rozwalić.

– Nie zgodzę się – odparował Brahe.

Komandor zachnął się i poczerwieniał ze złości.

– Okręty Luusaat lecą w szyku rozproszonym, cały czas przyspieszając, co utrudni skuteczne namierzanie. To nie będzie typowa bitwa okrętów liniowych – kontynuował Tycho.

– Na żaglach słonecznych nie dadzą rady skutecznie nas wymanewrować.

– To prawda – zgodził się podporucznik. – Ale im nie zależy na przetrwaniu bitwy.

– Jak to?!

– Oni już swoje zrobili. Dokonali rozpoznania i wiedzą, że w systemie Chi Aurigae „Hajmdal” stanowi jedyne zagrożenie. Zrobią wszystko, żeby nas wyeliminować i zapewnić bezpieczny żer całemu rojowi.

– Poświęcą się?

– Bez cienia wątpliwości.

Admirał spojrzał na chronometr. Pozostało trzydzieści sekund. Czas płynął nieubłaganie, a on musiał podjąć decyzję. Słuszną decyzję. Jeśli drednot wystrzeli pociski zbyt wcześnie, istnieje ryzyko, że nie zadziałają systemy naprowadzania. Gdyby to były rakiety wyposażone w togariańską elektronikę, Kashtaritu nie wahałby się ani chwili, ale te dostarczyli Bahirianie. A ich sprzęt był o wiele gorszej jakości.

Admirał wiedział, że nie będzie drugiej szansy. Po wystrzeleniu rakiet załoga nie zdąży przygotować kolejnej salwy. Natomiast jeśli zdecyduje się zaczekać, atak będzie o wiele skuteczniejszy. Prawdopodobnie uda się zniszczyć wszystkie jednostki wroga, ale rozpedzone odłamki asteroid mogą trafić drednota.

Musiał zdecydować. Natychmiast.

– Otworzyć wyrzutnie rakiet! – oznajmił pewnym głosem. – Gdy tylko jednostki wroga znajdą się w zasięgu skutecznego ostrzału, otworzyć ogień.

Podporucznik Brahe skinął głową i natychmiast przystąpił do pracy.

– Program taktyczny sugeruje sekwencję ostrzału BETA osiemnaście. Proponuję

niecو ją zmodyfikować, posyłając więcej rakiet na cele znajdujące się najbliżej „Hajmdala”, i opóźnić czas reakcji zapalników zbliżeniowych, tak żeby pociski miały czas spenetrować żelazowo-nikłowy kadłub.

Nathaniel Kashtaritu musiał przyznać, że następca Chonga spisuje się wyśmienicie. Nawet komandor Peters w uznaniu pokiwał głową, chociaż chwilę wcześniej podporucznik podważył jego kompetencje.

– Wykonać! – rozkazał admirał.

– Tak jest! – Tycho Brahe przekazał wszystkie dane na stanowisko kierowania ogniem.

Obsługiwała je młoda bosman Mila Todorov o twarzy obsypanej piegami i z niesfornymi ciemnobrązowymi lokami wymykającymi się spod stożkowej czapki. Z całej obsady mostka służyła najkrócej. Trafiła tutaj zaledwie przed miesiącem. Wcześniej dowodziła sekcją dział pościgowych. Podczas ostatnich manewrów, które odbyły się zaraz po opuszczeniu cesarskich granic, wykazała się kreatywnością, zmysłem analitycznym i dużą decyzyjnością. Tymi cechami zwróciła na siebie uwagę Kashtaritu, który natychmiast przeniósł ją na mostek. I na razie tego nie żałował.

– Gotowe! – oznajmiła piegowata oficer po wprowadzeniu odpowiednich procedur.

– Pięć sekund do wystrzelenia rakiet.

Admirał skinął głową. Nic więcej nie mógł zrobić. Pozostało czekanie, którego tak nienawidził. Na jego poranej bruzdami twarzy nie sposób było dostrzec najmniejszego śladu zniecierpliwienia, chociaż wewnątrz aż się gotował. Przez lata służby udało mu się nabrać wprawy w udawaniu i teraz bez żadnego problemu przybierał maskę oficera nudzącego się na oficjalnym bankiecie w ambasadzie umiejscowionej na najbardziej zapyziałej planecie w Galaktyce.

– Trzy, dwa, jeden... – odliczała Todorov. – Poszły!

Pół tysiąca nuklearnych pocisków wystrzeliło z wyrzutni raketowych i pognało w stronę wroga niczym stado rozwścieczonych dwugłowych wilków z dziewiętej planety Regulusa, gotowych rozszarpać wszystko na swojej drodze.

Admirał w każdej chwili mógł na osobistym hologramie wywołać dane dotyczące trajektorii lotu pocisków lub symulację zniszczeń, opracowaną na bazie szczątkowej wiedzy o parametrach technicznych jednostek nieprzyjaciela, ale zamiast tego wołał spoglądać na ekran wizualny, gdzie w dużym powiększeniu prezentowały się okręty-asteroidy.

Trzy z nich były olbrzymie i dorównywały rozmiarami drednotowi, pozostałe nie przekraczały pięciuset metrów. Wyglądały jak zwykłe skały wytracone z orbity, tylko w przeciwieństwie do nich miały wydłużony kształt, przypominający nieco cygara palone przez sierżanta Campbella, a w ich trzewiach skrywało się tysiące krwiożerczych Luusaat.

Na pewno wiedzieli już, co ich czeka. Nie mogli już zmienić kursu, uciec przed

pociskami, a jeśli faktycznie nie posiadali SOB-ów, jak twierdził Tycho Brahe, ich los był przesądzony. Rakiety nuklearne rozerwą niklowo-żelazowe konstrukcje i dokonają dzieła zniszczenia. Załogom okrętów-asteroid pisana była śmierć.

Kashtaritu zastanawiał się, czy Luusaat odczuwają strach. Nigdy wcześniej ich nie spotkał, ale słyszał, że to okrutne, bezwzględne istoty, napędzane żądzą krwi. I ten imperatyw pchał je teraz w ramiona śmierci.

– Sto osiemdziesiąt sześć rakiet zgubiło namiar – zameldowała Mila Todorov. Na mostku nikt nie zaklął, nikt nie westchnął z żalem, a mimo to niemal namacalnie wyczuwało się aurę rozczarowania. Admirałowi zadrgała lekko powieka. Stało się to, czego się obawiał. Zawiodła bahiriańska elektronika.

– Straciliśmy kolejne pociski – w głosie bosman brzmiała frustracja. Ktoś jęknął z zawodem.

– Ile? – zapytał admirał.

– Czterdzieści dwa.

Nathaniel Kashtaritu skinął głową. Nadal w grze była ponad połowa wystrzelonych rakiet. To powinno wystarczyć, żeby zneutralizować dziewięć okrętów Luusaat. Powinno, ale nie musiało.

Za kilka sekund wszystko będzie jasne.

Pozostało czekać.

Admirał wstrzymał oddech.

Oślepiające eksplozje wypełniły ekran wizualny.

– Potwierdzam trafienie sześciu obiektów – zameldowała natychmiast chorąży Gladys Gaumata. – Pięć zostało całkowicie zniszczonych, jeden uszkodzony. Trzy pozostałe okręty nadal podążają tym samym kursem i z tym samym przyspieszeniem.

Na czole Kashtaritu pojawiła się głęboka zmarszczka. Spodziewał się lepszych rezultatów po salwie pół tysiąca rakiet. Miał nadzieję na uniknięcie bezpośredniego starcia. Z drugiej strony, udało się wyeliminować dwie trzecie wrogiej formacji, a „Hajmdal” powinien sobie poradzić z pozostałymi jednostkami, chociaż na pewno nie wyjdzie z tego bez szwanku.

– Przygotować się do...

– Admirale! – przerwała mu Gaumata. – Jeden z uszkodzonych okrętów zmienił trajektorię lotu i teraz zmierza w stronę planety.

SYSTEM CHI AURIGAE PROM DESANTOWY „NADIR”

Sierżant Ezra Leahy nie dotarł do centralnych wymienników powietrza. Niecałą godzinę po ogłoszeniu alarmu bojowego znalazł się na promie desantowym, awaryjnie lądującym na powierzchni piątej planety systemu Chi Aurigae. Jednak zanim do tego doszło, Pluton 7 otrzymał rozkaz zameldowania się na pokładzie hangarowym.

Zwiadowcy musieli zjechać windą dwie kondygnacje i precyzyjnie przemieszczać się przez zatłoczone korytarze, żeby dotrzeć do celu. Na miejscu okazało się, że dalsze rozkazy ma dla nich oficer dyżurny, który się gdzieś zapodział. Miriam zasugerowała, że zesrał się ze strachu i pobiegnął zmienić gacie.

Musieli na niego poczekać.

Obciążeni sprzętem, uzbrojeni po zęby i gotowi do akcji rozsiedli się na metalowych skrzyniach, rozstawionych pod ścianami hangaru, i zaczęli obserwować lądowisko. Panowało na nim spore zamieszanie, bowiem myśliwce nie były jeszcze gotowe do startu. Piloci poganiali opiesziałych techników, cysterny z paliwem stały w korku, bo kierowcy nie wiedzieli, które maszyny zostały już zatankowane, źle zaprogramowane autonomiczne platformy dowożące rakiety krążyły bez celu po hangarze. Wyglądało na to, że koordynator zaopatrzenia kompletnie dał ciała.

– Niezły rozpiardol – podsumował widowisko Bishop.

Po piętnastu minutach zjawił się wreszcie oficer dyżurny. Był to młody chorąży w mundurze wojsk inżynieryjnych. Nie podnosił przerażonych oczu i widać było, że wolałby być zupełnie gdzie indziej. Najwyraźniej sytuacja zupełnie go przerosła.

Nie do końca było to jego winą. W obliczu braków kadrowych dowództwo przydzielało kluczowe stanowiska pełnym żółtodziobom, posiadającym chociaż minimalne kwalifikacje. Nikt nie sprawdzał, jak zachowają się w obliczu zagrożenia, podczas toczącej się bitwy, gdy strach i śmierć zagładają głęboko w oczy. Czy staną na wysokości zadania, czy może pokona ich stres?

Chorążego natychmiast otoczyła masa ludzi. Piloci wykrzykiwali swoje pretensje, technicy zasypywali pytaniami, kierowcy cystern żądali ustalenia priorytetów tankowania i zanim Ezra przepchnął się przez tłum, minęły kolejne minuty. Wreszcie dowiedział się, że Pluton 7 ma udać się do śluzy numer szesnaście i załadować się na prom desantowy „Nadir”.

Na miejscu okazało się, że czekano tylko na nich.

– Gdzie wy, kurwa, byliście?! – powitał ich kapitan Bastian Dash. W oczach mężczyzny tliła się wściekłość. Leahy pomyślał, że musi być grubo, skoro szef operacji specjalnych osobiście leci z nimi na misję. Wydukał przeprosiny. Nie było

sensu się tłumaczyć. Chaos organizacyjny nie był żadną wymówką.

Zwiadowcy zajęli miejsca na ławach ciągnących się wzdłuż burt i „Nadir” wystartował.

– Mamy sytuację kryzysową – zaczął Dash, skupiając na sobie uwagę żołnierzy.

Oprócz szóstki zwiadowców na pokładzie znajdowała się cała druga kompania wojsk szturmowych pod komendą starszego sierżanta Shadracga Khaidu. Wcześniej dowodził zaledwie jednym plutonem, teraz miał pod sobą cztery, ale Leahy znał go dobrze i wiedział, że sobie poradzi.

– Naszym celem jest piąta planeta systemu Chi Aurigae, figurująca na gwiazdnych mapach pod nazwą Manju – oznajmił kapitan.

Ezra wybałuszył oczy ze zdumienia. Był przekonany, że prowadzą kosmiczną bitwę z siłami Luusaat i lecą dokonać abordażu. Rozejrzał się. Pozostali żołnierze wyglądali na równie zaskoczonych.

– Jeden z okrętów-asteroid został poważnie uszkodzony przez nasze rakiety i rozbił się na powierzchni. Planeta jest zamieszkała i dowództwo obawia się, że nawet obsada jednego okrętu Luusaat może wybić sporą część populacji. Mamy za zadanie dotrzeć na miejsce i pozabijać wszystkie pierdolone wampiry, zanim obudzą się z hibernacji. Jakies pytania?

Ezra poniósł rękę.

– Tak, sierzancie?

– To raczej robota dla szturmowców – rzekł Leahy. – Co tu robi mój pluton?

– Sam chciałbym wiedzieć – odparł Dash i splunął. Najwyraźniej nie był niezadowolony z obecności zwiadowców. – Dowództwo uznało, że jeden oddział wojsk rozpoznawczych przyda się na wypadek, gdyby jednak wampiry się obudziły i trzeba było je wytropić.

– Lepiej trzymajcie się z tyłu... panienki – rzekł pogardliwie jeden ze szturmowców, wywołując salwę śmiechu. Ezra dobrze go pamiętał. Nazywał się Jeremiasz Ruon i kiedyś należał do Plutonu A. Był przydupasem Czachy i jednym z tych, którzy próbowali odebrać Leahy’emu rodzinną pamiątkę podczas incydentu w stołówce. Wówczas uratował go Odyn. Jeszcze rok temu Leahy przełknąłby zniewagę i spuściłby wzrok, unikając konfrontacji. Ale nie teraz. Teraz był innym człowiekiem.

– Masz jakiś problem, szeregowy? – Chłód w głosie ciął niczym ostrze. Szturmowiec zmarszczył brwi. Nagle uświadomił sobie, że zwiadowca jest wyższy stopniem, a poza tym bije od niego niespotykana pewność siebie. Ale nie mógł się już wycofać. Wyszedłby na tchórza.

– Tak – oświadczył buńczucznie. – Z parszywymi zwiadowcami.

Tym razem dało się słyszeć jedynie stłumione chichoty. Niegdyś często dochodziło do napięć pomiędzy zwiadowcami i szturmowcami, ale to była odległa przeszłość.

W ciągu ostatnich miesięcy żołnierze obu formacji niejednokrotnie walczyli ramie w ramie, wspierali się i nauczyli wzajemnego szacunku. Co nie oznaczało, że konflikty zupełnie wygasły. Wybuchwały incydentalnie właśnie przez takich idiotów jak szeregowy Ruon.

Leahy zerknął na kapitana Dasha, który udawał, że niczego nie słyszał. Nie było tajemnicą, że też nie darzył zwiadowców sympatią. Ezra musiał poradzić sobie sam.

– Przepróż – wycedził.

Szturmowiec prychnął.

– Ani myślę.

– Zrób to, debilu! – wtrącił się Shadracg Khaidu.

Ruon poczerwieniał ze złości.

– Bo co?

– Bo Ezra cię zajebie – oznajmił dowódca kompanii. – A jeśli litościwie cię oszczędzi, zrobię to ja. Przynosisz wstyd naszej formacji, tępy skurwysynu!

– Sierzancie! – tym razem Bastian Dash usłyszał. – Proszę nie stosować gróźb wobec żołnierzy!

Szeregowy Ruon uśmiechał się triumfująco.

– Z całym szacunkiem, kapitanie, ale to ja dowodzę kompanią i odpowiadam za moich ludzi – odparł Khaidu. – I jeśli któryś z nich pierdoli głupoty, a tym naraża się na utratę zdrowia, a może nawet życia, mam obowiązek przywołać go porządku.

Uśmiech zgasł na ustach Ruona. Kapitan Dash zmarszczył brwi i chciał coś powiedzieć, ale Khaidu nie dał mu dojść do słowa.

– Pragnę również przypomnieć, kapitanie, że zwiadowcy z Siódemki niejednokrotnie dali się poznać jako doskonali żołnierze, uczestniczyli w wielu misjach bojowych i to oni pojмали bahiriańskiego zbrodniarza.

Na pokładzie promu zapanowała grobowa cisza. Rozmowy umilkły, ktoś syknął przez zęby, jakiś żołnierz roześmiał się nerwowo. Shadracg Khaidu przypomniał o desancie na planecie Konthä, gdzie szturmowcy mieli aresztować generała Tzittasa. Jednak okazało się, że dokonali tego zwiadowcy na zupełnie innej planecie, a operacja na Konthä zakończyła się klęską. Szturmowcy ponieśli duże straty w sprzęcie i ludziach. Winą obarczono wywiad wojskowy, ale prawda była taka, że to Dash ponosił pełną odpowiedzialność. To on zaplanował akcję i miał nią dowodzić. Niestety, na samym początku został ranny i całą operację pozostawał nieprzytomny. Ale w oczach żołnierzy to go nie rozgrzeszało.

Kapitan poczerwieniał ze złości. Zacisnął pięści, aż mu kłykcie pobieleły. Gdyby nie uprząż mocująca go do siedziska, prawdopodobnie zerwałby się na równe nogi i rzucił na Khaidu. Zamiast tego przymknął powieki i głęboko odetchnął. Zdołał się uspokoić.

– Porozmawiamy o tym po powrocie, sierzancie.

Shadragc Khaidu skrzywił usta w ironicznym uśmiechu i niedbale zasalutował.

– Tak jest, kapitanie.

Awantura została zażegnana i żołnierze zaczęli rozmawiać między sobą. Ich myśli ponownie zwróciły się ku temu, co ich czekało ich na misji. Wielu służyło w teegardeańskiej straży granicznej i miało już do czynienia z Luusaat, których roje atakowały zewnętrzne satrapie Imperium. Nie wyglądali na szczęśliwych.

Niektórzy spoglądali przez iluminatory na termojądrowe wybuchy i rozbłyски plazmy malujące się na oceanie czerni. Gdzieś tam swoją bitwę toczył „Hajmdal”. Z tej odległości nie sposób było dostrzec sylwetki drednota i walczących z nim jednostek Luusaat ani ocenić, kto wygrywa. „Nadir” zbliżał się już do planety i lada chwila miał wejść w jej atmosferę.

Ezra Leahy nie zwracał jednak na to wszystko uwagi. Nie spuszczał wzroku z szeregowego Ruona.

– Ja cały czas czekam – zakomunikował.

– Na co?

– Na twoje przeprosiny.

Szturmowiec zmarszczył brwi i chciał coś powiedzieć, ale nagle promem wstrząsnęło.

– Co, do kurwy?! – jęknął Tobias.

„Nadirem” zaczęło rzucać na dobre. Zawył alarm. Pomieszczenie wypełniło się czerwonym blaskiem. Spojrzenia żołnierzy powędrowały w stronę zamkniętej kabiny pilotów. Kapitan Dash próbował ich wywołać przez interkom. Bezskutecznie. Ich milczenie trwało może trzydzieści sekund, ale wydawało się, że minęła wieczność.

– *Uwaga!* – w głośnikach rozległ się głos pierwszego pilota. – *Po wejściu w atmosferę dostaliśmy się w strefę prądów konwekcyjnych i trochę nami poszarpie.*

– *Systemy zaczęły wariować* – w tle usłyszeli głos drugiego z pilotów. – *Nie wiem, gdzie lecimy! W tej mgłę nic nie widzę.*

Prom zaczął spadać. Klekot i jęki robiły się coraz głośniejsze, aż wreszcie przeszły w ryk.

SYSTEM ALMAAZ ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY

Sandra wytrzeszczyła oczy. Czy to możliwe, żeby Rhw'kho znało jej matkę?

– Tak – przytaknęło Ardhanari.

– Nie czytaj mi w myślach! – warknęła Thushpa trochę za głośno. Ściągnęła na siebie zniesmaczone spojrzenia gości.

Na ardhanariańskich bankietach obowiązywały pewne konwenanse. Przed wszystkim należało zachowywać się powściągliwie i nie okazywać gwałtownych emocji. Podniesienie głosu uznawane było za duży nietakt, wybuch gniewu niemal za zbrodnię.

– Przepraszam – wydukała.

Rhw'kho skinęło głową i spojrzało na nią rozbawione.

– Twoje myśli jaśnieją niczym supernowa.

Zawstydzona kobieta przygryzła wargę. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Rozejrzała się. Na szczęście goście przestali na nią zwracać uwagę. Pochyliła się w stronę Rhw'kho i zapytała półgłosem, cedząc każde słowo:

– Skąd znasz moją matkę?

Ardhanari nie odpowiedziało od razu. Długo przyglądało się Sandrze, świdrując ją przenikliwym spojrzeniem. Thushpa spuściła wzrok.

– Jesteś tak samo piękna jak ona – rzekło Rhw'kho głosem ociekającym erotyzmem.

Sandra jęknęła w duchu. Teraz już nie dziwiła się, że Lasanto i Zao oddawali się rozkoszom cielesnym z tymi niezwykłymi istotami. I wcale im nie przeszkadzały męskie narządy płciowe. Ponoć Czacha nawet je preferował. Ale co kto lubi, Sandra nie była pod tym względem konserwatywna. Zdarzało jej się uprawiać seks z kobietami i czerpała z tego dużo radości. Dwupłciowe Ardhanari były więc idealnymi partnerami. Kobieco delikatni i subtelni, ale również posiadający w sobie męską drapieżność.

– Twoja matka urodziła się na jednej z planet rozkoszy w systemie Gamma Normae...

– Co?! – wybuchła Sandra, znowu zwracając na siebie uwagę gości.

Stojący tuż obok czterej Abzu łypnęli na nią rybimi oczami i szybko przemieścili się na drugi koniec sali, żeby nikt z dyplomatów nie kojarzył ich z tą nieokrzesaną, na wpół cywilizowaną samicą gatunku ludzkiego. Zapewne dziwili się tylko, że ambasador Rhw'kho, jeden z najbardziej wpływowych osobników w Galaktyce, poświęca jej czas.

– To bzdura – warknęła Thushpa ciszej. – Ona pochodzi z Imperium Teegardeańskiego.

– Tak ci powiedziała? – Ardhanari wydawało się rozbawione, co jeszcze bardziej rozżłościło Sandrę.

– Nie – odburknęła. – Dowiedziałam się tego od ojca.

– Może nie znał całej prawdy?

Sandra zadrzała. Jakie jeszcze tajemnice skrywa jej matka? Oczy Rhw'kho zabłyśły i kobieta wiedziała, że tę jej myśl również odczytało, ale tym razem w żaden sposób tego nie skomentowało.

– Wyjaśnij – poprosiła.

– Naprawdę tego chcesz?

– Tak.

– To może zabołec.

– Nie dbam o to.

Ardhanari wyciągnęło szczupłą dłoń i musnęło jej policzek. Thushpa westchnęła i przymknęła powieki, gdy przeszył ją przyjemny dreszcz. Zapragnęła poddać się pieczytom, oddać swoje ciało tej niezwykłej istocie, znaleźć zapomnienie w obłądnym seksie, który nie był tylko zwykłym zaspokojeniem cielesnych żądz, ale dzięki wyjątkowym technikom i rytuałom uwalniał drzemiące w ciele i duszy energie, otwierając całą gamę niezwykłych doznań. Nic nie mogło się z tym równać. Sandra raz już próbowała seksu z Ardhanari i dobrze wiedziała, że łatwo można się zatracić. A ona musiała zachować trzeźwość umysłu.

Chwyciła stanowczo dłoń Rhw'kho i z żalem odsunęła ją od policzka.

– Nie – wyszeptała. Nie zabrzmiało to pewnie. Odchrząknęła. – Nie teraz. Teraz chcę poznać prawdę. Opowiedz mi o mojej matce.

Rhw'kho skinęło głową. Srebrne włosy zafalowały i przez jakiś czas wiły się niczym stado węży.

– Przejdźmy się – powiedziało. Ujęło Sandrę pod łokieć i poprowadziło w ciemniejszy kąt sali, z dala od tłumu gości oraz stołów z przekąskami.

– Ardhanari należy do starożytnych ras. Niektórzy twierdzą, że starsi od nas są jedynie Khon-Ma. Ale to nieprawda. Przed nami byli inni. Niektórzy stworzyli wspaniałe cywilizacje, które już dawno odeszły w zapomnienie, inni zostali wymordowani jak wojowniczy Erŭ, a inni nadal istnieją.

– Togarianie.

– Zgadza się. Oni są najstarszymi dziećmi Khon-Ma.

Rhw'kho zawiesiło głos, jakby spodziewając się, że ta informacja wstrząśnie Sandrą, ale ona tylko skinęła głową. Wiedziała o wszystkim. O tym, że pajęczaki przy pomocy inżynierii genetycznej od milionów lat rozsiewają życie w całej Galaktyce, a potem kierują rozwojem powstałych gatunków. Dzięki temu zaistnieli Togarianie,

a także ludzie. I prawdopodobnie również Ardhanari.

– Można powiedzieć, że wszystkie gatunki w naszej Galaktyce są ze sobą spokrewnione.

Doktor Thushpa zmarszczyła czoło. Myślała intensywnie. Gdy od Trzeciego Preodroja Czternastej Eklezji Klanu Pamiętających dowiedziała się o eksperymentach Khon-Ma, spodziewała się, że dotyczy to wielu inteligentnych gatunków, może nawet kilku tysięcy, ale nie wszystkich. To było niewyobrażalne. W tym momencie pajęczaki należało traktować niemal jak bogów.

– To niewiarygodne – wyszeptała.

– A jednak.

– Ale co to ma wspólnego z moją matką? – zreflektowała się Sandra, nakierowując rozmowę na interesujący ją temat.

– Nic nie trwa wiecznie – odparło Ardhanari filozoficznie. – Układ sił w Galaktyce niedługo ulegnie zmianie. Legenda głosi, że w starożytnym Ssshah pajęcza bogini przemówiła do Khon-Ma po raz ostatni i objawiła wielką tajemnicę.

Rhw'kho zrobiło pauzę, jakby oczekiwało, że Sandra coś powie. Ona jednak milczała. Nie chciała zdradzać się ze swoją wiedzą.

– Tajemnicę? – rzuciła wreszcie Thushpa.

Na wąskich ustach Rhw'kho pojawił się delikatny uśmiech.

– Nie udawaj. Dobrze wiesz, o czym mówię. Na jednej z planet systemu Epsilon Eridani odnaleźliście zaginione miasto i posąg we wnętrzu zniszczonego zigguratu.

Sandra uniosła lekko brew.

– Posąg mający dziesięć tysięcy lat i przedstawiające dwie ludzkie postacie – kontynuowało niezrażone Rhw'kho. – Zapewne mocno was to zdziwiło.

– To prawda – przytaknęła Sandra. Nie było sensu zaprzeczać. Ardhanariański wywiad działał doskonale.

– Khon-Ma uważają się za władców wszechświata. Dysponują potężną mocą, którą można porównać do magii. W zakresie biotechnologii są niezrównanymi mistrzami i żadna znana cywilizacja nie jest w stanie im dorównać. Kto wie czy w całym wszechświecie istnieje gatunek, który ich przewyższa. Potrafią gasić i zapalać słońca, dokonywać dalekich skoków nadświatlnych, tworzyć inteligentne życie. Trudno z nimi konkurować. Nawet my nie potrafimy im dorównać, chociaż wiemy prym w inżynierii genetycznej.

– A nie Imperium Teegardeańskie? – Sandra uśmiechnęła się kąśliwie. Drażniła ją pycha Rhw'kho.

– Arya wszystkiego nauczyli się od nas – odparło, zdając się nie dostrzegać sarkazmu. – I dlatego też twoja matka tak łatwo zdołała wszystkich oszukać.

– Oszukać?! Czemu miałyby to robić?

Oczy Ardhanari rozbłysły.

– Nie chciała ujawniać, kim... a raczej czym jest.

Sandra zbladła, poczuła nagły ucisk w żołądku. Wiedziała, że zaraz dowie się czegoś, czego nigdy nie chciałyby usłyszeć. Czegoś, co wywróci jej świat do góry nogami. Mogła się jeszcze wycofać, zakończyć rozmowę i uciec do swojej kajuty. Spróbować zapomnieć. Wyprzeć wszystko. Może nawet by się udało. Miała szansę, lecz nie skorzystała z niej. Jej natura naukowca i ciekawość wzięły górę nad strachem. Wiedziała, że będzie tego żałować. Z trudem przełknęła ślinę i zapytała:

– Co masz na myśli?

Rhw'kho przystanęło i skierowało wzrok na widoczną przez iluminator gwiazdę otoczoną pyłem. Wyglądała jak olbrzymia, żółta kula zanurzona w gęstej zupie.

– Czas Khon-Ma dobiega końca. Pajęczaki od tysiącleci są tego świadome. To właśnie objawiła im pajęcza bogini w świętym mieście Ssshah. I pokazała im coś jeszcze. Następców, którzy po nich obejmą władzę w Galaktyce.

– Posąg – wyszeptała Thushpa. – To ludzie!

– Tak.

– Nie rozumiem. – Sandra kręciła głową. – Dlaczego my? Przecież istnieją tysiące gatunków bardziej od nas rozwiniętych i stojących wyżej pod względem cywilizacyjnym.

Ardhanari uśmiechnęło się smutno.

– Macie coś, czego innym brakuje. Determinację, wolę zwycięstwa i kreatywność, która pozwala wam wyjść poza utarte schematy myślenia. Zdajesz sobie sprawę, że od momentu, gdy wasi przodkowie postawili pierwsze miasta, do czasu pierwszego lotu w kosmos minęła zaledwie chwila? Dokonaliście tego błyskawicznie. Innym gatunkom postęp zajął o wiele dłużej.

– Khon-Ma sterowali naszym rozwojem?

– Poniekąd – przyznało Rhw'kho. – Pozwalali też ingerować innym.

– W mitach ziemskich kultur znalazłam ich ślady – oznajmiła Sandra. – Pajęcze bóstwa, takie jak Uttu, Arachne i Anansi. Indiańskie plemię Hopi wierzyło w ludzi-mrówki, którzy z wyglądu przypominali Nemalahów, a w mitologii starożytnych Sumerów mamy gadzie istoty, które niczym nie różnią się od Lacertan. Czy oni wszyscy wiedzieli?

Pokręciło głową.

– Inne gatunki były po prostu ciekawe nowego tworu Khon-Ma.

– Tworu... – skrzywiła się Sandra.

– Jak my wszyscy. Nie ma co się oburzać.

– Teraz już rozumiem, dlaczego Khon-Ma zniszczyli Ziemię i nie pozwalają się nam zjednoczyć. Nie chcą dopuścić, żebyśmy zajęli ich miejsce. Nie oddadzą władzy.

– To nie tak – rzekło Ardhanari. – Przypisujesz pajęczakom typowo ludzkie, a nawet ardhanariańskie motywacje. Istoty humanoidalne są podobne do siebie, jednak

starożytni Khon-Ma mają inny sposób rozumowania i zupełnie inną mentalność. Może to był test? Może pragnęli zaszczepić wam jakąś zbiorową emocję? A może zmusić do opuszczenia rodzinnej planety i wyruszenia w kosmos? Nie wiadomo, co nimi kierowało, i pewnie nigdy się nie dowiemy.

Sandra Thushpa przez długi czas trawiła to, co usłyszała. Próbowwała wszystko sobie uporządkować, ale rodziły się tylko kolejne pytania.

– Wiedzieliście o przepowiedni i przeznaczeniu ludzkości?

– Tak.

Kobieta spojrzała podejrzliwie na rozmówcę.

– Wykorzystaliście tę wiedzę, prawda?

– Jesteśmy ambitnym gatunkiem – uśmiechnęło się Rhw'kho. – Już się domyślasz?

Sandra poczuła nagły ucisk w żołądku. Pociemniało jej w oczach. Dotarła do niej brutalna prawda.

– Moja matka...

– Pragnęliśmy mieć swój udział w tym dziele i stać się przyszłością wszechświata. W inżynierii genetycznej niewiele gatunków może nam dorównać. Połączyliśmy ludzkie i ardhanariańskie DNA.

– ...jest hybrydą.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Jakimś cudem udało im się bezpiecznie wylądować. Piloci posadzili prom w niewielkiej kotlinie, wciśniętej między pagórki, uszkodzając jedynie silnik manewrowy i poszycie kadłuba. Ezra musiał przyznać, że był to niemały wyczyn. Na rodzinnej planecie Sähr często pilotował rolniczy transportowiec i raz zdarzyła mu się podobna sytuacja. Silnik manewrowy uległ uszkodzeniu i statek powietrzny nagle zaczął spadać z dużej wysokości. Jednak tamten pojazd był dziesięciokrotnie mniejszy, a teren, na jakim przyszło mu awaryjnie lądować, był płaski jak talerz, do tego miękkie pustynny piach zamortyzował uderzenie. Ale i tak Leahy ledwo uszedł z życiem. Dwa miesiące przeleżał w szpitalu z połamanymi nogami, wstrząśnieniem mózgu i zwichniętym barkiem, natomiast jego transporter trafił na złom.

Teraz Ezra nabawił się tylko potężnego siniaka na klatce piersiowej od upręży mocującej. Pozostali żołnierze również byli jedynie lekko poobijani. Leahy odetchnął z ulgą, widząc, że wszyscy zwiadowcy z jego plutonu są cali i zdrowi.

Grodzie rozdzielające część transportową od sterówki zgrzytnęły i zaczęły się powoli rozsuwać. Pojawił się w nich pierwszy pilot. Nie sposób było zgadnąć, jakie emocje malowały się na jego twarzy, bowiem skrywała ją zasłona hełmu. Na pewno się bał. Jak wszyscy.

– Żyjecie? – zapytał.

– Tak, wszyscy cali – odparł kapitan Dash.

Pilot odetchnął z ulgą i wskazał kokpit.

– Potrzebujemy medyka.

Okazało się, że drugi pilot ucierpiał podczas awaryjnego lądowania. Przepustnica nie wytrzymała uderzenia, oderwała się i przebiła mu bark. Na szczęście jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

W czasie gdy medyk opatrywał rannego, pierwszy pilot uruchomił diagnostykę promu. Sytuacja nie wyglądała źle. Pilot stwierdził, że potrzebuje dwóch godzin na niezbędne naprawy i „Nadir” zdoła wystartować nawet bez jednego silnika.

Bastian Dash próbował nawiązać łączność z „Hajmdalem” i złożyć meldunek, ale coś zakłócało komunikację.

– Opuścić pojazd i zabezpieczyć teren – rozkazał Dash.

Żołnierze natychmiast wykonali polecenia. Na szczęście w zasięgu wzroku nie widzieli wroga.

Szturmowcy zaczęli wylądowywać sprzęt. Pluton 7 miał pozostać na straży. Ezra polecił zwiadowcom ustawić się co kilka metrów wokół „Nadira” i czujnie

wypatrywać zagrożenia. Dopiero potem opuścił lufę karabinu i zwrócił baczniejszą uwagę na piękno krajobrazu.

Zapierał dech w piersiach.

Dno kotliny pokrywały żółtozielone kamienie, kontrastujące z szarym kwarcem opasujących ją skał. Wysmukłe szczyty gór, szczelnie spowite mgłą, sprawiały wrażenie, jakby wisiały w powietrzu. Smukłe, postrzępione, o fantastycznych kształtach przywodziły na myśl strzeliste wieże. Na pionowo wznoszących się ścianach dostrzec można było wyciosane przez naturę skaliste półki, po których spływała woda, tworząc huczące wodospady. Na niektórych wyrastały kolorowe kwiaty, krzewy, karłowate drzewa przyciągające dziwne ptaki o jaszczurzych ogonach i wielobarwnych skrzydłach.

Wtem Ezra poczuł czyjaś obecność za plecami. Natychmiast odwrócił się z bronią gotową do strzału. Słyszał, że Luusaat potrafili niepostrzeżenie podejść do człowieka. Odetchnął z ulgą. To była tylko Abigail.

– Nie strasz mnie – fuknął.

Torres zignorowała go. Rozglądała się, jej oczy błyszczały w zachwycie.

– Cudowne miejsce!

– Daj spokój – prychnął Ezra. – Planeta jak planeta. Widzieliśmy już dziesiątki takich. Zróbmy swoje i wracajmy na okręt.

Leahy przeniósł spojrzenie na prom, skąd szturmowcy wyciągali ciężkie skrzynie z uzbrojeniem. Ezra żałował, że nie zabrali ze sobą opancerzonych transporterów rozpoznawczych, ale w przy takim ukształtowaniu terenu nie miało to najmniejszego sensu. Nie przejechałyby przez góry. Oznaczało to, że żołnierze będą musieli dźwigać całe wyposażenie. A musieli zabrać miotacze ognia, granaty i ciężkie karabiny maszynowe.

– Ezra, co się dzieje? – zagadnęła Abigail. Spojrzał na nią. Zachwyt w jej oczach ustąpił miejsca smutkowi.

– Nic – odparł. – Mamy zadanie do wykonania.

– Nie o tym mówię. Zachowujesz się jak palant.

Westchnął ciężko.

– Przepraszam. – Zdobył się na nikły uśmiech. – To naprawdę piękna planeta. Tyle tylko, że nie jesteśmy tutaj dla przyjemności. Kilka kilometrów stąd znajduje się okręt po brzegi wypełniony Luusaat. Jeśli się spóźnimy i wybudzą się z letargu, mamy przesrane. Każda żywa istota na tej planecie ma przesrane. A ta mgła zakrywająca słońce wcale sprawy nie ułatwia. Ponoć te sukinsyny są uczulone na promienie ultrafioletowe...

– Nie o to mi chodzi – przerwała mu.

– To o co?

– Ten szturmowiec na promie...

– Powiniennem obić mu mordę! – warknął Leahy, zaciskając pięści. Wzrokiem odszukał szeregowego Ruona, który wynosił z promu ciężką skrzynię z amunicją.

– Właśnie o tym mówię. Jesteś agresywny. Wymuszasz posłuch pięściami, pozwalasz, żeby rządziły tobą emocje. Zachowujesz się, jakbyś nosił jeden z tych pancerzy z wbudowanym hiperaktywatorem. Odwala ci jak tym szturmowcom, którzy ich używali. Wcześniej nie byłeś taki.

– Wcześniej byłem słaby.

– Nieprawda – zaprotestowała. – Zawsze byłeś silny, tylko tego nie dostrzegałeś. Brakowało ci jedynie pewności siebie. Gdyby nie twoja odwaga i kreatywność, nigdy nie dokonałbyś tego, czego dokonałeś. Gdyby nie twoja empatia, wrażliwość i umiejętność radzenia sobie z ludźmi, nie zostałbyś dowódcą plutonu. Mam wrażenie, że teraz się pogubiłeś. Czasami należy cofnąć się o krok, żeby ruszyć dalej.

– To jakaś złota myśl Khon-Ma? – prychnął i zaraz tego pożałował. W oczach dziewczyny pojawił się ból. Abigail Torres pochodziła ze świata pajęczaków, z okrutnego, straszego miejsca. Nigdy o tym nie rozmawiali. Ezra wiedział tylko, że całe lata przebywała na pokładzie toch-emu i była pokarmem żyjącego okrętu.

– Przepraszam, ja... – wydukał. – Nie to chciałem powiedzieć.

– Nic się nie stało.

Kłamała. Leahy widział to w jej zaciętej twarzy, w zaciśniętych mocno ustach. Chciała odejść. Przytrzymał ją. Musiał jej to wyjaśnić.

– Ta złość we mnie wynika ze strachu.

– Wszyscy boimy się śmierci.

– Nie o to chodzi. – Machnął ręką. – Jestem żołnierzem i wiem, na co się pisałem. Gdy będzie trzeba, zginę za sprawę. Przytłacza mnie funkcja dowódcy plutonu, odpowiedzialność za ludzi, których mam pod komendą. Boję się, że sobie nie poradzę i zawiodę w ważnym momencie. Boję się, że popełnię błąd i wszyscy zginiecie...

Milczał przez chwilę.

– Ale tak naprawdę najbardziej boję się o ciebie. Nie chcę, żeby coś ci się stało. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić świata, w którym cię nie ma. A ta misja zapowiada się wyjątkowo paskudnie.

Wzruszyła ramionami.

– Od tego jesteśmy.

– Mam złe przeczucia – rzekł. – Wolałbym, żebyś była teraz na okręcie.

Abigail roześmiała się i palcem wskazała niebo.

– „Hajmdal” właśnie toczy kosmiczną bitwę. Myślisz, że tam jest bezpiecznie?

Skrzywił się. Miała rację.

– Ezra. – Wyciągnęła rękę i czule pogładziła go po policzku. – To urocze, że się o mnie troszczysz, ale ja również jestem żołnierzem. Składałam wojskową przysięgę i mam obowiązki do wykonania.

– Po prostu nie chcę cię stracić.

Roześmiała się.

– To nie zachowuj się jak dupek.

Mrugnął do niej.

– Postaram się.

Spoważniała.

– Jesteś porządnym facetem, Ezra. Dobrym i wrażliwym człowiekiem. Nie próbuj być kimś innym, niż jesteś. Dobra?

Skinął głową.

Kapitan Dash wzywał wszystkich. Musieli iść, ale nie chciał tak kończyć tej rozmowy.

– Kocham cię – oznajmił.

Torres zastygła. Spuściła wzrok i milczała. Zawsze tak robiła, gdy wyznawał jej miłość. Przyzwyczaiał się. Westchnął ciężko, założył karabin na ramię i ruszył w stronę promu. Przytrzymała go.

– Poczekaj – wydukała. – Wiem, co chcesz usłyszeć.

– Nie będę cię zmuszał do powiedzenia czegoś, czego nie czujesz.

– To nie tak!

– A jak? Wyjaśnij mi.

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zrezygnowała.

– Wrócimy do tej rozmowy innym razem – powiedział cicho. – Teraz musimy iść.

Skinęła głową.

Szli w milczeniu obok siebie.

Ezra nie wiedział, co o tym myśleć. Ktoś mu kiedyś powiedział, że w każdym związku jest tak, że jedno kocha bardziej. Nie miał wątpliwości, jak jest w ich przypadku. Ale czasami, kiedy na niego patrzyła, widział miłość w jej oczach. A może po prostu chciał widzieć?

Postanowił dać jej czas. Wiedział, że jeszcze nie zapomniała o Nelsonie. Minęło zbyt mało czasu, żeby wygasły wszystkie emocje. Stawiała krok do tyłu, wycofywała się. Nie mógł jej za to winić.

Leahy postanowił się tym nie przejmować. Co ma być, to będzie. Musiał skupić się na zadaniu.

Nagle rozmyślenia Ezry zostały przerwane.

Rozległy się strzały.

SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”

Na szurzejej twarzy Jonathana Andersona malowało się napięcie, gdy jego palce w błyskawicznym tempie poruszały się po wirtualnej klawiaturze, wprowadzając nowe współrzędne kursu. Nawet na chwilę nie odrywał wzroku od wyświetlacza stanowiska sterowniczego, na którym wolno przeskakiwały cyferki, oznaczające stopnie nachylenia okrętu do ekliptyki układu i jego aktualną prędkość. Pozycja „Hajmdala” zmieniała się jednak zbyt wolno. Bosmanmat wiedział już, że masywny drednot nie zdąży wykonać zwrotu i nie zejdzie z kursu kolizyjnego okrętów Luusaat. Ale walczył do końca. Od jego umiejętności i tego, co teraz robi, zależał los okrętu oraz całej załogi.

Na ekranie widać było niklowo-żelazowe skały skąpane w promieniach błękitnego słońca, pędzące w kierunku „Hajmdala”. Taktyka Luusaat w kosmicznych bitwach polegała na taranowaniu jednostek przeciwnika i wdzieraniu się na ich pokład. Jednostki tego wroga nie dysponowały działami laserowymi, wyrzutniami rakiet oraz plazmy. W walce dystansowej były bez szans, ale po zbliżeniu same w sobie stanowiły śmiertcionośną broń.

– Pierwszy z obiektów minie nas w odległości trzydziestu sześć kilometrów od bakburty – meldowała chorąży Gladys Gaumata ze stanowiska teledetekcji. Na mostku wyczuło się lekką ulgę, ale to w żaden sposób nie zmieniało krytycznej sytuacji, w jakiej znajdował się „Hajmdal”.

Admirał Nathaniel Kashtaritu siedział w fotelu dowódcy z kamienną twarzą. Jedyłą oznaką niepokoju była bruzda na jego czole, która pogłębiała się z każdą minutą. Trzydzieści sześć kilometrów w skali kosmicznej to było tyle co nic.

– Drugi z obiektów trafi nas w sektor dziobowy za... – Chorąży zawiesiła głos, zerkając na dane płynące ze stanowiska sterowniczego, gdzie Anderson dokonywał cudów. Nagle jej twarz pojaśniała. – Nie! Minie okręt w odległości czterech kilometrów. Poprawka... pięciu kilometrów, uwzględniając aktualną pozycję.

– Natychmiast wysłać za nimi dywizjon myśliwców – rozkazał admirał, a oficer łącznościowy przekazał wiadomość dalej.

Chorąży Xavier Hudson służył na mostku od czasu opuszczenia bahiriańskiej stoczni i na razie spisywał się bez zarzutu. Po tak długim czasie Kashtaritu zdołał wreszcie zapamiętać jego nazwisko. A czasami nawet zwracał się do niego po imieniu, co niezwykle cieszyło młodego oficera.

– Dowódcy klucza czerwonego i niebieskiego meldują gotowość do startu – oznajmił po chwili. – Znajdą się w przestrzeni kosmicznej za trzydzieści sekund.

Porucznik Pak zgłasza problemy techniczne z grodziami hangarowymi na pasie startowym klucza zielonego.

Admirał zaklął pod nosem. Kolejna usterka.

– Jak tylko uporają się z problemami, niech zaraz dołączą do pozostałych myśliwców – odparł. – Mają zniszczyć tych skurwysynów. Nie ma prawa przetrwać żaden z okrętów zwiadowczych.

– Tak jest – odparł Hudson i pochylił się nad interkomem.

Admirał przeniósł spojrzenie na ekran wizualny. Zmarszczył czoło.

– Co z trzecim okrętem? – zapytał.

Gładys Gaumata pokręciła głową.

– Nie uda się – rzekła cicho. – Zakładając obecne przyspieszenie i trajektorię lotu, uderzy w naszą rufę za niecałe siedem minut.

– Co możemy zrobić? – zapytał zimno admirał, kierując pytanie do podporucznika Brahego. Mężczyzna nawet nie podniósł wzroku, skupiony na danych dostarczanych przez komputer taktyczny.

– Kolejna salwa rakietowa nie wchodzi w grę ze względu na zbyt małą odległość – odezwał się. Gorączkowo przerzucał dłonią sekwencje na wyświetlaczu, szukając najlepszej opcji. Wystarczyły trzy sekundy, żeby jego oczy rozbłysły i zaczął szybko wyrzucać z siebie słowa: – Ostrzał laserowy ALFA dwadzieścia trzy w tym przypadku będzie najlepszą opcją. Nigdy wcześniej nie stosowaliśmy tego wariantu, który bardziej służy do penetracji wnętrza wrogich jednostek niż do niszczenia pancerzy, ale i tak nie uda nam się unicestwić żelazowo-niklowego kadłuba...

– Do rzeczy, podporuczniku – warknął Kashtaritu poirytowany wykładem. – Jakby pan nie zauważył, informuję, że nie zostało wiele czasu.

Tycho Brahe wybałuszył oczy, zdumiony, że admirał jeszcze nie zrozumiał. Już otwierał usta, żeby wszystko wytłumaczyć, gdy Abram Peters wszedł mu w słowo.

– To może się udać – rzekł, analizując na osobistym wyświetlaczu sugestie oficera.

Zastępca dowódcy sam programował komputer taktyczny i dzięki temu znał wszystkie możliwe wariacje i rozwiązania. Spojrzał na Kashtaritu, który niecierpliwie czekał na wyjaśnienia.

– Nie zniszczymy asteroidy, ale podczas penetracji kadłuba w sekwencji ALFA dwadzieścia trzy kryptonowo-jonowy laser emituje zabójcze dla wampirów promieniowanie ultrafioletowe. Może uda się wybić całą załogę, zanim dokonają abordażu.

– Nie zaskodzi spróbować – stwierdził Nathaniel Kashtaritu. – Wykonać!

– Tak jest – powiedziała Mila Todorov i szybko ustawiła odpowiednie wartości na panelu sterowania ogniem. – Gotowe!

– Ognia!

Wiązki laserowe przeszły kadłub wrogiego okrętu, czego w pierwszej chwili nie

sposób było dostrzec. Jeden z oficerów włączył wizualizację i teraz można było śledzić czerwone wąskie linie, wyglądające jak nici wypuszczone z kłębka.

– Admirale – odezwał się chorąży Hudson – pułkownik Sarah Wheeler przesyła wiadomość...

– Nie teraz – warknął admirał.

– To ważne.

Nathaniel Kashtaritu westchnął ciężko. Problemy mają to do siebie, że zawsze zjawiają się parami. A czasami nawet uderzają całym stadem. Admirał wiedział, że to nie może być nic dobrego.

– Melduj! – rozkazał, nie spuszczać wzroku z ekranu wizualnego. Słyszał, jak Xavier Hudson bierze głęboki oddech.

– Sztab operacji lądowych stracił kontakt z „Nadirem” – wyrzucił jednym tchem. – Prawdopodobnie prom się rozbił. Nie wiadomo, czy ktokolwiek przeżył. Należy założyć, że misja na Manju nie powiodła się.

Admirał przymknął powieki. Zaraz je jednak otworzył. Ten problem musiał poczekać. Wyśle misję ratunkową, gdy tylko rozwiąże bardziej palący problem, czyli zbliżający się w szybkim tempie okręt Luusaat.

– Trzydzieści sekund do zderzenia – poinformowała beznamiętnym głosem Gladys Gaumata.

Bosmanmat Jonathan Anderson ustawił stały kurs i zredukował przyspieszenie. Bezradnie pokręcił głową. To jedyne, co mógł zrobić, żeby zminimalizować skutki zderzenia. Po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia bitwy podniósł głowę, spoglądając na ekran wizualny, na którym skalny pocisk pędził na drednota. Na jego szarej, zmęczonej twarzy pojawiła się troska. Trudno jednak powiedzieć, czy bardziej martwił się o okręt, czy o własne życie.

– Przygotować się na mocne uderzenie! – oznajmił kapitan na otwartym kanale, kierując ostrzeżenie do wszystkich na pokładzie.

Ponownie zawył alarm, oznajmiając najwyższy, piąty stopień gotowości bojowej.

Oficerowie obsady mostka jak na komendę zabezpieczyli stanowiska i zajęli miejsce w fotelach. Natychmiast założyli uprząże i sięgnęli po maski tlenowe. Po remoncie w bahiriańskiej stoczni to były jedyne zabezpieczenia w wypadku awarii kompensatora grawitacji i systemów podtrzymywania życia. Wcześniej mostek „Hajmdala” wyposażony był w nowoczesne technologie Togarian, a nie tak prymitywne rozwiązania.

Gladys Gaumata zaczęła odliczać.

– Dziesięć, dziewięć, osiem...

Ekran wypełniła czerń wrogiego okrętu.

– Siedem, sześć, pięć...

Nathaniel Kashtaritu zamknął oczy.

– Cztery, trzy, dwa...

Pomieszczenie wypełniło się zduszonymi okrzykami przerażenia.

– Jeden...

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Ezra nie miał żadnych wątpliwości, że strzały zostały oddane z C-24. Zbyt dobrze znał jazgot pocisków ze standardowego karabinu, znajdującego się na wyposażeniu oddziałów rozpoznawczych. A to oznaczało, że strzelał któryś z jego ludzi.

Na pewno nie Abigail, bo była z nim. Nie był to również Ivar Björk, który używał ciężkiego karabinu maszynowego. Natomiast Tirah Gonzalez naciskał spust delikatnie i strzelał krótkimi seriami, zupełnie inaczej niż Miriam Funke, która służąc w oddziałach szturmowych, przyzwyczaiła się do cięższego agresora i jeszcze nie przystosowała do innego rodzaju broni. Ezra wiedział to wszystko, bo spędził z nimi wszystkimi długie godziny na strzelnicy. W drodze eliminacji pozostał tylko Bishop.

Analiza zajęła mu zaledwie sekundę. W następnej Ezra już biegł, ogarnięty strachem o podwładnego, a zarazem najlepszego przyjaciela. Strzały dochodziły od bakburty „Nadira” i Leahy musiał okrążyć pojazd. Usłyszał kroki za plecami. Obejrzał się. To była Torres. W pierwszym momencie chciał wydać jej rozkaz, żeby została na miejscu, a najlepiej schowała się do promu, jednak w porę się zreflektował. Nie miał prawa tego robić, a już szczególnie w kontekście ich niedawnej rozmowy.

Abigail zrównała się z nim, ale go nie wyprzedziła. Szybko dotarli na miejsce.

Tobias Bishop trzymał karabin z dymiącą jeszcze lufą i wypatrywał czegoś w gęstej mgle. Wydawał się równie zdumiony, co przestraszony. Obok niego przykłęka Miriam Funke z bronią przyłożoną do ramienia. Zaraz pojawili się Bastian Dash, sierżant Khaidu i dwaj szturmowcy z Plutonu A. Reszta żołnierzy na rozkaz kapitana została przy furcie promu.

– Co się dzieje, szeregowy? – zapytał Dash.

– Jaszczury – wydukał Tobias.

– Co?!

– Widziałem Lacertanina.

Nastąpiła chwila milczenia.

– To niemożliwe – prychnął kapitan. – Znajdujemy się pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych od ich terytorium. Coś ci się przywidziało.

– Nic mi się nie przywidziało! – warknął Tobias. – Widziałem go. Jaszczurzy pysk, stożkową głowę i żółte ślepie. Stał zaledwie kilka kroków ode mnie. Gapił się na mnie, a potem dał nura w zarośla.

Jakby słysząc te słowa, mgła postanowiła się nieco przerzedzić i jakieś pięćdziesiąt metrów od siebie żołnierze ujrzeli pionową ścianę porośniętą pnączem zielonych roślin.

– To żadne zarośla, tylko lita skała – oznajmił Shadracg Khaidu. – W tej mgle wyobraźnia może płatać figle.

Kapitan Dash pokręcił głową.

– A ty, Funke? – zapytał Miriam, która zabezpieczała ten wycinek terenu razem z Bishopem. – Dostrzegłaś coś?

– Nic a nic – odparła kobieta. – Ale akurat spoglądałam w inną stronę, gdy Tobias zaczął strzelać.

Wszyscy odetchnęli z ulgą i opuścili broń. Oprócz Bishopa, który nadał trzymał uniesioną lufę C-24 i uważnie rozglądał się po okolicy. Ezra podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Daj spokój.

– Widziałem go – upierał się Bishop, ale jego głos brzmiał coraz mniej przekonująco. – Naprawdę, Ezra, uwierz mi.

– Hmm – odezwała się Abigail, trzymając w rękach urządzenie namierzające, które powinno należeć do standardowego wyposażenia każdego zwiadowcy, ale ze względu na to, że ich plecaki i tak były wystarczająco ciężkie, na misję brał je tylko jeden żołnierz w plutonie. W Siódemce wypadło na Torres. Nie miała nic przeciwko temu.

– Co jest? – spytał Ezra.

– Tobias może mieć rację – odparła. – Wprawdzie detektor nie wykrył żadnego ruchu postaci humanoidalnych, ale georadar pokazał system jaskiń i korytarzy, wydrążonych w skałach. Może być tam jakieś wejście.

– Sprawdźcie to! – rozkazał kapitan.

Khaidu skinął na dwóch szturmowców.

– Czekajcie! – zatrzymał ich Ezra. – My to sprawdzimy. W sumie od tego macie zwiadowców.

Bastian Dash zmarszczył brwi i w jego oczach pojawiło się wahanie, ale w końcu przyzwalająco skinął głową.

– Będziemy was osłaniać.

– Tobias i Miriam za mną – rzekł Ezra.

– Idę z wami – oznajmiła Abigail.

– Nie! – ostro zaoponował Leahy. Zbyt ostro.

Torres poczerwieniała ze złości. Przejrzała go. Wiedziała, jaki jest prawdziwy powód, dla którego zostawia ją w tyle.

– Ktoś musi tu zostać i monitorować odczyty detektora – próbował wybrnąć z sytuacji. – Znasz się na tym najlepiej. W razie czego nas ostrzeżesz.

Nie odpowiedziała od razu. Świdrowała go miodowymi oczami.

– Tak jest, sierżancie – wycedziła wreszcie, nie próbując ukryć złości. Ezra miał świadomość, że gdyby nie obecność Bastiana Dasha, zapewne by mu się postawiła.

Ruszyli. Leahy szedł środkiem, mając po prawej Bishopa, po lewej Miriam. Lufy

karabinów trzymali tak, żeby w razie otwarcia ognia móc ogarnąć teren pod kątem stu osiemdziesięciu stopni. Tyły ubezpieczali szturmowcy.

Mgła ponownie się uniosła, szczelnie otulając zwiadowców. Nic nie było widać na wyciągnięcie ręki. Ezra z trudem przełknął ślinę. Wyobrażenia podpowiadała mu, że za chwilę z mgły wyłonią się okrutne jaszczurze oczy, a potężne łapy zacisną się na jego gardle. Potrząsnął głową, próbując pozbyć się ponurych myśli. Nie udało się.

– Torres – wywołał Abigail – mów do mnie.

– *Detektor nic nie pokazuje* – usłyszał w słuchawce. – *Macie czystą drogę.*

– Świetnie.

Zawiał silniejszy podmuch, przeganiając górną warstwę chmur, odsłaniając surowe, strzeliste skały. Wyglądały upiornie i majestatycznie.

– Nie podoba mi się tutaj – rzekł Bishop cicho, ale jego głos i tak się poniósł we mgle.

– Tobie nic się nie podoba – fuknęła Miriam. – Ja uważam, że to urocze miejsce. Może wybierzemy się tutaj na miesiąc miodowy?

– Jesteś walnięta.

– Dzięki.

Ezra nie widział tego, ale był pewny, że Funke się wyszczerzyła.

– Dotarliśmy – oznajmił, dotykając dłonią ściany. – Jednolita skała.

– *Idźcie w prawo wzdłuż ściany jakieś piętnaście metrów* – odezwała się Abigail.

Ponownie ruszyli. Tym razem szli gęsiego, trzymając broń tak, żeby w razie niebezpieczeństwa nie strzelać do siebie nawzajem. Ezra szedł pierwszy, ich niewielki pochód zamykał Bishop. Od czasu do czasu w gęstej mgle rozlegał się stukot kamieni obsuwających się ze zboczy, pisk przelatujących ptaków i nawoływania zwierząt. Wszystkie te dźwięki niosły się we mgle, wyolbrzymione i przez to wywołujące ciarki.

Nagle Leahy poczuł, że jest bacznie obserwowany. Zerknął w stronę promu, ale nie dostrzegł nawet sylwetek towarzyszy.

– Abigail?

– *Tak?*

– Widzicie nas?

– *Nie* – odparła. – *Mgła jest zbyt gęsta.*

Ciężko przełknął ślinę.

– Detektor ruchu coś pokazuje?

– *Nic a nic. Ale zbliżacie się do miejsca, gdzie skan wskazuje na pustą przestrzeń wewnątrz góry.*

– Rozumiem – odparł krótko.

Nie podobała mu się ta planeta. Wychował się na globie, gdzie wzrokiem można było objąć cały horyzont. Tutaj czuł się jak ślepiec. Mgła zasnuwała oczy, wdzieriała

się w nozdrza, do płuc, dusiła i chlastała wilgocią po twarzy. Ezra już nienawidził tego miejsca. Nie rozumiał, jak może się podobać Abigail i Miriam. Stwierdził, że kobiety mają inne poczucie estetyki. Zastanawiał się tylko, czy wszystkie, czy wyłącznie te należące do Siódemki.

Jego rozmyślania nagle przerwał głos.

– *Stójcie!*

Leahy natychmiast zatrzymał się i uniósł zaciśniętą pięść. Idąca za nim dwójka zwiadowców również przystanęła.

– Co się dzieje? – Ezra zapytał szeptem.

– *Na jedenastej! Jakieś dziesięć metrów przed wami. Widzicie coś?*

– Nic a nic – odparł, czując, jak strach zaczyna pełznąć mu po karku.

Uniósł lufę i zrobił krok do przodu. We mgle coś się poruszyło. Zimny pot zrosił czoło Ezry, serce waliło jak oszalałe, a palec na spuście zaczął nerwowo drżeć. Leahy miał świadomość, że zaledwie kilka kroków od niego może czaić się jaszczur gotowy rozszarpać go gołymi rękoma. Młodzieniec pamiętał walkę z jednym z nich na pokładzie „Hajmdala”. Wówczas jakimś cudem udało mu się powalić większego i silniejszego Lacertanina. Teraz mógł nie mieć tyle szczęścia.

– *Zmierz w waszym kierunku!* – w słuchawkach eksplodował krzyk Abigail.

Ezra przyklęknął na jedno kolano, uniósł broń do oka. W jego ślady poszli Bishop i Funke. Cokolwiek wylezie z mgły, zostanie poczęstowane pociskami wystrzelonymi z trzech karabinów C-24.

Najpierw wynurzyły się żółte oczy, potem niemal dwumetrowe zielone cielsko nakrapiane czarnymi plamami. Stwór posiadał gadzią głowę, długi ogon i poruszał się na czterech łapach.

Funke roześmiała się i położyła dłoń na ramieniu Tobiasa.

– Przestraszyłeś się zwykłej jaszczurki – powiedziała. – Wywaliłeś pół magazynku do tego biednego zwierzaka.

– Wiem, co widziałem, i to nie był zwyczajny gad – odburknął urażony Bishop. – Dostrzegłem inteligencję w tamtych oczach.

– Akurat! – Funke nie przestawała się śmiać. – Zobaczyłeś zwykłą jaszczurkę i prawie się zesrałeś w gacie.

– Odwal się! – warknął Tobias.

Ezra otarł pot z czoła i opuścił broń. Wziął głęboki oddech, uspokoił skołatane serce. Na szczęście był to fałszywy alarm.

– *Wracajcie* – usłyszał w słuchawkach kapitana Dasha. Po głosie można było przypuszczać, że jest wściekły. – *Straciliśmy tutaj wystarczająco dużo czasu.*

– Tak jest – odpowiedział Ezra, ostatni raz spoglądając na jaszczurkę, która niezgrabnie ruszyła w stronę skalnej ściany. Gdy do niej dotarła, nagle zniknęła.

Zaintrygowany Leahy postąpił krok do przodu i dopiero wówczas dostrzegł wąską

szczelinę.

– Poczekajcie – rzekł. – Zdaje się, że znalazłem wejście do jaskini.

SYSTEM ALMAAZ ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY

Sandra Thushpa zbladła. Od zawsze była przekonana, że nic na świecie nie jest w stanie wyprowadzić jej z równowagi. A nawet jeśli, nigdy nie dawała tego po sobie poznać, jak wówczas, gdy na jej oczach toczym zniszczył planetę Aquaris. Potrafiła zachować zimną krew w każdej sytuacji, podejść do spraw rozsądnie, kierując się logiką i na bok odkładając emocje. Ale teraz szok sprawił, że straciła panowanie. Rhw'kho mówiło o jej matce!

– Nie wierzę w to! – podniosła głos, ale tym razem nie przejmowała się, że ktoś z gości bankietu ją usłyszy. Przestało ją to obchodzić.

– Sandro – ambasador uśmiechnęło się łagodnie – przecież wiesz, że to prawda.

Tak. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Po prostu nie chciała tego do siebie dopuścić, bo to oznaczało, że...

– Jesteś jedną z nas – dopowiedziało Rhw'kho. – Ardhanari.

Doktor Thushpa milczała przez dobrą minutę, wpatrując się w iluminator. Prom przedzierał się przez chmurę pyłu otaczającą Almaaz i nic więcej nie było widać, ale to nie miało żadnego znaczenia. Pogrążona we własnych myślach i tak nie zwracałaby uwagi na piękno kosmosu.

Od zawsze wiedziała, że jest inna niż wszyscy. Nigdy jej to nie przeszkadzało. Posiadała nieprzeciętną urodę, wysoką inteligencję i cechy charakteru, które sprawiały, że osiągała sukcesy na wielu polach. Myślała, że odziedziczyła to po rodzicach. Po matce, która uchodziła za niezwykłą piękność i wybitną kognitywistkę, oraz po ojcu, piekielnie zdolnym polityku, który powołał do życia Federację Terrańską.

Ponadto została genetycznie zmodyfikowana jeszcze w łonie matki, co wyeliminowało wszelkie niedoskonałości zarówno ciała, jak i umysłu. Posiadała inteligencję wyższą od innych, rozpracowanie problemów zajmowało jej mniej czasu, logika górowała u niej nad emocjami. To zaś wiązało się z tym, że relacje z ludźmi nie wyglądały tak, jak powinny. Gardziła wszelkimi formami interakcji społecznych, miała problemy z okazywaniem uczuć i empatią. Przez to uchodziła za arogancką, zimną sukę. Ale dzięki temu nie musiała zajmować się podtrzymywaniem kontaktów towarzyskich i mogła cały czas poświęcić pracy.

Jednak w tym murze, którym oddzielała się od świata i ludzi, pojawił się wyłom. Może sprawiły to wydarzenia w systemie Epsilon Eridani, gdzie otarła się o śmierć i była świadkiem morderstwa tysiąca ludzi, a może pojawienie się w jej życiu pewnego mężczyzny.

Na wspomnienie Ezry poczuła ból w piersi. Nie sądziła, że może jej go tak brakować. To nie była żadna miłość. Zresztą Sandra Thushpa uważała to uczucie za romantyczny wymysł. Miłość nie była niczym innym niż podwyższonym poziomem fenyloetyloaminy i dopaminy oraz pętlami neuronalnymi, zaprzęgniętymi w proces doboru naturalnego. A ona nie miała zamiaru zakładać rodziny i mieć dzieci. Dlaczego więc Leahy stał się dla niej tak ważny?

Myślała o nim nawet teraz, gdy świat zwałił jej się na głowę. Zastanawiała się, jak on by zareagował. Czy poczułby do niej wstręt i obrzydzenie? Znienawidziłby ją za to, że jest hybrydą? Nie. Za dobrze go znała. Ezra próbowałby ją pocieszyć i jakoś pomóc przez to przejść. Ale nie było go tutaj. Pozostał na „Hajmdalu”, z którego ona uciekła w poszukiwaniu prawdy o sobie. I teraz, gdy ją znalazła, musiała się z nią zmierzyć sama.

Przeniosła spojrzenie na ambasadora. Spojrzała w oczy emanujące czystym złotem. Do tej pory uważała Ardhanari za istoty hedonistyczne, skupione na doznaniach fizycznych i duchowych, bez imperialnych ambicji. Okazało się jednak, że interesuje je wielka polityka i pragną wejść do gry, która toczy się o władzę w Galaktyce.

– Jest więcej takich, jak moja matka i... ja?

Rhw'kho lekko pokręciło głową. Srebrne włosy mocniej zafalowały.

– Niewiele – odparło. – Eksperymenty nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Okazało się, że pomimo podobieństwa genomu ludzkiego i Ardhanari stworzenie hybrydy nie jest proste. Na sto przypadków narodzin dziewięćdziesiąt dziewięć to zdeformowane mutanty, które do niczego się nie nadają.

Sandra przełknęła głośno ślinę. Nie odważyła się pytać, co się z nimi dzieje. Ardhanari nie zwykli okazywać empatii.

– A te, które przetrwały selekcję, wykorzystywaliśmy w najróżniejszych projektach, których natury nie mogę ci wyjaśnić. Jednak wszystkie te hybrydy okazały się bezpłodne. Oprócz jednej.

– Mojej matki.

– Tak – przytaknęło. – Twojej matki.

Doktor Thushpa spojrzała na Rhw'kho podejrzliwie.

– I pozwoliliście jej odejść? Swojemu najlepszemu prototypowi?

Ambasador zmarszczyło brwi, na bladej twarzy pojawił się gniewny grymas.

– Wymknęła nam się. Pilnowaliśmy jej dobrze, a pomimo tego nam uciekła. Nie doceniliśmy ludzkiego sprytu i kreatywności. Błędem było postrzegać ją jako Ardhanari. Długo jej szukaliśmy, ale zdołała oszukać wszystkich. Piękna, przebiegła i przerażająca w swojej determinacji.

Na ustach Sandry pojawił się delikatny uśmiech. Poczuła dumę z matki, a jednocześnie zadowolenie, że odziedziczyła jej geny.

– Zatarła za sobą wszelkie ślady. Gdy wreszcie udało się nam trafić na jej trop, ktoś

nas ubiegł.

– Velmeni – stwierdziła kobieta.

– Nawet nie musieli się starać – rzekło ze złością Rhw'kho. – Sama oddała się w ich ręce. Doprawdy, nie wiem, co jest tak atrakcyjnego w ich filozofii życia i religii, że całkowicie się temu poddała. Poświęciła wszystko. Własną tożsamość, ardhanariańskie dziedzictwo, a nawet rodzinę.

Sandra posmutniała. Rhw'kho umiejętnie zagrało na jej emocjach. Cios był celny. Kobieta poczuła złość na matkę, gniew, który ją rozpałał od wielu lat, w końcu znalazł ujście.

– To nie ma sensu! – warknęła. – Chyba nie jestem na to gotowa. Na spojrzenie jej w twarz. Gonię za mrzonkami, iluzją czegoś, czego już nie ma. Czego nigdy nie miałam. Nasze spotkanie niczego nie zmieni. Nie odzyskam ani jej, ani straconego dzieciństwa. Ona jest mistrzynią. Sercem i ciałem należy do Velmenów.

Zamilkła na chwilę, pokręciła głową.

– Nie wiem, co sobie myślałam, wyruszając na tę wyprawę. Zachowałam się jak naiwna dziewczynka, pragnąca matczynego ciepła i uwagi. Tymczasem jestem dorosłą kobietą, która nikogo nie potrzebuje. A na pewno nie jej. Niepotrzebnie tutaj przyleciałam.

Ardhanari sięgnęło palcami do policzka Sandry i dotknęło spływającej łzy. Nawet nie wiedziała, że płacze. Przyłgnęła do jego dłoni. Pozwoliła sobie na zanurzenie się w jego aurze. Pragnęła ukojenia i bliskości. Oddać mu się... Gdy ją przytuliło, poczuła rozlewającą się po ciele błogość.

– Niczego nie żałuj, Sandro – wyszeptało Rhw'kho. – Przeznaczenie przywiodło cię do nas. Do twojej prawdziwej rodziny. My cię rozumiemy, jesteś bardziej podobna nam niż ludziom. Zaopiekujemy się tobą...

Nagle wszystko zrozumiała. Gwałtownie się odsunęła.

– Nie! – syknęła gniewnie. – Zapominasz, z kim masz do czynienia. Nie jestem idiotką. Nie dam się oczarować! Mówisz mi to wszystko, bo jestem wam potrzebna. Do badań. Moja matka się wam wymknęła, ale macie mnie. Drugą hybrydę zdolną do rozrodu.

– To prawda – przyznało Rhw'kho. – Potrzebujemy cię do naszego projektu. Do projektu, od którego zależą losy Galaktyki. Ale nie tylko. Jesteś jedną z nas. Naprawdę nam na tobie zależy, Sandro. Mnie na tobie zależy...

– Bzdura! Zbyt dobrze znam Ardhanari. Zależy wam tylko na was samych. Ale w jednym masz rację. Jestem jedną z was. Cechuje mnie egoizm. Nie pozwolę się wam wykorzystywać. Znajdźcie kogoś innego.

Ruszyła w stronę wyjścia, ale Rhw'kho złapało ją za ramię. Bardzo mocno. Wiedziała, że będzie miała siniaka. Spojrzała w oczy ambasadora i przeraziła się. Emanowały wściekłością.

– Nie pozwolimy ci odejść – wysyczało.

Próbowała się wyrwać, ale trzymało ją mocno. Rozejrzała się. Bankiet trwał w najlepsze i nagle uświadomiła sobie beznadziejność własnej sytuacji. Gdzie niby miałaby uciec? Znajdowała się na ardhanariańskim promie, którego całą załogę stanowili przedstawiciele gatunku Rhw'kho. Nikt z pasażerów nawet nie kiwnąłby palcem w jej obronie, a na Czachę i Lasanta nie miała co liczyć. Uzależnieni od narkotyków i cielesnych rozkoszy nie widzieli sensu w ucieczce z raj.

Doktor Sandra Thushpa zrozumiała, że jest w potrzasku i nic jej już nie uratuje.

Wtem rozległ się alarm. Goście w pośpiechu opuszczali salę bankietową, członkowie załogi próbowali opanować panikę, ale nie na wiele się to zdało. Zaniepokojone Rhw'kho przywołało oficera ubranego w purpurowo-niebieską liberię ociekającą złotem.

– Co się dzieje? – zapytało.

– System Almaaz został zaatakowany.

– Przez kogo? – zdumiało się ambasador.

– Przez Velmenów.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Leahy zbliżył się do szczeliny w skale, która wcale nie była taka wąska, jak mu się wcześniej wydawało. Na pewno miał na to wpływ kąt obserwacji i kłębiąca się wszędzie mgła. Ezra z pewnym zdziwieniem stwierdził, że dorosły człowiek bez problemu precyzyjnie się przez otwór. Poczł smród bijący z wewnątrz i natychmiast się cofnął. Sięgnął po apaszkę wiszącą na szyi i zakrył nos. Niewiele pomogło. Śmierdziało ekskrementami i padliną. Mimo to zwiadowca postąpił krok.

– Dokąd? – zapytał Bishop, chwytając go za łokieć.

– Trzeba to sprawdzić.

– Nigdy się nie nauczysz? Już zapomniałeś, jak wlałeś do tego zniszczonego zigguratu i trzeba cię było ratować?

– To był pomysł Abigail.

– A ty jak ostatni dureń jej posłuchałeś.

Fakt. Dokładnie tak było. Torres zaproponowała, żeby zbadali opuszczoną świątynię Khon-Ma, a on się zgodził. Dotarli w głąb zniszczonego zigguratu, do samego serca budowli i odkryli olbrzymi posąg przedstawiający mężczyznę i kobietę. Niezwykle było to, że wykonany został przed tysiącami lat, w czasach gdy ludzka cywilizacja dopiero raczkowała. Teraz już wiadomo było, że wykonały go pajęczaki, ale nikt nie potrafił powiedzieć, w jakim celu.

Ezra wzruszył ramionami.

– Wchodzę! – rzucił krótko i postąpił krok do przodu. Bishop mruknął coś pod nosem i ruszył za nim. Leahy wiedział, że jako dowódca plutonu powinien wydać mu rozkaz pozostania na zewnątrz, ale zrezygnował. Wolał mieć kogoś u boku.

– Ciemno tu jak w dupie – stwierdził Tobias.

Włączyli latarki osadzone na lufach karabinów i oświetlili wnętrze. Tak jak Ezra przypuszczał, szczelina w skale prowadziła do obszernej jaskini. Snopy światła błędziły po zwisających stalaktytach, okazałych głazach, bielejących kościach i resztkach gnijącego mięsa. Nagle mężczyźni ujrzeli coś, co wprawilo ich w osłupienie.

– O kurwa! – pierwszy odezwał się Bishop.

– Ezra? – usłyszał w słuchawkach zaniepokojoną Torres. – *Co się dzieje?*

– Znaleźliśmy coś.

– Co?

– Wygląda na całkiem spore składowisko broni.

– *Broni?*

– Przynajmniej tak mi się wydaje.

– *Nie jesteś pewny?*

Leahy opisał jej dokładnie, co widzi. Według niego była to prymitywna broń, podobna tej, przy pomocy której na Ziemi toczono wojny w epoce przed wynalezieniem prochu. Sporo było włóczni o żelaznych grotach, długie lance, drewniane styliska z nasadzonymi żeleźcami o tnących i ząbkowatych krawędziach, a nawet coś na kształt toporów i tasaków. Obok tej sterty żelaza dostrzegł tarcze, łuskowe i lamelkowe zbroje z utwardzanej skóry. Ekwipunku wystarczyłoby, żeby wyposażać całą kompanię wojska.

– Wygląda na używane przez humanoidalne istoty – zakończył Leahy. – Co wiemy o tubylcach?

– *Niewiele* – przyznała Abigail. – *Tylko to, co wygrzebaliśmy z archiwów jednej z bahiriańskich ekspedycji, która dotarła do Chi Aurigae i pobieżnie zbadała planety tego systemu. Według tych relacji Manju zamieszkują inteligentne istoty ery przedkosmicznej, ale nawet nie znamy ich dokładnego wyglądu. Wiemy tylko, że posługują się narzędziami, które w dziejach ludzkości przypadają na okres żelaza.*

– To by się zgadzało – rzekł Ezra. – Są agresywni? Powinniśmy się nimi martwić?

– *Tego nie wiemy. Myślę jednak, że w tej chwili Luusaat są poważniejszym zmartwieniem. Wracajcie. Kapitan się niecierpliwi. Powinniśmy już dawno wyruszyć. Musimy obejść tę przekłętą górę...*

– Moment – rzekł Leahy, mrużąc oczy. Postąpił kilka kroków i dostrzegł korytarz biegnący w głąb góry. – Czy okręt rozbił się po drugiej stronie?

– *Zgadza się. Tak wskazują odczyty z sensorów „Zenitu”. Czemu pytasz?*

– Wiem, jak zaoszczędzić czas...

Kapitan Bastian Dash na początku był sceptyczny, ale gdy okazało się, że kotlina jest szczelnie otoczona górami i żołnierze musieliby wdrapywać się po niemal pionowej skale, przystał na pomysł Ezry. Leahy podejrzewał, że jaskinia była czymś w rodzaju strażnicy, a wyżłobiony w skale tunel prowadził na drugą stronę góry. Ale musieli być pewni. Trzeba było użyć drona.

Ezra westchnął ciężko. Nie lubił go obsługiwać. Nikt nie lubił. Dron rozpoznawczy posiadał oprogramowanie integrujące się ze zmysłem wzroku i falami mózgowymi człowieka. Dzięki temu operator mógł nim sterować samą myślą i widział to samo, co kamery zamontowane na urządzeniu. Jednak wiązało się to z nieprzyjemnym uczuciem odrealnienia. Leahy wiedział, że właśnie on będzie musiał to zrobić. Przede wszystkim dlatego, że to był jego pomysł. Co prawda lepszymi umiejętnościami w tym względzie dysponował Tobias, ale wychowany na planecie okupowanej przez Velmenów unikał jak ognia cybernetycznej technologii i Ezra musiał to uszanować.

W Plutonie 7 było jeszcze czterech ludzi, ale Gonzalez i Björk służyli od niedawna i podczas skróconego szkolenia nie uczyli się obsługi dronów. Natomiast Abigail nie

potrafiła zintegrować fal mózgowych z urządzeniem. Prawdopodobnie miał na to wpływ czas, jaki spędziła w letargu na żyjącym okręcie Khon-Ma. Testy wykazały, że posiada anomalną amplitudę fal delta i theta, które występowały u człowieka podczas medytacji. Torres jednak nigdy nie skarżyła się na żadne dolegliwości i przeszła wszelkie możliwe badania psychiatryczne.

– Dasz sobie radę? – zapytała, podchodząc do Ezry, gdy ten stał, wpatrując się w trzymaną w dłoni metalową kulę z licznymi wypustkami. Miał już na głowie urządzenie z wizjerem optycznym w formie żelowej mazi, która zdążyła wnikać do oka. Wystarczyło uruchomić odpowiednie procedury. Wiedział, że im dłużej zwleka, tym to będzie trudniejsze. Podczas sterowania dronem wszyscy operatorzy zawsze doświadczali uczucia nierealności, gdy ich zmysł wzroku integrował się z kamerami i czujnikami sondy. Leahy wypuścił powietrze i aktywował urządzenie.

Po raz ostatni sterował dronem w czasie misji na pustynnym księżycu Monarchy w systemie Zeta Monocerotis. Podobnie jak teraz, dokonywał rozpoznania wydrążonych w skałach jaskiń i tuneli. Wówczas kamery zarejestrowały obraz Nihwa – dzikich i strasznych stworzeń o wielkich kłach wystających pomiędzy mięsistych warg, z którymi potem przyszło im walczyć. Ezra obawiał się, że tym razem mogą trafić znacznie gorzej.

Zestroił zmysły z systemem operacyjnym drona i poczuł przenikającą obcość oraz poczucie, że znajduje się w dwóch miejscach jednocześnie. Szybko jednak to opanował i skupił się na sterowaniu. Metalowa kula uniosła się i pognąła do jaskini. Ezra uruchomił kamerę na podczerwień i standardowy zestaw rejestratorów. Uderzyły go tysiące terabajtów danych, które bezpośrednio trafiły do jego mózgu.

Dron był tworem togariańskiej technologii. Inżynierowie dominium byli w stanie przeanalizować wszystkie informacje w jednej chwili, ale człowiekowi zajęłoby to lata. Dlatego Ezra skupił się tylko na obserwacji wizualnej i najważniejszych wskaźnikach geolokalizacyjnych.

Szybko doszedł do wniosku, że większość korytarzy nie powstała w sposób naturalny, w wyniku erozji, ale została wydrążona. Zapewne dokonali tego tubylcy, co biorąc pod uwagę ich poziom technologiczny, było olbrzymim osiągnięciem i musiało kosztować sporo wysiłku. Z drugiej jednak strony, ciągłe wspinanie się i schodzenie z gór mocno utrudniało życie, więc budowa tuneli pod nimi była najlepszym rozwiązaniem.

W samym sercu góry znajdował się kompleks mieszkalny. Leahy spostrzegł szereg małych komnat, oddzielonych od korytarza kotarami, gdzie znajdowały się legowiska ze skór, gliniane naczynia, broń i różnorakie sprzęty gospodarcze. Do ścian przytwierdzono stelaże na łuczywa. Jednak miejsce było opuszczone, skan nie wykrył żadnego ruchu ani sygnatur cieplnych żywych istot.

Ezra na bieżąco zdawał relację z tego, co widzi. Słyszał, jak kapitan Dash

konsultuje coś z Shadracgiem Khaidu, ale chociaż obaj stali obok niego, nie rozróżniał poszczególnych słów, jakby rozmowa dochodziła z oddali. To był skutek podziału uwagi. Potem Leahy usłyszał, jak Khaidu wydaje polecenia szturmowcom, i domyślił się, że chodzi o zwiększenie bezpieczeństwa w obliczu wykrycia siedziby tubylców. Nigdzie nie było ich widać, więc założył, że mogą czaić się gdzieś w pobliżu, skryci w oparach mgły.

– Znalazłem wyjście po drugiej stronie góry! – zakomunikował radośnie Ezra, widząc światło na końcu korytarza. – Według analizy danych przemarsz całej kompanii powinien zająć niecałe czterdzieści minut.

– Nie zostawię promu bez ochrony – Leahy usłyszał z oddali głos kapitana Dasha. – Jeden pluton zostanie na miejscu, w razie gdyby autochtoni czegoś próbowali. Sierżancie Khaidu, proszę wyznaczyć do tego zadania Pluton B.

– Tak jest, kapitanie – odparł Shadracg i dodał coś jeszcze, czego Ezra nie zrozumiał, pochłonięty tym, co zobaczył, gdy dron opuścił jaskinie.

Wśród oparów mgły majaczył potężny kształt, wbity w ziemię. Skalisty obiekt tlił się jeszcze i dymił po przejściu przez atmosferę planety. Wyglądał nienaturalnie wśród soczystej zieleni pokrywającej dno kotliny, niczym upiór nawiedzający sielankowy krajobraz.

Okręt-asteroida budził prawdziwą grozę.

SYSTEM CHI AURIGAE SEKTOR CENTRALNY

Valeria pchnęła dźwignię przepustnicy, maksymalnie zwiększając moc silników. Na wewnętrzny wizjer hełmu przywołała dane dotyczące prędkości lotu. Rozczarowana pokręciła głową. Według jej oceny liczby zmieniały się zbyt wolno. Przyspieszenie myśliwca pozostawiało wiele do życzenia. Czarna tęskniła za maszynami, z którymi „Hajmdal” zaczynał swoją podróż, natomiast te, sklecone przez pokładowych techników ze złomu pozostającego po potyczkach, nie posiadały tak dobrych parametrów. Były zbyt wolne i za mało zwrotne. Należało jednak przyznać, że dysponowały lepszym uzbrojeniem, bowiem oprócz działek laserowych wyposażone zostały w wyrzutnie rakiet atomowych lub plazmowych.

Valeria wybrała ten drugi rodzaj pocisków ze względu na głowice z ładunkiem rozrywającym struktury atomowe, które powodowały ogromne zniszczenia, ale musiały mieć dobre systemy naprowadzania. Nie miała tylko pewności, czy te zamontowane przez Bahirian sprawdzą się w ogniu walki. Dobrze wiedziała, że jeśli rakiety plazmowe osiągną celu, nic z niego nie zostanie. Jeśli trafią... Na razie postanowiła się tym nie przejmować. Najpierw należało doścignąć nieprzyjaciela. A to, wbrew pozorom, nie było takie proste.

Okrety-asteroidy nie dysponowały silnikami, ale dzięki bliskości gwiazdy systemu, której promieniowanie napędzało żagle słoneczne, osiągały coraz większe przyspieszenie i zachodziła obawa, że wymkną się pogoni. Komputer pokładowy Valerii miał za mało danych dotyczących napędów stosowanych przez jednostki Luusaat, żeby przeliczyć, kiedy terrańskie myśliwce wejdą w zasięg skutecznego ostrzału.

– *Uciekną nam, skurwysyny* – usłyszała w słuchawkach rozczarowany głos Mubaadara.

Czarna mocniej zacisnęła wąskie usta. Obawiała się, że jej skrzydłowy ma rację. Jednak jako dowódca klucza nie mogła pozwolić na defetyzm wśród pilotów.

– Zamknij ryj, Czerwony Dwa – warknęła w eter. – Uformować szyk bojowy i czekać na rozkaz otwarcia ognia.

Valeria leciała pierwsza. Po prawej miała Mubaadara, po lewej Rudolfa Shirona. Klucz zamykali Luis Picton i Krasnal, który swój pseudonim zawdzięczał niskiemu wzrostowi. Przez długi czas był uziemiony i nie latał na misje bojowe. Krasnal był świetnym pilotem ciężkich myśliwców, ale po bitwie w systemie Epsilon Eridani eskadra „Grom” przestała istnieć, a on nie potrafił przystosować się do maszyn przechwytyjących. Dopiero gdy do użycia weszły hybrydy łączące w sobie cechy

myśliwców przechwytyjących, ciężkich i dalekiego zasięgu, wrócił do gry. I szybko udało mu się zająć miejsce w fotelu pilota klucza czerwonego.

Czarna kątem oka zerknęła na lidar, pokazujący pozycję drugiej formacji myśliwców. Pięć maszyn klucza niebieskiego, dowodzonych przez Franka Benneta, pozostawało w tyle o kilka tysięcy kilometrów. Uśmiechnęła się z satysfakcją. Poczła dumę ze swoich pilotów, którzy zdołali najszybciej wystartować. Złożyły się na to godziny morderczych treningów i ćwiczeń, ale nie tylko. Ważne było również odpowiednie przygotowanie maszyn. Bennet i jego ludzie zadzierali nosa, uważali się za elitę terrańskich sił zbrojnych. Ich pycha i arogancja wkurzały techników. Natomiast piloci klucza czerwonego zachowywali się zupełnie inaczej. Chętnie spędzali czas z obsługą hangarową, śmiali się z nimi, żartowali, pili, a nawet mieli wśród nich partnerów seksualnych, tak jak Picton, która obecnie spotykała się z dwoma facetami i jedną dziewczyną z pokładu hangarowego.

Valeria westchnęła z zazdrością. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni uprawiała seks. Nigdy nie miała tak bujnego życia erotycznego jak Picton, ale też nigdy nie uchodziła za cnotliwą. Wszystko zmieniło się po tym, jak Nelson ją zostawił. Czarna długo nie mogła się pogodzić z tym, że odszedł do innej. Do Abigail Torres. Skrzywiła się z niesmakiem, gdy o niej pomyślała. Dziewczyna już sobie kogoś znalazła. Wskoczyła do łóżka swojemu dowódcy.

Czarna zwróciła głowę w prawo, spoglądając przez szybę kokpitu na odległe gwiazdy, mające gamę kolorów, oraz dwa mgliste, białe kleksy. To były Obłoki Magellana. Dwie karłowate galaktyki, orbitujące wokół Drogi Mlecznej, wydawały się na wyciągnięcie ręki, ale w rzeczywistości były oddalone o ponad dwieście tysięcy lat świetlnych. Valeria miała dziką ochotę skierować w ich stronę myśliwiec, pognać w nieznaną i zapomnieć o wszystkim, a zwłaszcza o bólu. O Nelsonie. Może Abigail Torres to się udało, jej nie.

– *Tu Zielony Jeden* – z zamyślenia wyrwał ją głos Joela Paka. – *Niestety, cały klucz jest uziemiony z powodu problemów technicznych na pasie startowym. Nawet jeśli szybko to naprawią, i tak was nie dogonimy. Wybaczcie. Musicie poradzić sobie bez nas.*

– *Nie ma sprawy* – odparł Bennet. – *I tak nie byliście nam potrzebni. Klucz niebieski sam załatwi sprawę. Nie wiem, po co w ogóle wysyłają z nami siusiumajtki.*

– *Akurat!* – wypalił Mubaadar. – *Gdy klucz niebieski dotrze na miejsce, będzie po wszystkim. My ich załatwimy.*

– *Nie potraficie nawet załatwić się w toalecie.*

– *Pierdol się, Bennet.*

W eterze trwało przekomarzanie się, któremu towarzyszyły rubaszne śmiechy. Można było odnieść wrażenie, że piloci nie traktują poważnie misji i nic sobie nie robią z zagrożenia. Ale prawda była zupełnie inna. Śmiertelnie się bali i pod

płaszczkiem żartów oraz uszczypliwości ukrywali strach. Zdawali sobie sprawę, że bitwa z Luusaat to nie przelewki. Za sobą zostawili „Hajmdala”, do którego zbliżał się okręt-asteroida. Jeśli skalisty bolid staranuje drednota, a wampiry wedrą się na pokład, piloci nie będą mieli gdzie wracać.

Głosy w eterze ucichły, wszyscy pogrążyli się w ponurym milczeniu. Valeria sprawdziła odczyty i z satysfakcją stwierdziła, że odległość między dwoma okrętami Luusaat a terrańskimi myśliwcami cały czas maleje. Komputer pokładowy wreszcie zaczął przeliczać skąpe dane i okazało się, że za trzynaście minut klucz czerwony wejdzie w dystans skutecznego ostrzału raketowego.

Czarna chciała by to jakoś przyspieszyć, palce świerzbiły już ją, żeby nacisnąć spust i posłać rakiety w stronę niewidocznych okrętów-asteroid, ale wiedziała, że nic nie może zrobić. Musiała uzbroidać się w cierpliwość. Wzięła głęboki oddech, wbiła się głębiej w fotel i wróciła do przerwanych rozmyślań.

Nie potępiała Torres. Minął ponad rok od zaginięcia Nelsona. Dla niektórych to jedynie chwila, dla innych szmat czasu. Na „Hajmdalu” żyło się szybko i intensywnie, nikt nie był pewny, co czeka go następnego dnia. Niebezpieczeństwo czaiło się za plecami w postaci ścigającej ich floty Velmenów. W każdym systemie gwiazdnym mogli spotkać śmierć.

Ludzie na pokładzie drednota żyli chwilą. Czerpali z życia garściami i nie przejmowali się konwenansami. Nie było w tym jednak nic z hedonistycznej dekadencji, której Valeria doświadczyła, bawiąc niegdyś na ardnanariańskich planetach rozkoszy. Raczej był to powrót do pierwotnych instynktów, pragnienia utrzymania stada i kobieta zastanawiała się, kiedy na „Hajmdalu” zaczną się rodzić pierwsze dzieci.

Uśmiechnęła się z przekąsem. Ona sama zupełnie się do tego nie nadawała. Nigdy nie przejawiała instynktów macierzyńskich. Woląca pić na umór, wszczynać bójki i uprawiać hazard. Nie widziała się w roli matki.

Uchodziła za atrakcyjną kobietę i mężczyźni bez przerwy ją adorowali. Jednak od czasu rozstania z Nelsonem stała się nieczuła na wszelkie próby nawiązania intymnych relacji. Ale komuś się wreszcie udało. Na ustach Valerii pojawił się szeroki uśmiech.

W tym momencie komputer pokładowy poinformował, że za minutę obiekty znajdują się w polu rażenia rakiet. Natychmiast skupiła się na misji. Nagle wyświetlacz rozblęsnął na czerwono. Zawył alarm. Czarna spojrzała na wskazania lidaru i zaklęła głośno.

– *Obiekt na dziewiątej!* – darł się Krasnal. – *Obiekt na dziewiątej!*

– Widzę, idioto – odparowała.

Coś wychynęło z cienia planety Manju. Potężny, ciemny kształt, zdeformowany przez pierścienie pyłowe i przez to trudny do zidentyfikowania. Zbliżenie z kamer na

niewiele się zdało.

– *My się tym zajmiemy* – usłyszała spokojny głos Franka Benneta. – *Wy nie zbaczajcie z kursu. Dopadnijcie te okręty... I tak były wasze.*

– Wiem – odparła, lekko krzywiąc usta.

– *Udanego polowania.*

Valeria uśmiechnęła się drapieżnie i namierzyła pierwszy cel.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Żołnierze terrańskich sił zbrojnych szli przez tunel ostrożnie, jeden za drugim, oświetlając drogę latarkami osadzonymi pod lufami karabinów. Na ścianach tańczyły cienie, to wydłużając się, to kurcząc. Przywodziły na myśl straszliwe istoty, czające się w ciemnościach i gotowe skoczyć do gardeł głupcom, którzy zapuścili się w mroczne korytarze.

Ezra miał w głowie zakodowaną trasę, którą wcześniej pokonał dron, wiedział, gdzie skręcić i jaką wybrać odnogę, żeby się nie zgubić, więc prowadził dwudziestoczteroosobowy pochód. Sześciu ludzi zostało przy promie. Ich brak nie miał dużego znaczenia, jeśli Luusaat pozostali w letargu. Żołnierzy powinno w zupełności wystarczyć, żeby spalić ich w leżach. Ale jeśli wampiry się przebudziły... Młody sierżant wolał o tym nie myśleć. Należało zakładać optymistyczny scenariusz.

Leahy łapał się na tym, że co jakiś czas nieświadomie przyspiesza. Pragnął jak najszybciej opuścić podziemny labirynt, zostawić za sobą zaduch ciasnych korytarzy, bijący zewsząd smród i odetchnąć świeżym powietrzem. Wiedział jednak, że nie może ryzykować. Musiał działać powoli i ostrożnie. Tubylcy mogli wychynąć z ciemności i ich zaatakować. Uzbrojeni w broń białą nie mieli szans z żołnierzami wyposażonymi w karabiny maszynowe. To byłaby rzeź.

Lecz działali na własnym terenie i mogli wykorzystać element zaskoczenia. Wówczas nie obyłyby się bez ofiar po stronie ludzi. To zakrawałoby na ironię, gdyby zostali zaatakowani przez istoty, których przybyli bronić. Ostatnia myśl wywołała krzywy uśmiech na ustach Ezry.

Na razie tubylcy stanowili zagadkę. Ezra wiedział jedynie, że są humanoidalni. Wskazywał na to znaleziony rynsztunek bojowy. Ale Leahy nie miał pojęcia, jak odniosą się do przybyszów z gwiazd.

– Daleko jeszcze? – zapytał Bishop, który szedł tuż za Ezrą.

Tobias nie znosił ciasnych pomieszczeń i starał się trzymać od nich z daleka. Nie wchodził do jaskiń, wąskich korytarzy i wind, gdy nie musiał. Na pytanie, jak w takim razie znosi podróżowanie opancerzonym transporterem rozpoznawczym, gdzie miejsca jest niewiele, odparł z rozbrajającą szczerością, że pomaga mu gadanie. Faktycznie, Tobiasowi rzadko zamykały się usta, szczególnie podczas jazdy transporterem.

– Już niedługo – odparł Leahy, rozpoznając zakręt, za którym znajdował się korytarz prowadzący na zewnątrz. – Większość drogi mamy za sobą.

– To dobrze – w głosie Bishopa dało się słyszeć ulgę. – Nie mogę się doczekać, żeby skopać tyłki wampirom.

– Nie masz pojęcia, o czym bredzisz, błotołazie! – dobiegło z tyłu gniewne warknięcie Jeremiasza Ruona. – Jeśli myślisz, że to kolejna pierdolona wycieczka turystyczna dla zwiadowców, to się grubo mylisz. Luusaat to najbardziej niebezpieczne istoty, z jakimi miałem do czynienia. Nie chcesz z nimi stawać twarzą w twarz. Módl się, żeby pozostawały w letargu, bo jeśli się przebudziły, mamy poważnie przesrane.

– A co? Obleciał cię strach?

– Jak zobaczysz Luusaat, sam się zesrasz ze strachu.

Tobias prychnął pogardliwie, ale Leahy wiedział, że to tylko na pokaz. Bishop się bał, tak samo jak wszyscy. Dobrze wiedzieli, z czym mają do czynienia.

– Możesz tu poczekać z resztą szturmowców i zostawić wszystko w naszych rękach – rzekł buńczucznie Tobias. – Siódemka szybko załatwi sprawę i zdążymy jeszcze na kolację.

Ruon roześmiał się.

– Akurat! Krwiopijcy zrobią z ciebie krwawą miazgę, zanim zdążysz strzelić. A nawet jeśli jakimś cudem uda ci się trafić, to kule z tego twojego pierdolonego karabinku niewiele im zrobią. Te skurwysyny błyskawicznie się regenerują. C-24 możesz co najwyżej podłubać im w nosie jak patykiem. Zresztą do tego tylko nadaje się wasza broń.

Kłótnie oraz przekomarzania trwałyby jeszcze długo, gdyby nie sierżant Khaidu.

– Zamknąć ryje! – fuknął. – Zupełnie was popierdoliło? Znajdujemy się na obcej planecie, nic nie wiemy o jej mieszkańcach, przedzieramy się przez tunel, w którym jest ciemno jak w dupie, po drugiej stronie znajduje się okręt wypełniony po brzegi wampirami, a wy trajkoczeć jak przekupki na ushakijskim targu.

Mężczyźni wydukali przeprosiny i zamilkli. Ezra pozazdrościł Shadracgowi swobody, z jaką załatwił tę sprawę. Niewątpliwie Khaidu posiadał charyzmę i umiejętności przywódcze, które powinny cechować dobrego sierżanta. Shadracg jednak miał także doświadczenie. Dwadzieścia lat spędził w wojsku i dowodził już kilkoma oddziałami. Na polach bitew też niejednokrotnie stawał do walki. Na pewno nie był tak doświadczony jak Campbell i Odyn, ale swoje wiedział. Ezra miał nadzieję, że kiedyś też będzie miał tyle pewności siebie. Zastanawiał się, ile musi upłynąć czasu. A może to nie była kwestia czasu, tylko tego, co człowiek miał w sobie?

Wtem uwagę Ezry przykuł napis nad wejściem prowadzącym do kondygnacji mieszkalnej. Wcześniej, gdy prowadził tędy drona, musiał go przeoczyć albo kamera po prostu go nie zarejestrowała. Teraz, w snopie światła latarki, wyryte w skale symbole były doskonale widoczne. Składały się z kresek połączonych ze sobą i nieco

przypominały figury geometryczne.

– Coś pomiędzy pismem ikonograficznym a klinowym – orzekła idąca nieco z tyłu Abigail i włączyła kamerę umieszczoną na hełmie. – Później przeanalizuję nagranie. Wydaje mi się, że już gdzieś widziałam podobne symbole.

– Nie zatrzymywać się! – usłyszeli głos kapitana Dasha. – To nie wycieczka krajoznawcza. Idziemy!

Przejsie pod górą zajęło im trzydzieści pięć minut. Ezra wyliczył, że gdyby mieli wspinać się na szczyt lub próbowali obejść górę, straciliby dobre trzy godziny. Zyskali sporo czasu, i to dzięki niemu. To właśnie Leahy odkrył tunel, dokonał rozpoznania dronem i przeprowadził oddział przez cały kompleks. U wylotu jaskini sierżant Khaidu poklepał go po plecach, stwierdzając, że wykonał świetną robotę, nawet kapitan Bastian Dash skinął mu głową. Pomimo tego Ezra nie czuł się jakoś wyjątkowo dumy. Po prostu zrobił to, co do niego należało.

Tutaj krajobraz wyglądał zupełnie inaczej. Mniej było szarości, a więcej zieleni. Wiatr przegonił mgłę i dzięki temu można było podziwiać dwa mieniące się srebrem pyłowe pierścienie. Oświetlał je intensywnym białym blaskiem jasny nadolbrzym, wiszący na błękitnym niebie.

Tobias szturchnął Ezrę, brodą wskazując wbity w ziemię bolid. Okręt Luusaat widziany z bliska wyglądał jeszcze bardziej złowrogo.

– Jeśli wampiry przeżyły katastrofę, i tak nie wyleżą – rzekł Bishop. – Słońce je spali.

– Nie byłabym tego taka pewna – wtrąciła Miriam, sprawdzając broń. – Na tej planecie mgła wciąż unosi się i opada. Rozejrzyjcie się.

Leahy przeniósł spojrzenie na góry ciągnące się po horyzont. Niektóre szczyty błyszczały w świetle promieni słonecznych, inne, skryte w gęstej mgłę, wydawały się odległe i niedostępne. Na pewno wiele było kotlin i dolin pozostających cały czas w cieniu, do których nie docierało żadne światło. Idealne miejsce dla wampirów.

– Naprzód! – krzyknął kapitan Dash. – Im szybciej to załatwimy, tym lepiej. Musimy zdążyć przed nocą.

Ruszyli natychmiast. Od rozbitego okrętu dzieliło ich niecałe trzysta metrów. Na wyposażeniu szturmowców oprócz agresorów znalazły się również ręczne miotacze płomieni. To wymagało noszenia plecaków ze zbiornikiem zawierającym mieszaną zapalającą.

Leahy zmarszczył brwi, uświadamiając sobie, że jego ludzie nie posiadają odpowiedniej broni do walki z Luusaat. Jedynie Ivar Björk dysponował perunem. Mocowany na specjalnej uprząży ciężki karabin wystrzeliwał ponad tysiąc pocisków teleskopowych kalibru dwanaście milimetrów na minutę. To miało szansę sponiewierać wampira. Ale na pewno nie kule z C-24. Ruon miał rację, że można było nim co najwyżej podłubać sobie w nosie. Pluton 7 jednak nie przybył tutaj, żeby

prowadzić otwartą walkę, ale żeby dokonać zwiadu i ewentualnie wytropić przeciwnika. Ta myśl wcale nie uspokoiła Ezry.

Żołnierze ostrożnie zbliżyli się do okrętu-asteroidy. Miał ponad pięćdziesiąt metrów długości, pomimo tego, że spora część skały została odłamana. Przód wbił się w ziemię, ale sterczący w górę tył był zupełnie odsłonięty. Ziała w nim spora dziura, przez którą mogli dostać się do środka.

– Pora zarobić na żołd – oznajmił Bastian Dash. – Wchodzimy!

SYSTEM ALMAAZ

ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY

Wyrwany ze snu Ghazan Zao rozejrzał się gniewnie po kajucie, gotowy zrugać tego, kto zakłócał mu odpoczynek, ale okazało się, że był sam. Dwoje Ardhanari, którzy dotrzymywali mu towarzystwa podczas narkotycznej uczty, a następnie zaspokajali jego najbardziej perwersyjne kaprysy seksualne, zdążyło już sobie pójść. Czacha przymknął powieki, bo czerwone pulsujące światło okrutnie drażniło oczy. Zastanawiał się, jak to możliwe, że na każdej jednostce należącej do humanoidalnego gatunku, bez względu na to, czy jest typu wojskowego, czy cywilnego, sygnalizacja alarmu zawsze ma czerwoną barwę. Tylko dźwięk był inny, bardziej dudniący, przystosowany do ardhanariańskich uszu, ale przez to wcale nie mniej irytujący.

Zao westchnął ciężko, bardziej zły niż przestraszony. Przez całe życie nie doświadczył takich luksusów i myśl o tym, że może to wszystko stracić, doprowadzała go do furii. Podniósł się z wygodnego łóżka. Z wysiłkiem. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był na treningu. Okres nieróbstwa sprawił, że przybrał siedem kilo. Na drednocie większość czasu spędzał na ćwiczeniach fizycznych, żeby pozostawać w najlepszej formie. Ale teraz nie był już żołnierzem terrańskich sił zbrojnych i nie uczestniczył w misjach bojowych, a jedynie w okazjonalnych bójkach w barze. A ostatnio nawet ich unikał, woląc oddawać się rozkoszom, jakie oferowali Ardhanari.

Wcale nie uważał, że zmiękł. Nic z tych rzeczy. Szturmowcem nigdy nie przestaje się być. Zawsze gotowy do walki i spuszczenia łomotu...

Zatoczył się i omal nie przewrócił. Cały czas w głowie szumiało mu od nadmiaru alkoholu i narkotyków. Spojrzał wściekle na podłogę, jakby to ona była winna. Dostrzegł tam swoje spodnie i szybko je włożył. Nie zadając sobie trudu poszukania reszty garderoby, wyszedł na korytarz sprawdzić, co się dzieje.

Zaraz na progu wpadł na niego humanoidalny osobnik o szarej twarzy z licznymi zrogowaceniami. Czacha nie wiedział, z jakiego gatunku pochodzi, i za bardzo go to nie obchodziło. Odepchnął obcego i przecisnął się przez spanikowany tłum gości do najbliższego punktu informacyjnego. Jednak hologram wyświetlał tylko komunikaty w ardhanariańskim, którego Zao nie rozumiał. W pierwszej chwili chciał kogoś zatrzymać i spytać o powód zamieszania, ale zorientował się, że nie ma przy sobie tłumacza. Zostawił go w kurtce, która prawdopodobnie leżała gdzieś na podłodze obok reszty ubrań. Rozwahał powrót po nią, ale w tym momencie spostrzegł w tłumie burzę kręconych włosów.

– Lasanto! – zakrzyknął.

Młody pilot przystanął i rozejrzał się. Gdy dostrzegł Czachę, jego usta najpierw

bezwiednie się skrzywiły, a dopiero potem ułożyły w coś na kształt uśmiechu. Nie lubili się od samego początku. Połączyła ich osoba Sandry Thushpy i wspólna podróż, ale nie było mowy, żeby zostali przyjaciółmi. Różnili się diametralnie. Ghazan Zao był agresywnym i opryskliwym gburem, zaś Lasanto sympatycznym młodzieńcem.

Czacha przepchnął się do niego.

– Co tu się dzieje?

– Nic nie słyszałeś?!

– Nie – odburknął. – Spałem.

Lasanto pobłaźliwie pokręcił głową. W normalnej sytuacji Zao prawdopodobnie uniósłby się gniewem, pewnie nawet uderzył chłopaka, bo już za mniejsze przewiny katował ludzi, ale tym razem chwycił go tylko za ramiona i wycharczał:

– Mów!

– Velmeni najechali Almaaz!

– Co ty pierdolisz?!

– Mówię prawdę.

Czacha szeroko otworzył oczy. Nie mógł w to uwierzyć. Zdawał sobie sprawę z potęgi technologicznej Velmenów i z tego, jaką siłę stanowią ich krążowniki, ale Cesarstwo Bahiriańskie nadal uchodziło za militarne mocarstwo, z którym nikt nie zadzierał.

Chwycił pilota za rękaw i pociągnął go w stronę najbliższej windy.

– Idziemy!

– Dokąd?

– Do hangaru.

Na najniższym pokładzie cumowały barki dyplomatyczne i luksusowe jachty gości. Tam też znajdował się „Zenit”, prom, którym uciekli z „Hajmdala”. Oficjalnie należał do Federacji Terrańskiej, ale Czacha uważał go za swoją własność.

– Nie! – Lasanto mu się wyrwał.

– Chodź! Nie ma czasu do stracenia.

Zao słusznie obawiał się, że za chwilę nie dostaną się do windy. Tłok był coraz większy, panika objęła już wszystkie pokłady.

– Nigdzie nie pójdę! – Lasanto zatrzymał się. – Najpierw musimy odnaleźć Sandrę.

– Pojebało cię?!

– Nie zostawię jej.

W oczach Czachy błysnęła wściekłość. Zacisnął pięści, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Gówniarz był mu potrzebny – Czacha nie potrafił pilotować.

– Ona da sobie radę – rzekł, starając się panować nad głosem. – A jeśli Velmeni wejdą na pokład, jesteśmy zgubieni. Wiesz, co z nami zrobią, gdy dowiedzą się, kim jesteśmy? Nie muszę ci przypominać, że ścigają „Hajmdala”.

– Ale my przecież już nie służymy na okręcie – stwierdził naiwnie Lasanto.

– Myślisz, że ma to dla nich jakieś znaczenie?

W oczach młodzieńca pojawił się strach.

– Ale Sandra...

– Naprawdę chcesz umierać za tę głupią cipę!?

Lasanto przygryzł dolną wargę. Widać było, że się waha. Bez wątpienia był zauroczony piękną panią doktor, ale ona cały czas go zbywała. Nieco mu przeszło po przybyciu na ardhanariański prom, gdy miał okazję rozładować napięcie seksualne, ale nadal czuł się wobec niej lojalny.

– Nie martw się o nią – Czacha spróbował z innej strony. – Jest przecież ulubienicą ambasadora i ono o nią zadba.

Zao z satysfakcją spostrzegł, jak twarz Lasanta czerwienieje ze złości. Czacha wiedział, jaką strunę poruszyć, żeby wywołać zazdrość u chłopaka.

– Masz rację – rzekł pilot.

Tak jak Czacha przewidywał, nie udało im się wcisnąć do żadnej windy w głównym korytarzu i musieli skorzystać z towarowej. Przez to stracili mnóstwo czasu, bo zwiozła ich do magazynu i dopiero stamtąd przeszli do sekcji hangarowej.

– Nie rozumiem, jak Velmeni mogli zaatakować? – zachodził w głowę Zao. – Przecież do systemu miała przybyć tylko ich delegacja dyplomatyczna, zatem dysponowali najwyżej trzema okrętami.

– Pojawiło ich się więcej. Dużo więcej.

– Jak zdołały przemknąć przez posterunki graniczne?

Czacha przypomniał sobie, że gdy ich prom wyszedł z nadświetlnej na obrzeżach układu, był kilkakrotnie kontrolowany, chociaż posiadał status dyplomatyczny.

– Kamuflaż – odparł Lasanto.

– Racja – odburknął Zao i zmarszczył czoło, przypominając sobie misję ratunkową na pustynnym księżycu Monarchy, gdzie mieściła się tajna baza Velmenów, w której testowano nową technikę kamuflażu. – Ale z tego, co pamiętam, działało to tylko na myśliwce.

Pilot wzruszył ramionami.

– Widocznie udoskonalili technologię.

– Chujowo.

Doszli do grodzi oddzielających część magazynową od hangaru. Drzwi otworzyły się z pneumatycznym sykiem, a oczom Zao i Lasanta ukazał się chaos. Istoty najróżniejszych gatunków kłębiły się na pasie startowym, przepychając i próbując dostać do zaparkowanych jednostek. Większość z nich nie była większa od myśliwca i mieściła zaledwie kilka osób. Walczono o miejsca rękoma, szponami, pazurami i mackami. Dochodziło do ostrych starć. Polała się krew. Technicy pokładowi próbowali zaprowadzić porządek, ale na próżno. Ardhanari nie potrafili walczyć i szybko zostali powaleni na podłogę, a następnie stratowani.

– Masz broń? – zapytał Lasanto.

– Spójrz na mnie.

Czacha stał boso na zimnym pokładzie ubrany jedynie w spodnie.

– No tak...

– Nie martw się – rzekł Ghazan. – Trzymaj się blisko mnie.

Zanim Lasanto zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Czacha już ruszył. Przedzierał się przez tłum, torując drogę młodemu pilotowi. Dotarli do promu w momencie, gdy pierwsze jednostki wzbily się w górę. Buchnął ogień z dysz. Pozostawanie na pasie startowym stało się niebezpieczne.

Przy tylnej furcie „Zenita” dwójka Arya grzebała przy elektronicznym zamku, próbując się włamać. Gdy Zao próbował ich przegonić, podjęli próbę walki. To był błąd. Zwykli dyplomaci nie mieli szans z byłym szturmowcem. Po krótkiej szamotaninie obaj runęli nieprzytomni na pokład.

Czacha ciężko dyszał, brak treningu i nadwaga zrobiły swoje.

– Wszystko w porządku? – spytał zaniepokojony Lasanto.

– Do środka! – warknął Zao.

Dziesięć minut później prom przeleciał przez śluzę hangarową.

Wprost na velmeński krążownik liniowy.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Dobrą chwilę trwało, zanim oczy Ezry przywykły do ciemności. Wchodził do wnętrza okrętu Luusaat krokiem pewnym, gotowy odważnie stawić czoła wampirom, ale gdy otulił go gęsty mrok, pojawił się strach. Dowódca elitarnej Siódemki poczuł się niczym bezbronne zwierzę, które nieopatrznie weszło na teren łowiecki brutalnego drapieżnika.

Zaczął żałować, że nie został na zewnątrz, jak chciał tego Bastian Dash. Kapitan wyznaczył Pluton 7 do zabezpieczenia terenu wokół rozbitego okrętu, jednak Leahy uznał, że w zupełności wystarczy do tego czwórka zwiadowców. Rozkazał pozostać Tobiasowi, Miriam, Tirahowi i Abigail, która – o dziwo – nie zaprotestowała. Widocznie uznała, że wyposażona tylko w karabin snajperski nie miałaby szans w konfrontacji z Luusaat. Leahy wraz z Björkiem ruszyli za szturmowcami.

Ezra nastawił uszu, próbując wyłować jakikolwiek dźwięk, a jednocześnie mając nadzieję, że niczego nie usłyszy. Obawiał się, że zaraz rzuci się na niego banda wygłodniałych wampirów. Rozerwą arterie i wychłępczą całą krew. A potem porzucą martwe, wysuszone ciało.

Na szczęście żaden atak nie nastąpił. Leahy odetchnął z ulgą. Z mroku powoli wyłaniały się elementy otoczenia i sierżant zaczął rozróżniać otaczające go kształty. Spodziewał się ujrzeć skaliste ściany, wszechobecne stalaktyty i stalagmity, coś, co przypominałoby jaskinie, bo tak wyobrażał sobie wnętrze asteroidy, dlatego zdziwiło go, że wszystko zostało wykute w lodzie. Dopiero gdy sobie to uświadomił, poczuł wszechogarniające zimno. Przenikało na wylot, do szpiku kości. Ezra zaczął się trząść. Nie wiedział, czy bardziej z zimna, czy ze strachu. Mroczne korytarze asteroidy wypełniała aura trudnej do zdefiniowania grozy.

Pomieszczenie rozświetlił pomarańczowy blask miotaczy ognia i Leahy ujrzał ułożone w równych rzędach kapsuły hibernacyjne, które przypominały starożytne sarkofagi. Kamienne skrzynie pokrywały płaskorzeźby ukazujące dantejskie sceny masakr, rytualnych mordów, twarze szczerzących się demonów i hektolitry tryskającej krwi. Stały tam w równych rzędach, niczym wyjęte z sennych koszmarów.

Wtem wieko jednej odpadło i ktoś próbował się wydostać, uciec z potrzasku, od wysokiej temperatury, gorącego piekła palącego wszystko na popiół. Zniekształcony cień, majaczący w ciemnościach, budzący grozę samym swoim istnieniem. Ale było już za późno. Fala płomieni prześlizgnęła się po nim, zatrzymując się dopiero na ścianie i topiąc osiadły na niej szron. W powietrze wzbił się przerażający ryk umierającego stworzenia. Było w tym krzyku, pełnym rozpacz i bólu, coś obcego, ale

również obrzydliwie ludzkiego.

– Spalcie te ścierwa! – krzyczał kapitan Dash. – Wszystkie! Nie pozwólcie im się wydostać.

Błysnęły kolejne miotacze płomieni. Szturmowcy chodzili między sarkofagami, odsuwali wieka, wrzucali do środka granaty i palili ogniem.

Ezra stał oniemiały, spoglądając na ten spektakl śmierci. W jego nozdrza wdzierał się smród palonego mięsa, komnatę rozsadzał wrzask płonących żywcem wampirów. Głośniej wznosił się tylko śmiech Jeremiasza Ruona, który z obłędem w oczach raz za razem naciskał spust miotacza. Leahy nigdy dotąd nie widział, żeby kogoś aż tak cieszyła czyjaś śmierć. Szturmowiec znajdował się w ekstazie, w błogim upojeniu, w szaleńczym transie.

Wtórował mu Ivar Björk, który bez niczyjej pomocy odwalał ciężkie wieka sarkofagów i z bliskiej odległości walił do wampirów z peruna. Opróżniał magazynki jeden po drugim, ledwo nadążając z przeładowywaniem. Dookoła fruwały szczątki ciał masakrowanych teleskopowymi pociskami.

Młody sierżant nie postrzegał już Luusaat jako okrutnych najeźdźców i żądnych krwi drapieźników, potrafiących w krótkim czasie wymordować całą populację planety, ale jako ofiary, cierpiące istoty, umierające w okrutnych mękach. Poczul wzbierającą w nim falę współczucia dla wampirów i obrzydzenia do swoich towarzyszy. Postąpił krok do przodu, gotów zareagować, zrobić coś, powstrzymać masakrę, a jeśli to mu się nie uda, chociaż przywołać do porządku Ivara i dać mu do zrozumienia, że swoim zachowaniem hańbi mundur terrańskiego żołnierza, ale nagle poczul ruch za swoimi plecami.

Natychmiast odwrócił się na pięcie i uniósł lufę karabinu. Nic. Pusto. Zobaczył tylko otwór, przez który weszli. Ezra próbował się chwycić racjonalnego wytłumaczenia, że to tylko podmuch wiatru, ale instynkt podpowiadał mu coś innego. Siłą woli powstrzymał się przed wystrzeleniem całego magazynka w pustą przestrzeń.

Wtem kątem oka dostrzegł szarą, rozmazaną plamę, przemykającą tuż obok niego. Po chwili rozległ się krzyk. Tym razem dobiegał z ludzkiego gardła. Szturmowiec stojący obok Ezry nagle runął na kolana, trzymając się za rozorany brzuch. Z niedowierzaniem wpatrywał się w wylewające się przez palce wnętrzności. Drżał z bólu i zaskoczenia. Wyciągnął rękę w kierunku sierżanta w błagalnym geście. Próbował coś powiedzieć. Nie zdążył. Przypadła do niego jakaś przygarbiona postać.

Dopiero teraz pozostali żołnierze odwrócili się. Snopy świateł z latarek zatańczyły, ujawniając makabryczny widok. Szturmowiec leżał na ziemi, a nad nim pochylał się wampir, wpijając w jego szyję. Leahy nigdy wcześniej nie widział żadnego z Luusaat, ale od razu zrozumiał, że ma do czynienia z jednym z nich.

Wampir był wysoki, mierzył dobre dwa metry, ale przy tym niezwykle chudy. Łysa głowa, otwory zamiast nosa, szpiczaste uszy, długie szponiaste palce zakończone

pazurami i pomarszczona, blada skóra sprawiały, że wyglądał karykaturalnie, ale tylko do momentu, gdy zwrócił twarz w stronę Ezry. Zwiadowca spojrzął w czarne niczym piekło oczy i zadrżał. Oprócz zwierzęcej, nieokiełznanej dzikości dostrzegł w nich również okrutną inteligencję. Luusaat rozwarł zbryzganą krwią szczękę, ukazując olbrzymie kły. Leahy zaczął wrzeszczeć.

W jednej chwili odpłynęło całe współczucie dla cierpiących. Zastąpiło je przerażenie. Ezra nacisnął spust karabinu. Serce mu waliło, każdy mięsień napięty był do granic możliwości, włosy na głowie zjeżyły się. Uświadomił sobie, że nadal krzyczy. Na całe gardło. Jak opętany. Nic jednak nie mógł na to poradzić.

Coś nim zawładnęło, coś głębszego niż zwykły strach. To było w nim, w każdej komórce ciała. Zakorzenione w kodzie genetycznym. Pierwotny, atawistyczny lęk, który nakazywał ucieczkę bądź walkę.

Dlatego strzelał. Cały czas. Dopóki nie usłyszał głuchego szczęku oznajmiającego, że skończyły się naboje w magazynku. Sięgnął do ładownicy po nowy. Błyskawicznie przeładował i pruć dalej. Niejasno zdawał sobie sprawę z obecności pozostałych żołnierzy. Oni też strzelali. Kule świstały w pomieszczeniu, pociski rozrywały ciało wampira, wzbijając fontanny krwi, ale ten ciągle trzymał się na nogach i szczyrzył kły.

Szturmowcy obsługujący miotacze ognia nie mogli ich użyć, bo płomień sięgnęłyby towarzyszy i Khaidu kazał im się wycofać, natomiast sam ruszył na potwora, dzierżąc intruza. Dziewięć luf ciężkiego karabinu, znajdującego się na wyposażeniu oddziałów szturmowych, zaczęło niewiarygodnie szybko się obracać, wypływając bezłuskowe pociski kalibru piętnastu milimetrów. Normalną humanoidalną istotę dawno rozerwałyby na strzępy, ale nie Luusaat.

– Padnij wreszcie, skurwielu! – wrzeszczał Khaidu, przekrzykując łoskot karabinu. Jakby w odpowiedzi, wampir ryknął rozdzierająco, zachwiał się i runął na ziemię. Żołnierze krzyknęli triumfalnie, ale nie przestawali strzelać.

– Wstrzymać ogień! – rozkazał wreszcie Dash.

Zapadła cisza. Przez długi czas nikt się nie ruszał. Wreszcie Shadracg Khaidu odważył się podejść do trupa. Szturchnął go lekko butem, potem mocniej, by upewnić się, że wampir na pewno jest martwy. Z zadowoleniem skinął głową i pochylił się, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

– To dojrzały osobnik – orzekł, oświetlając latarką ciało. – Jednak niedożywiony. Musiał dopiero wyjść z kapsuły hibernacyjnej. Dlatego tak łatwo nam poszło.

– Łatwo?! – zdumiał się Björk. – Waliliśmy w tego skurwysyna wszystkim, co mamy, przez dobrą minutę, a on nadal żył. Co to, kurwa, ma znaczyć?!

Jeremiasz Ruon roześmiał się ponuro i protekcyjnie położył zwiadowcy dłoń na ramieniu.

– Nigdy nie walczyłeś z wampirami, co?

Ivar nie zdążył odpowiedzieć, bo kapitan Dash zaczął siarczyście kląć. Snop światła

latarki z jego karabinu oświetlał kapsuły stojące w głębi pomieszczenia, do których szturmowcy z miotaczami ognia jeszcze nie dotarli. Były puste. To oznaczało, że kilka wampirów zdążyło się wydostać z okrętu.

– Dwanaście – Khaidu policzył sarkofagi. – Gdzieś na powierzchni planety grasuje dwunastu Lussaat...

– Jedenastu – poprawił go Ivar. – Jednego zabiliśmy.

– To niewiele zmienia. Tak czy inaczej, mieszkańcy tej planety mają przejebane.

Ezra podszedł do kapitana Dasha, który stał ze zmarszczonym czołem, wpatrując się w puste kapsuły.

– Jakie są pańskie rozkazy?

Głównodowodzący sekcją operacji specjalnych nic nie odpowiedział, tylko pokręcił głową.

– Powinniśmy natychmiast ruszyć w pościg – oznajmił stanowczo Leahy. – Im dłużej zwlekamy, tym trudniej będzie ich wytropić. Zwiadowcy ruszą przodem i...

– Zwariowałeś?! – warknął Bastian Dash. – Nie mamy z nimi żadnych szans. Potrzebujemy co najmniej trzech kompanii szturmowców uzbrojonych w ciężki sprzęt, a jest nas zaledwie garstka.

– Jednego zabiliśmy.

Kapitan prychnął.

– Nie słyszałeś, co mówił Khaidu? Ten osobnik z jakichś powodów pozostał na okręcie. Pewnie dopiero dochodził do siebie po hibernacji. Zanim znajdziemy tamtych jedenastu, zdążą się pożywić i będą o wiele silniejsze. Nic tu po nas. Wracamy na okręt.

Ezra już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym właśnie momencie na ogólnym kanale rozległ się głos Bishopa:

– *Powinniście zaraz tu przyjść i to zobaczyć.*

SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDALA”

Rozległ się potworny trzask pękającego kadłuba. Okręt Luusaat zaledwie musnął „Hajmdala”, jednak przy tej prędkości nie mogło się obejść bez poważnych uszkodzeń. W wyniku wstrząsu jedna ze ścian na mostku wybrzuszyła się, dwie konsole wyrwało z podłogi, a fotel Tycha Brahego wraz z podporucznikiem przeleciał przez całe pomieszczenie i rozbił się o gródź. Mężczyzna szybko wypiął się z uprzęży, stanął, ale kolejne szarpnięcie zważyło go z nóg.

– Kontakt z obiektem nastąpił w górnych sektorach rufowych – meldował oficer kontroli uszkodzeń. – Straciliśmy trzy sekcje, a kolejne cztery są rozhermetyzowane. Zniszczone zostały dwa ciężkie działa rufowe i jedna wyrzutnia rakiet. Ponadto system bezpieczeństwa sygnalizuje pożar w głównej zbrojowni i poważne uszkodzenia w piątym hangarze pojazdów rozpoznawczych.

Brahe stanął wreszcie na nogi i nieco zamroczony podszedł do swojego stanowiska. Zogniskował spojrzenie i z ulgą stwierdził, że konsola jest cała. Wywołał holograficzne zestawienie sekwencji taktycznych, sprawdził połączenia z systemem kierowania ogniem i z zadowoleniem pokiwał głową. Wszystko działało jak należy. Podniósł głowę i rozejrzał się po mostku.

Oprócz niego na podłodze wylądowało jeszcze trzech oficerów. Wśród nich była bosman Todorov. Stożkowa czapka spadła jej z głowy, uwalniając gęste, bujne loki. Na skroni dziewczyny zauważył rozcięcie, ale rana nie wyglądała groźnie. Bosman otarła strużkę krwi spływającą po piegopatym policzku i zaraz wróciła na stanowisko. Brahe odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że wszyscy byli cali.

– Mogło być gorzej – rzekł komandor Peters. – Mieliśmy dużo szczęścia.

Kashtaritu pokręcił głową. Widać było, że nie podziela zdania pierwszego oficera. Na pewno nie tak wyobrażał sobie potyczkę z jednostkami Luusaat. Okręty-asteroidy powinny zostać zniszczone, zanim zdołały zbliżyć się do „Hajmdala”. I na pewno admirał nie spodziewał się, że tak szybko po wyjściu ze stoczni drednot będzie potrzebował kolejnych napraw. Ale nie to go najbardziej martwiło.

– Wiadomo już, jakie mamy straty w ludziach? – zapytał.

– Na razie dane są nieprecyzyjne. Ze względu na braki personalne nie wszystkie stanowiska były w pełni obsadzone. Nie znamy liczebności załóg w uszkodzonych sektorach i...

– Ile?!

Oficer kontroli uszkodzeń nerwowo przełknął ślinę.

– Nie mniej niż siedemnaście osób.

Na czole admirała pojawiła się głęboka bruzda. Dowódca „Hajmdala” postarzał się mocno w ciągu ostatniego roku. Ciężar odpowiedzialności za bezpieczeństwo okrętu i załogi, a także przyszłość gatunku ludzkiego sprawił, że całkowicie osiwił, a na jego twarzy przybyło zmarszczek. Z dnia na dzień stawał się coraz bardziej milczący i posępny. Na mostku zachowywał kamienną twarz, a uśmiechał się jedynie w towarzystwie doktor Dheran. Zwracali się do siebie oficjalnie, ale dla nikogo nie było tajemnicą, że łączy ich romans. Trwał już od dawna i zdawało się, że to coś poważnego.

Podporucznik Tycho Brahe pomyślał o kobiecie, z którą zaczął się spotykać, i z niepokojem spojrzął na ekran. Ona gdzieś tam była, w przestrzeni kosmicznej. Mrocznej, zimnej, niebezpiecznej. Wciśnięta do ciasnego kokpitu myśliwca, ścigała uciekające okręty Luusaat.

Valeria od dawna mu imponowała. Czarnowłosa piękność o przenikliwym spojrzeniu była spełnieniem marzeń każdego mężczyzny. Wielu się o nią starało, ale pozostawała zimna jak lód.

Wszyscy uważali Czarną za twardą sztukę, nieugiętą pilotkę, przebojową oficer, ale Tycho jako jedyny wiedział, jaka jest prawda. Pod tą skorupą i maską kryła się wrażliwa, delikatna dziewczyna. Brahe cieszył się, że mógł poznać jej prawdziwą naturę. Zwierzali się sobie ze wszystkich trosk, dzielili obawami, ale również wspólnie cieszyli się z sukcesów. Gdy Tycho otrzymał awans i został przeniesiony na mostek, uczcili to sporą ilością alkoholu i wówczas doszło do pierwszego pocałunku. Na razie jednak na tym poprzestali. Nie spieszyli się. Na wszystko przyjdzie czas. O ile go będą jeszcze mieli.

Podporucznik zmarszczył brwi, widząc na ekranie oddalający się okręt Luusaat. Pomimo zderzenia nadal poruszał się niemal tym samym kursem. Wyglądało na to, że nie odniósł żadnych poważnych uszkodzeń. Tycho Brahe przeniósł spojrzenie na holograficzny wyświetlacz stanowiska taktycznego, szukając najlepszych wariantów ostrzału i wiedząc, że admirał zaraz wyda rozkaz zniszczenia wroga. Nie pomylił się.

– Sprzątnijcie mi to ścierwo.

– Tak jest – rzekł Tycho i przesłał na stanowisko kierowania ogniem jedyną możliwą sekwencję. Po zderzeniu „Hajmdal” zboczył z kursu i teraz zwrócony był rufą do okrętu-asteroidy, a tam działały jedynie cztery wyrzutnie rakiet. Bosman Mila Todorov potwierdziła gotowość skinieniem głowy.

Trzydzieści sekund później ekran wizualny wypełnił się blaskiem eksplozji czternastu pocisków atomowych.

– Cel zniszczony – zameldowała chorąży Gladys Gaumata. – Powstałe w wyniku eksplozji odłamki skalne nie stanowią zagrożenia ani dla okrętu, ani dla planety.

Admirał spojrzął w stronę biało-zielonego globu, mającego u dołu ekranu wizualnego.

– Czy problemy techniczne w hangarze myśliwców zostały już rozwiązane? – zapytał.

– Tak jest – odparł oficer łącznikowy. – Klucz zielony szykuje się do startu, żeby dołączyć do pościgu.

– Nie! – odparł ostro Kashtaritu. – Zmiana planów. Przekażcie nowe rozkazy dla klucza zielonego. Ich celem jest planeta Manju. Mają zlokalizować prom i dowiedzieć się, co tam zaszło. Na miejscu udzielić wszelkiej niezbędnej pomocy żołnierzom piechoty.

Łącznościowiec skinął głową i od razu połączył się z hangarem. Jego mina mówiła, że dowódca klucza zielonego ze złością przyjął nowe rozkazy. Na pewno wołał przyłączyć się do pogoni, szarżować w przestrzeni kosmicznej i niszczyć wrogów, niż żmudnie przeczesywać planetę w poszukiwaniu rozbitego promu.

Ponadto start się opóźniał. Myśliwce musiały zostać na nowo zatankowane odpowiednią mieszanką paliwową, pozwalającą na lot w atmosferze. Kolejnym etapem było wyrzucenie rakiet i pozostawienie wolnej przestrzeni w luku torpedowym, żeby zrobić miejsce na wypadek konieczności ewakuacji ludzi z Manju. Tycho Brahe wcale nie był zdziwiony niezadowolaniem Joela Paka.

Podporucznik miał okazję go poznać, bo od kiedy zaczął spotykać się z Valerią, sporo czasu spędzał w mesie pilotów, a Pak był tam częstym gościem. Gdy go po raz pierwszy zobaczył, nie mógł uwierzyć, że takiemu dzieciakowi powierzono dowodzenie kluczem myśliwców, ale gdy go lepiej poznał, okazało się, że pomimo młodego wieku Joel jest już doświadczonym pilotem i rozsądnym człowiekiem. Brakowało mu może bystrości i kreatywności, ale za to nadrabiał sumiennością i pracowitością. I z tego, co Brahe słyszał, nie było innego pilota potrafiącego tak doskonale radzić sobie z komputerem pokładowym. Lot na przyrządach był jego specjalnością. Dzięki temu udało mu się uratować zwiadowców zaginionych podczas misji na Monarsze 47. Tycho wiedział, że młodzieniec teraz też robi wszystko, żeby akcja ratunkowa zakończyła się sukcesem.

– Pożar w zbrojowni opanowany – zameldował oficer kontroli uszkodzeń. – Ekipom ratunkowym udało się dotrzeć do rozhermetyzowanych sekcji. Okazało się, że straciliśmy tylko ośmiu ludzi.

– Tylko? – Admirał gniewnie uniósł brew. Dla niego nawet ta liczba była niedopuszczalna.

Oficer poczerwieniał.

– Co ze sprzętem?

– Straciliśmy osiem transporterów rozpoznawczych.

– Pułkownik Wheeler się to nie spodoba – mruknął admirał.

Tycho Brahe uśmiechnął się pod nosem. Sarah Wheeler, zanim została głównodowodzącą siłami lądowymi, sprawowała pieczę nad pojazdami

mechanicznymi i dziwnym sentymentem darzyła OTR-y.

– Jaka jest szansa, że wampiry dostały się na pokład „Hajmdala”? – zapytał admirał.

Podporucznik Tycho Brahe wiedział, że pytanie skierowane jest do niego. W pierwszej chwili chciał odpowiedzieć, że prawdopodobieństwo jest niemal zerowe, ale zorientował się, że to są tylko jego pobożne życzenia. Dobrze wiedział, że jeśli chodzi o Luusaat, niczego nie można być pewnym. Z opresji wybawił go chorąży Hudson:

– Dowódca klucza niebieskiego melduje o kontakcie.

Kashtaritu pytająco spojrział na Gladys Gaumatę.

– Lidar nic nie pokazuje – odparła. – Ale planeta może zakłócać impulsy światła.

– Porucznik Bennet twierdzi, że to tylko jeden okręt – poinformował łącznościowiec. – Velmeński pancernik.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Ezra Leahy nigdy nie należał do ludzi, którzy łatwo nawiązują kontakty towarzyskie, nie mówiąc już o przyjaźniach. Na rodzinnym Sähr uchodził za samotnika. Trzymał się na uboczu, woląc spoglądać w gwiazdy, niż bawić się w jedynej spelunie w osadzie, gdzie każdego wieczora spotykali się młodzi ludzie, żeby pić, tańczyć i flirtować. Zamiast rozmawiać z innymi chłopakami o najnowszej generacji automatów rolniczych, podkręcaniu silników pustynnych ścigaczy lub cyckach okolicznych dziewczyn, zanurzał się w lekturach o kosmicznych podróżach. Marzył, że któregoś dnia opuści zapyziałą, prowincjonalną planetę i zostanie żołnierzem.

Wówczas był nastolatkiem bujającym w obłokach, do tego chorobliwie nieśmiałym i mizernej postury. Gdy wspominał o swoich marzeniach, rówieśnicy wyśmiewali go, siostry z niesmakiem kręciły głowami, a ojciec próbował mu pasem wybić głupie pomysły. Jedynie matka w niego wierzyła i uważała, że coś w życiu osiągnie.

W końcu mu się udało. Opuścił Sähr i poleciał do systemu Epsilon Eridani, żeby zasilić szeregi terrańskich sił zbrojnych. Ezra zmienił miejsce, ale sam się nie zmienił. Nadal był tym samym zamkniętym w sobie młodym człowiekiem, introwertykiem unikającym kontaktu z innymi ludźmi. Coś drgnęło dopiero za sprawą Abigail i Tobiasa.

To oni sprawili, że zaczął otwierać się na ludzi. Porzucił skorupę, w której cały czas się chował, i z każdym kolejnym dniem przybywało mu pewności siebie. Zaczął odkrywać w sobie nowe, nieznane wcześniej cechy. Odwaga, umiejętności oceny sytuacji, zimna krew w sytuacjach stresowych, a także charyzma pozwoliły mu awansować i zostać dowódcą plutonu.

Ale bez tej dwójki tego by nie osiągnął. Nie tylko byli jego przyjaciółmi, ale także żołnierzami należącymi do jego plutonu. Rozumieli się bez słów i wzajemnie uzupełniali. Torres posiadała olbrzymią wiedzę i zmysł analityczny, którego mogli jej pozazdrościć członkowie personelu naukowego „Hajmdala”, natomiast Bishop nigdy nie tracił dobrego humoru i zawsze potrafił rozładować atmosferę jakimś żartem. Zazwyczaj kiepskim i niesmacznym, ale to nie miało znaczenia. Ważna była energia, jaką wnosił do życia Ezry. Był jego przeciwieństwem. Towarzyski, gadatliwy, beztroski, ale zawsze można było na nim polegać. I dlatego Leahy miał wyrzuty sumienia, że nie uwierzył Tobiasowi, kiedy ten twierdził, że widział jaszczura.

Stał w odległości dwudziestu metrów od okrętu-asteroidy. Wysoki, muskularny, odziany w pancerz lamelkowy, zbudowany z setek podłużnych żelaznych płytek. Na stożkowej głowie nosił szpiczasty hełm, trójpalczastą dłoń zaciskał na drzewcu piki,

której grot celował w niebo. Żółte, głęboko osadzone oczy spoglądały na ludzi z bezzwzględnym okrucieństwem, ale również z ciekawością.

Obok jaszczura przysiadł na zadzie olbrzymi, latający gad o ciemnopomarańczowej skórze, nakrapianej zgnięzielonymi plamami. Błoniaste skrzydła, rozciągające się między wydłużonym palcem przedniej kończyny a bokiem ciała mierzyły dobre trzy metry. Kontrastowały z nimi karykaturalnie małe nogi, którymi niespokojnie przebierał. Na grzbiecie zwierzęcia znajdowało się siodło, a na długim szpiczastym dziobie uzda. Nie ulegało wątpliwości, że jaszczur przyleciał na tej bestii.

– O kurwa! – skwitował krótko kapitan Dash, który opuścił wewnątrz asteroidy zaraz za Ezrą i stanął jak wryty. Szybko się jednak otrząsnął i uniósł lufę karabinu, gotów otworzyć ogień. Pozostali szturmowcy poszli w jego ślady.

– Opuście broń – syknęła Abigail. – On nie ma wrogich zamiarów.

– To Lacertanin!

– Nie jestem pewna.

– Jak to?

– Kapitanie, proszę przyjrzeć się jego skórze.

Rzeczywiście. Jaszczury miały bladozieloną łuskowatą skórę, a ten...

– Jest niebieska – oznajmił zdumiony Dash.

– Turkusowa – poprawiła Torres.

– To kolor lazuru – wtrąciła Miriam Funke.

Abigail spiorunowała ją wzrokiem.

– Jak już to morski.

– Mylisz się...

– Obie się zamknijcie! – warknął kapitan Dash. – Zupełnie was pojebało?! Jesteśmy na misji bojowej, na obcej planecie, na której nasz wywiad nie zdążył dokonać rozpoznania, spotykamy uzbrojonego jaszczura, a wy kłócicie się o odcień jego skóry?

Obie wzruszyły ramionami i wyduły wargi w podobny sposób.

– Nie wygląda groźnie – rzekł sierżant Khaidu, gestem nakazując szturmowcom opuścić broń.

Zrobili to, chociaż Dash cały czas celował w jaszczura. Jednak dla zwykłych żołnierzy Shadrag był większym autorytetem niż kapitan, który rzadko wyściubiał nos z gabinetu. Natomiast sierżant walczył z nimi ramię w ramię, niejednokrotnie wyciągając oddział z najgorszego piekła. Nic więc dziwnego, że szeregowi żołnierze właśnie w nim widzieli prawdziwego przywódcę. Nie uszło to uwagi Bastiana Dasha. Nic nie powiedział, zacisnął tylko usta w wąską kreskę.

Tymczasem tajemniczy osobnik stał nieporuszony, ze szczęką lekko wysuniętą w typowo gadzim wyrazie pyska. Nawet nie wodził oczami. Zwężone w szparkę podłużne źrenice utkwione były w żołnierzach.

– To musi być przedstawiciel tutejszej cywilizacji – oznajmiła Abigail, włączając

urządzenie umieszczone na nadgarstku. Pojawiła się świetlista poświata, chwilę potem film nagrany przez kamerę z jej hełmu. Przyglądała mu się kilka sekund, a potem kiwnęła głową. – Pamiętacie te symbole w kompleksie mieszkalnym? Wówczas nie mogłam sobie przypomnieć, skąd je znam, ale teraz już wiem, że nieco przypominały lacertańskie pismo.

– A jednak! – zagrzemiał Bastian Dash. – Lacertanin!

– Powiedziałam tylko, że nieco przypominają, ale nie powiedziałam, że to lacertański – odparła Torres, nie podnosząc wzroku znad urządzenia.

Włączyła tryb analizy. Ezra podszedł do niej i na wyświetlaczu zobaczył, jak komputer porównuje znaki.

– Tak jak myślałam. Podobna symbolika i modele abstrakcyjne wskazują na wspólne schematy myślowe, jednak pewne cechy świadczą o odmiennym aparacie poznawczym i odmienności kulturowej.

Leahy zmarszczył brwi.

– Nic z tego nie rozumiem. Mów po ludzku.

Torres podniosła głowę. Nie spojrzała jednak na Ezrę, tylko na stojącego w bezruchu jaszczura.

– To gatunek spokrewniony z Lacertanami.

– Jak to możliwe? Ich imperium znajduje się ponad pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych stąd.

Abigail wzruszyła ramionami.

– Może to jakaś dawna kolonia? A może istoty tutaj wyewoluowały w podobny sposób? Nie znamy wszystkich zagadek wszechświata.

– Jest jeszcze jedno wyjaśnienie – rzekł Leahy.

Tym razem Torres na niego spojrzała.

– Czy masz na myśli...

– Tak – przerwał jej szybko. Nie chciał wypowiadać tego na głos.

– O czym wy mówicie?! – zdenerwował się kapitan Dash.

Abigail wytłumaczyła. Nie powiedziała nic, czego kapitan by nie wiedział. Wszyscy na pokładzie „Hajmdala” słyszeli o nowych odkryciach na temat Khon-Ma.

– Sądysz, że pochodzą z tej samej próbówki co Lacertanie? – spytał kapitan.

– Nie mam stuprocentowej pewności, ale to wielce prawdopodobne.

Bastian Dash spojrzał z pogardą na tubylca. Nikt nie pałał sympatią do jaszczurów. Brutalni i bezwzględni, opierali swoje istnienie na kulcie siły. Nieustannie poszerzali granice imperium, zdobywając systemy gwiazdne jeden po drugim, a na podbitych planetach wprowadzali terror. Nie było wśród załogi „Hajmdala” nikogo, kto nie straciłby kogoś bliskiego w walce z Lacertanami. A wielu było takich, którzy na własnej skórze przekonali się o ich okrucieństwie.

– Świetnie! – rzekł Dash z wyraźną ulgą. – To znacznie ułatwia sprawę. Wcale nie

będzie mi ich żal. Upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Kapitan roześmiał się i ruszył przed siebie.

Abigail zmarszczyła brwi.

– Ezra? O co chodzi?

– Nie spaliliśmy wszystkich wampirów – odpowiedział. – Dwanaście sarkofagów było pustych. Jeden ukrywał się na okręcie i go dorwaliśmy, ale...

– Reszta wyruszyła na żer – dokończyła.

– Obawiam się, że tak.

– Musimy ich powstrzymać!

Leahy pokręcił głową.

– Kapitan zarządził odwrót.

– Nie możemy...

– Powiedz to jemu. – Ruchem brody wskazał dowódcę, który właśnie wydawał rozkazy.

– Wracamy do promu! Rozwalcie każdego, kto spróbuje nas zatrzymać. Zrozumiano?

– Tak jest – wyszczerzył się szeregowy Jeremiasz Ruon. Wyzywająco skierował się w stronę autochtona z nadzieją, że go sprowokuje. Niemal namacalnie wyczuwało się bijącą od niego żądzę krwi. Jaszczur jednak pozostawał niewzruszony.

Kolejni żołnierze ruszyli za Ruonem. Ezra westchnął ciężko, przełożył karabin przez ramię i kiwnął na zwiadowców.

– Idziemy!

Abigail przytrzymała go za rękaw.

– Musimy coś zrobić – szepnęła. – Nie możemy tego tak zostawić.

– Słyszałaś rozkaz – odparł Leahy. – Kapitan Dash dowodzi operacją, a ja nie mam zamiaru podważać jego kompetencji.

– Jedenaście wampirów wystarczy, żeby urządzić tutaj niezłą rzeź. Może nie wymordują całej planety, ale najbliższe osady skazane są na zagładę. Przybyliśmy, żeby temu zapobiec.

Ezra spojrzał w jej miodowe oczy. Biła z nich wściekłość.

– Dobra, pogadam z nim – rzekł. – Ale ty się nie wtrącaj. Zgoda?

Skinęła głową.

Leahy dogonił Dasha w momencie, gdy kapitan mijał jaszczura. Tubylec nadal zachowywał się jak posąg. Stał bez ruchu, jakby na coś czekając. Jedyne żółte ślepie śledziły grupę żołnierzy podążającą w stronę jaskiń.

– Kapitanie?

– Czego?

– Uważam, że powinniśmy...

– Nie zmienię decyzji, sierżancie Leahy – przerwał mu ostro Dash. – Proszę więcej

nie poruszać tego tematu.

Wtem rozległ się dźwięk rogu. Zadał w niego jaszczur. Odgłos przetoczył się echem przez góry i raptownie ucichł. Po kilku sekundach w jego miejsce pojawiło się dudnienie. Ogłuszające i napełniające niepokojem.

Coś się zbliżało.

SYSTEM ALMAAZ PROM „ZENIT”

Prom desantowy typu wojskowego, który jeszcze do niedawna wchodził w skład terrańskiej floty, nigdy nie dysponował dostateczną bronią ofensywną, żeby uczestniczyć w kosmicznej bitwie. Nie posiadał również osłon energetycznych, zbyt mocnego pancerza ani systemu obrony bezpośredniej, bowiem głównym jego zadaniem był transport ciężkiego sprzętu i oddziałów do miejsca zrzutu. Nie miał najmniejszych szans w starciu z okrętem, który majaczył przed iluminatorem.

Klinowatego kształtu kadłuba nie można było pomylić z niczym innym. To był velmeński krążownik liniowy. Gigantyczny i majestatyczny, ale i tak wielkością ustępował ardhanariańskiemu promowi dyplomatycznemu, do którego się zbliżał.

– O kurwa, o kurwa, o kurwa... – jęczał Ghazan Zao wciśnięty w fotel drugiego pilota.

Powtarzał przekleństwo jak mantrę lub modlitwę do jakiegoś bóstwa, które miało go wybawić z opresji. Tymczasem Lasanto siedział obok w milczeniu, skupiony na operowaniu silnikami manewrowymi tak, żeby nie zderzyć się z velmeńskim kolosem. Okręt podchodził do abordażu na prom dyplomatyczny i „Zenit” niefortunnie znalazł się pomiędzy dwiema ogromnymi jednostkami.

Czacha mocniej zagłębił się w fotel, jakby to mogło go ocalić. Ale przy tej prędkości podczas uderzenia „Zenit” rozpadnie się w pył, a na stalowym pancerzu okrętu liniowego pojawi się co najwyżej lekkie wgniecenie.

Ghazan Zao bał się śmierci. Jak każdy. Tylko że w jego przypadku ten strach zamieniał się w niekontrolowaną panikę. Nigdy nie potrafił spojrzeć niebezpieczeństwu prosto w oczy, jak przystało na prawdziwego mężczyznę i żołnierza. Był tchórzem. Uświadomił to sobie już dawno temu, chociaż udawał, że jest inaczej. Maskował to buńczuczną postawą, agresywnym zachowaniem, arogancją i pogardą dla innych. Dzięki temu udało mu oszukać wiele osób, a nawet zdobyć uprzywilejowaną pozycję w żołnierskiej społeczności i dopiero wydarzenia w systemie Epsilon Eridani pokazały jego prawdziwe oblicze.

Wówczas o mały włos nie skończyło się to sądem polowym. Udało mu się wykaraskać, a co więcej, dostał kolejną szansę, żeby udowodnić sobie i innym, że tchórzem jednak nie jest. Zmarnował ją na księżycu Monarchy, gdy dla ratowania własnej skóry posunął się do morderstwa i oszustwa. Nie odczuwał najmniejszych wyrzutów sumienia. Doskonale opanował sztukę usprawiedliwiania samego siebie. Ponownie mu się poszczęściło i nikt z przełożonych nie przejrzał jego fortelu. Wiedział jednak, że swój limit szczęścia już wyczerpał i kolejny raz mu się nie uda.

Nie miał zamiaru kusić losu i po nieudanym buncie generała Ae-Hwa, którego mocno wspierał, postanowił opuścić drednota. Dezercja wydawała się lepszym rozwiązaniem niż kula w łeb lub wyrzucenie przez służbę.

Czacha nie przejmował się, że stracił miejsce w szeregach terrańskiej floty. Umiał o siebie zadbać. Prędzej czy później i tak miał zamiar uciec z „Hajmdala”. Potrafił dobrze strzelać i nieźle walczyć, więc każda piracka załoga powitałaby go z otwartymi ramionami. Los jednak związał go z młodym pilotem i zimną jak gład panią doktor.

Na początku miał zamiar porzucić ich towarzystwo jeszcze w Dominium Hatysa, ale potem wynikła sprawa z matką Sandry. Z nieznanym mu powodów Togarianie zaoferowali pomoc w jej poszukiwaniach i przeznaczili na to ogromne środki. Okazało się, że Zao mógł więcej zarobić, pozostając przy Thushpie, niż zajmując się rabunkiem na kupieckich szlakach. Został jej osobistym ochroniarzem. A teraz, gdy groziło jej niebezpieczeństwo, uciekał od niej najdalej jak się dało.

Burta krążownika zbliżała się i Czacha widział już wyraźnie furty dział laserowych i wyrzutni raketowych. Mocno zacisnął powieki, przekonany, że od śmierci dzieli go zaledwie sekundy.

Ale minęła minuta, potem następna i nic się nie stało. Zao ośmielił się otworzyć oczy i ku swojemu zdumieniu spostrzegł, że prom jakimś cudem znalazł się za velmeńskim okrętem i cały czas się od niego oddala. Ryknął triumfalnie i klepnął młodego pilota w plecy tak mocno, że ten omal nie uderzył głową w przepustnicę.

– Pojebało cię?! – warknął.

– Zrobiłeś to! – krzyczał rozradowany Czacha. – Uratowałeś nas...

– Za wcześniej na świętowanie – odburknął pilot, spoglądając z niepokojem na hologram kontrolny, na którym wskaźniki migąły czerwienią. – Krążownik rozpoczął namierzanie.

Ghazan Zao zbladł. Za szybą iluminatora pojawiły się błyski. To eksplodowały barki dyplomatyczne, małe jachty, które próbowały uciec z ardhanariańskiego promu.

– Już po nas – Czacha ponownie uderzył w kasandryczny ton.

Lasanto spojrział na niego z pogardą. Nie miał jeszcze okazji widzieć Ghazana Zao tak spanikowanego. Trudno było uwierzyć, że ten mężczyzna dowodził kiedyś elitarnym oddziałem szturmowym.

– Mam jeszcze kilka sztuczek w zanadrzu.

Pilot nagle wyłączył silniki i niemal całe zasilanie. Pozostawił jedynie niezbędne systemy, w tym podtrzymywania życia. Lecieli teraz w zupełnych ciemnościach, ze stałą prędkością, którą wcześniej osiągnął prom. Niemal w ogóle nie oddalali się od krążownika.

– Co ty robisz, idioto?! – syknął Czacha, mocno zaciskając pięści.

– Ratuję ci tyłek.

– W jaki sposób? Wystawiając nas na cel?

Lasanto uśmiechnął się pod nosem.

– Wręcz przeciwnie. Właśnie zniknęliśmy im z oczu. Jesteśmy bezpieczni.

– Nie rozumiem.

– W tym momencie „Zenit” nie emituje żadnej sygnatury cieplnej i porusza się ze stałą prędkością. Na velmeńskich okrętach systemem kierowania ognia steruje komputer, który uzna nas za kawał skały lecącej przez kosmos. Gdyby za konsolą stał żywy oficer, pewnie połączyłby fakty i domyślił się, że to zwykły fortel. A tak...

Zawył alarm.

– Co, u diabła?! – zdumiał się pilot, przywracając pełne zasilanie. Skrzywił się, widząc wskaźniki płonące czerwienią. – Wykryli nas i zaczęli ostrzał! Wiązka laserowa uszkodziła jeden z silników.

– Mówiłeś, że jesteśmy bezpieczni! – wrzeszczał Czacha.

– Myliłem się – odburknął Lasanto, natychmiast uruchamiając pozostałe silniki i dając pełną moc. – Widocznie Velmeni opracowali lepsze algorytmy dla procesów myślowych swoich komputerów pokładowych.

– Co teraz?!

– Spróbujemy manewrów unikowych.

– To podziela?

– Zobaczymy.

Kolejna wiązka laserowa musnęła burzę promu, inne pognały w przestrzeń. Widzieli je dzięki wizualnemu ekranowi, który Lasanto nałożył na iluminator.

„Zenit” na przemian zmniejszał i zwiększał ciąg, wykonywał gwałtowne zwroty i Czacha myślał, że zaraz zwymiotuje. Trwało to dobrą minutę, gdy wreszcie komputer pokładowy ustabilizował prędkość i kurs.

– Co się stało? – zapytał Zao, którego twarz powoli nabierała kolorów.

Pilot zmarszczył brwi, spoglądając na wskaźniki.

– Wygląda na to, że krążownik wstrzymał ogień.

Czacha odetchnął z ulgą.

– To dobrze.

– Dla nas tak – odparł ponuro Lasanto. – Ale nie dla tych, którzy pozostali na ardhanariańskim promie. Velmeni przystąpili do abordażu.

– Da sobie radę – rzekł beztrąsko Czacha, wiedząc, że towarzysz martwi się o Sandrę. – Tacy jak ona, podobnie jak zahiriańskie koty, zawsze spadają na cztery łapy. Założę się, że poradzi sobie lepiej od nas.

– Tak myślisz?

– Jestem tego pewny – odpowiedział i przeniósł spojrzenie na iluminator. Na tle kosmosu widać było atomowe rozbłyski, znak, że w systemie Almaaz cały czas toczy się bitwa. – Ty lepiej wymyśl, jak nas wydostać z tego gówna.

– Postaram się – rzekł Lasanto i ustawił nowy kurs.

– Dokąd lecimy?

– Jak najdalej stąd. Spróbujemy ukryć się w dysku ciemnego pyłu otaczającego gwiazdę.

– Uda się?

Młody pilot wzruszył ramionami.

– Zobaczymy.

Czacha pokiwał głową i wygodnie rozparł się w fotelu. Przymknął powieki. Nie zauważył tajemniczych, krótkich rozbłysków, które na chwilę rozświetliły przestrzeń niedaleko promu.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Wyłoniły się z mgły – potężne bestie o szerokich głowach, masywnych szyjach i baryłkowatych tułowiach, niezgrabnie poruszające się na czterech łapach. Ciała zwierząt pokrywały ziarniste łuski, ogony, grube u nasady, w dalszej części były bocznie spłaszczone, natomiast szerokie szczęki skrywały potężne zębiska i rozwidlone języki.

W pierwszej chwili Ezra pomyślał, że to dzikie stado jakichś olbrzymich jaszczurek, które coś spłoszyło, ale gdy zwierzęta otoczyły żołnierzy i zaczęły wokół nich krążyć, wiedział już, że ktoś nimi kieruje. I rzeczywiście. Na grzbietach dostrzegł jeźdźców siedzących w głębokich siodłach. Autochtoni. Tacy jak ten, którego spotkali po wyjściu z okrętu-asteroidy. Podobni do Lacertan, a jednocześnie różniący się od nich.

Wyglądali groźnie, pomimo tego, że uzbrojeni byli jedynie w prymitywną broń i mieli na sobie skórzane pancerze, wzmacniane żelaznymi płytkami. Pociski wystrzelone z karabinów maszynowych bez trudu by się przez nie przebiły. Terrańscy żołnierze skierowali lufy w ich stronę.

– Nie strzelać bez rozkazu! – krzyknął Shadracg Khaidu. Doświadczony sierżant trafnie ocenił sytuację. Dobrze wiedział, że pociski wyplute z agresorów, zamiast trafić jeźdźców, w większości ugodzą potężne bestie, a te ranne i rozjuszone staranują wszystko na swojej drodze.

– Że co?! – obruszył się Jeremiasz Ruon. – Mamy tu stać i czekać, aż nas zajebią?!

W odpowiedzi Khaidu zmarszczył tylko groźnie brwi.

– Nie ma mowy – prychnął szturmowiec, przeładowując broń.

– Ani mi się waż! – syknął sierżant. W jego słowach zabrzmiała groźba. Ruon zawahał się. Poszukał spojrzaniem Bastiana Dasha.

– A jakie są pańskie rozkazy? – zapytał.

Szef operacji specjalnych bezwiednie otwierał i zamykał usta. Wydawał się zupełnie zagubiony. Tymczasem jeźdźcy zacieśniali krąg.

– Kapitanie?!

Dash zamrugał powiekami, jakby budząc się z głębokiego snu.

– Słyszałeś, co powiedział sierżant – odparł. – Czekamy.

Szeregowy Ruon odburknął coś wściekły i Ezra był przekonany, że wbrew rozkazom otworzy ogień. Przejawiał cechy typowego szturmowca. Był arogancki, nadmiernie pewny siebie i kompletnie pozbawiony wyobraźni. Nie potrafił myśleć perspektywnie ani przewidzieć konsekwencji swoich działań. Jednak po chwili

wahania opuścił broń. Widocznie nie był aż tak tępy.

– To co robimy? – spytał.

Zanim kapitan Dash zdążył odpowiedzieć, sytuacja uległa zmianie. Bestie zatrzymały się, otaczając żołnierzy. Spoglądały na ludzi zwierzęcymi oczami, w których czaiło się bezrozumne okrucieństwo. Jaszczury wyciągnęły broń. Zaostrzone drzewca włóczni, żelazne groty pik i ostrza mieczy celowały teraz w żołnierzy.

Ezra przełknął ślinę. Nagle uświadomił sobie, że nawet dysponując nowoczesną bronią, która o setki lat wyprzedzała prymitywne uzbrojenie tubylców, i tak nie mieli szans. Przeciwnicy przytłoczą ich liczbą, stratuja i rozsiekają, zanim ludzie zdążą opróżnić magazynki.

Leahy miał już do czynienia z tłumem prymitywnych istot. Na pustynnym księżycu Monarchy przyszło mu walczyć z dzikimi Nihwa. Jednak tamci atakowali bezmyślną masą, używając jako broni jedynie zębów i pazurów, natomiast jaszczury znajdowały się na wyższym poziomie rozwoju.

Na razie jednak nie atakowały. Istoty należące do dwóch różnych gatunków przyglądały się sobie w milczeniu. Leahy miał świadomość, że gdyby żołnierze wykonali jakikolwiek podejrzany ruch, wojownicy na bestiach natychmiast na nich ruszą.

Ezra spostrzegł, że wśród ubrań jeźdźców dominują granatowe barwy. Musieli należeć do jednej nacji lub plemienia. Wskazywały na to również sztandary w tym samym kolorze, trzepoczące nad ich głowami. Na granatowym tle widoczna była trójpalczasta dłoń, zaciśnięta w pięść.

Wtem Abigail odłożyła swój karabin na ziemię i lekko uniosła rękę, pokazując, że nie ma złych zamiarów. Ezra nie wiedział, czy tubylcy zrozumieli ten gest. Mogli nie wiedzieć, że trzymane przez żołnierzy karabiny to śmiertelna broń.

– Co robisz, szeregowo?! – syknął Bastian Dash. – Zwariowałaś?

– Spokojnie – odparła Torres. – Gdyby chcieli naszej śmierci, już bylibyśmy martwi.

– To nie zadziała – warknął Ivar Björk, poprawiając mocowanie peruna, gotów w każdej chwili posłać w stronę jaszczurów serię pocisków kalibru dwanaście milimetrów. Ezra położył mu dłoń na ramieniu i pokręcił głową. Mężczyzna zmarszczył brwi, westchnął ciężko, ale opuścił lufę karabinu.

– Spróbuję się z nimi porozumieć – oznajmiła Abigail i wyciągnęła z kieszeni przenośny translator. Trzymając owalne urządzenie w jednej dłoni, palcami drugiej zaczęła wystukiwać komendy. – Zacznę od dialektów lacertańskich. Może się okazać, że mają wspólny rdzeń językowy...

Mamrotała pod nosem, programując urządzenie. Tymczasem Ezra nie spuszczał oczu z jaszczurzych jeźdźców. Niektórzy niedbale oparli się o łęk siodła, jakby byli

obojętni na wszystko, co się dzieje, ale były to tylko pozory. Mięśnie mieli napięte, spojrzenia czujne, szerokie szczęki mocno zaciśnięte. Pewnie byli zaskoczeni nagłą wizytą przybyszów z gwiazd. Istniało duże prawdopodobieństwo, że nigdy wcześniej nie widzieli rozumnych istot obcego gatunku.

Abigail zaczęła mówić do translatora i z głośników dobiegły syczące dźwięki. Wśród jaszczurów zapanowało poruszenie. Zaczęli w zdumieniu szeptać między sobą i wskazywali urządzenie grubymi paluchami.

Nagle ucichli. Na czoło wysunęła się potężna bestia, większa niż pozostałe. Na tułów miała narzuconą granatową tkaninę, przetykaną złotymi nićmi. Przypominało to średniowieczny kropierz zakładany na konie. Trudno było ocenić jego grubość i stwierdzić, czy pełnił jedynie funkcję dekoracyjną, czy również chronił przed ranami. Ale już stalowa zbroja na pysku zwierzęcia nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Bez trudu można było wyróżnić naczółek, napierśnik i nakarczek.

Jaszczura dosiadał postawny wojownik w długiej kolczudze z rękawami, osłaniającej uda i sięgającej do kolan. Na głowie nosił okazały hełm. Na pokrytej bliznami twarzy dało się zauważyć świeżą szramę, biegnącą od podbródka przez oko aż do czoła. Biła od niego charyzma i nie ulegało wątpliwości, że to przywódca.

Podjechał bliżej, niemal na wyciągnięcie ręki. Ezra poczuł smród bijący od bestii i instynktownie cofnął się o krok. Kątem oka spostrzegł, że pozostali żołnierze zrobili to samo. Jedynie Torres stała nieporuszona. Z zachmurzonym czołem spoglądała na translator. W jej postawie próżno było szukać najmniejszych oznak niepokoju i Leahy zastanawiał się, czy dziewczyna naprawdę jest tak odważna, czy też, pochłonięta regulacją urządzenia, po prostu nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia. Znając Abigail, wiedział, że w grę wchodzi obie opcje.

– Zdaje się, że rozpracowałam ich język – ucieszyła się, wciskając odpowiednią kombinację na translatorze, a następnie podniosła wzrok i hardo spojrzała na jaszczura. – Przybyliśmy, żeby wam pomóc, nie mamy złych zamiarów.

Wśród tubylców zapanowało jeszcze większe poruszenie. Oczy jaszczurzego przywódcy zwężyły się w żółte szparki. Trudno było z nich cokolwiek wyczytać. Uniósł dłoń i tłum za jego plecami gwałtownie ucichł. Odezwał się w syczącej mowie, a translator szybko to przetłumaczył.

– Spadliście z nieba.

– Można tak powiedzieć.

– Przybyliście z gwiazd?

Torres niepewnie spojrzała na kapitana Dasha, nie wiedząc, czy może wyjawić prawdę. Ten lekko skinął głową.

– Tak – potwierdziła.

Przez tłum przeszła kolejna fala zdumionych okrzyków. Tym razem przywódca ich nie uciszał. Podniósł głowę, spoglądając przez chwilę na wbity w ziemię okręt

Luusaat. Wskazał go palcem i zapytał:

– W tym czymś?

– Nie. – Abigail szybko pokręciła głową. – Nasz pojazd stoi gdzie indziej. Ten należy do złych i okrutnych istot. Są bardzo niebezpieczne, niosą śmierć wszystkiemu, co żyje.

– Zabiliście je?

– Niestety. Część z nich zdołała uciec, zanim przybyliśmy.

Jaszczur zmrużył oczy i milczał przez dłuższą chwilę.

– Zwiadowcy donieśli mi o dziwnych istotach, które opuściły dolinę i skierowały się na północ. Wysokie i chude, o skórze bladej, pomarszczonej, pozbawionej owłosienia. Poruszały się karykaturalnie, na dwóch nogach.

– To na pewno one. Luusaat.

– Czyli gdzieś tu są i stanowią zagrożenie dla mojego klanu?

Milczenie Abigail wystarczyło za odpowiedź. Herszt pokiwał głową.

– Zatem jesteście tymi, którzy uratują mój lud przed okrutnym losem. Przybyszami z gwiazd, którzy zgładzą Dwunastu. Proroctwo się wypełnia.

Ezra otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Skąd jaszczur mógł wiedzieć, że przebudziło się akurat dwunastu Luusaat? I o jakiej przepowiedni mówił?

– Ruszajmy!

SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”

Doktor Camira Dheran była filigranową kobietą, a mimo to dźwigała ciężką apteczkę zawierającą lekarstwa, bandaże i artykuły pierwszej pomocy. Mogła wykorzystać do tego autonomiczną platformę znajdującą się na wyposażeniu ambulatorium, ale nie ufała sztucznej inteligencji. Na pewno wpływ na to miał fakt, że większość życia spędziła w systemie Epsilon Indi, okupowanym przez Velmenów. Podobnie jak każdy, kto miał z nimi styczność, a komu jakimś cudem udało się uniknąć modyfikacji, posiadała awersję do zaawansowanej elektroniki i wszelkiej technologii opartej na cybernetyce.

Tuż przed nią szła Sylvia w białym uniformie służb medycznych, ściśle opinającym jej zgrabną figurę. Dheran z zazdrością patrzyła, jak tamta z gracją przeskakuje nad zniszczonymi elementami grodzi i przeciska się na korytarz prowadzący bezpośrednio do zbrojowni.

– Zaczekaj na mnie! – wydyszała naczelna lekarz „Hajmdala”. Nie nadążała – wiek robił swoje.

Camira Dheran przekroczyła pięćdziesiąty rok życia i chociaż nadal uchodziła za atrakcyjną kobietę, sama dostrzegała zmiany świadczące o tym, że się starzeje. Skóra na jej ciele nie była tak jędrna jak wcześniej, siwe włosy zaczęły dominować nad ciemnym brązem, a na twarzy co jakiś czas odkrywała nowe zmarszczki. Jednak wcale nie czuła się staro. Wręcz przeciwnie. Zawsze cechowała ją pogoda ducha, potrafiła cieszyć się życiem i była pełna energii. A w ostatnich miesiącach czuła się jeszcze bardziej uskrzydłona, niczym nastolatka przeżywająca pierwszą miłość. Powodem tego był admirał Kashtaritu.

To wcale nie było tak, że od razu zakochała się w Nathanielu. Przez długi czas był dla niej zimnym, wyniosłym dowódcą okrętu, który swoimi decyzjami uprzykrzał życie działowi medycznemu. Przynajmniej tak się jej wtedy wydawało. Stoczyła z nim szereg batalii, walcząc o zwiększenie liczby pomieszczeń ambulatorium, lepszy sprzęt i dodatkowe zasoby. Oskarżała go o preferowanie służb wojskowych kosztem pomocniczych, co w jakiś sposób wydawało się logiczne, biorąc pod uwagę, że „Hajmdal” był jednostką wojenną. Podczas tych wszystkich kłótni ona była żywiołowa, pełna pasji, on zaś spokojny i opanowany. Ogień i woda.

Dheran nie potrafiła powiedzieć, kiedy coś między nimi zaiskrzyło. Może już wtedy, gdy ona wykrzykiwała swoje pretensje w sali odpraw, a on siedział w fotelu i zamiast przetrzucać holograficzne pliki, jak miał to w zwyczaju, zaczął się jej uważnie przyglądać? A może gdy przyszedł do jej gabinetu, skarżąc się na bóle

w okolicy serca? Wówczas ujrzała w nim zwyczajnego człowieka, obciążonego mnóstwem obowiązków i odpowiedzialnością, której niewielu mogło podołać.

Na początku oboje byli nieśmiali, ale gdy już odważyli się na coś więcej, nie tracili czasu na miłosne podchody. Mieli już swoje lata i oboje wiedzieli, czego chcą. Budowanie relacji, więzi przyjaźni i tłumaczenie sobie oczywistych rzeczy to domena ludzi młodych. Oni nie potrzebowali iluzji. Nie wiedzieli, co przyniesie jutro, więc cieszyli się własnym towarzystwem, bliskością i seksem.

– To tutaj! – krzyknęła Sylvia, bez lęku wchodząc do zadymionego pomieszczenia zbrojowni.

Camira Dheran podziwiała ją. Dziewczyna wiele w życiu przeszła. Wychowała się na rolniczej planecie w teegardeańskiej strefie wpływów, ale na tyle daleko od serca imperium, że żadne prawa tam nie obowiązywały. W wieku dwunastu lat została sprzedana przez własnych rodziców do burdelu, gdzie zaspokajała seksualne zachcianki lokalnych notabli. Gdy trzy lata później na planetę przypadkowo trafiła załoga pirackiej korwety zdążającej do systemu Epsilon Eridani, żeby przyłączyć się do powstającej właśnie Federacji Terrańskiej, natychmiast skorzystała z okazji. Na „Hajmdalu” odnalazła spokój i swoje powołanie. Pragnęła pomagać ludziom i była jedną z najpilniejszych studentek. Niestety, podczas buntu załogi została złapana i zgwałcona przez bandę szturmowców. Uratował ją Odyn, który pozabijał zwyrodnialców, ale dziewczyna po tym wydarzeniu długo dochodziła do siebie. Dopiero niedawno zaczęła się znowu uśmiechać. Doktor westchnęła ciężko i ruszyła do zbrojowni za swoją podopieczną.

Gryzący dym wdarł się do jej nozdrzy i oczu. Zakaszła. Grzbietem dłoni otarła łzy płynące po policzku. Pożar został niedawno ugaszony przez autonomiczne roboty, a system bezpieczeństwa zaalarmował służby medyczne, informując, że w pomieszczeniu znajduje się ranny człowiek.

– Pani doktor! – usłyszała wołanie Sylvii. – Znalazłam go.

Lekarka ruszyła za głosem dziewczyny. Sylvia klęczała nad leżącym mężczyzną. To był żołnierz z oddziałów zwiadowczych. Twarz miał osmaloną, na skórze uwidoczniły się pęcherze.

Dheran zaraz do niego przypadła. Żył. Otworzyła apteczkę, zaaplikowała odpowiednie środki i założyła opatrunki hydrożelowe.

– Musimy jak najszybciej zabrać go do ambulatorium – oznajmiła. Obawiała się, że może mieć poparzone drogi oddechowe.

– Wezwę autonomiczną platformę – powiedziała Sylvia, sięgając po komunikator.

– Nie – odparła szybko lekarka. – Najważniejszy jest czas. Nie wiadomo, kiedy platforma tutaj dotrze. Jeśli w ogóle odpowie na wezwanie.

Sylvia skinęła głową. Autonomiczne urządzenia bywały kapryśne. Zawodziło oprogramowanie, algorytmy sieci asocjacyjnych, a w wielu przypadkach miały po

prostu zbyt dużo zadań i ustanawiały własne priorytety. Wówczas kończyło się nawet godzinnym oczekiwaniem. Ale najważniejszym powodem była nieufność Camiry do cybernetycznego sprzętu.

Kobiety dźwignęły nieprzytomnego żołnierza, ale był zbyt ciężki. Dheran warknęła ze złością.

– Co wy tu, kurwa, robicie?! – rozległ się nieprzyjemny głos, przypominający zgrzytanie metalu o metal. Należał do kobiety w pancerzu bojowym wojsk szturmowych. W rękach trzymała karabin opuszczony lufą w dół, ale dioda przy rękojeści paliła się na czerwono, co oznaczało, że broń jest odbezpieczona i gotowa do użycia. Kobieta miała paskudną bliznę biegnącą przez lewy policzek, która powiększyła się, gdy ta skrzywiła usta w gniewnym grymasie. Z dymu wyłonili się kolejni szturmowcy, którzy uważnie rozglądali się po pomieszczeniu.

– Doktor Camira Dheran ze służb medycznych – przedstawiła się lekarka. – Przybyliśmy z akcją ratunkową...

– Tu nie jest bezpiecznie – warknęła kobieta. – Luusaat mogli przedostać się na pokład „Hajmdala”. Jeszcze nie sprawdziliśmy tej sekcji. Natychmiast się stąd wynoście!

– Mamy rannego! – wybuchła Sylvia.

Kobieta zmarszczyła brwi. Dheran spostrzegła stopień na jej pagonach.

– Sierżancie – rzekła łagodnie – nie zostawimy tego człowieka bez opieki medycznej. Musimy przenieść go do ambulatorium.

Sierżant wahała się przez chwilę, a potem przywołała dwóch szturmowców i rozkazała im pomóc lekarkom. Bez trudu dźwignęli zwiadowcę i ruszyli do wyjścia.

– Dzięki – rzekła Dheran, ale sierżant już jej nie słyszała. Przyjmowała raporty od swoich ludzi.

Na korytarzu lekarka wzięła głęboki oddech, ciesząc się świeżym powietrzem. Ohydny zapach spalenizny pozostał w zbrojowni. Szturmowcy ruszyli do najbliższej widny, Dheran i Sylvia poszły tuż za nimi.

Dopiero teraz pojawiły się ekipy naprawcze. Ludzie w szarych mundurach kierowali maszynami spawającymi oderwane elementy kadłuba i urządzeniami latającymi ściany. To były prowizoryczne naprawy. Sekcje rufowe będą potrzebowały solidnego remontu, ale teraz najważniejsze było nie dopuścić do dalszych uszkodzeń.

Wkroczyli do sekcji, gdzie panował mrok. Technicy nie zdążyli jeszcze naprawić oświetlenia. Doktor Dheran spojrzała w boczny korytarz, prowadzący do jednego z rozhermetyzowanych pomieszczeń. W ciemności coś się poruszyło. Przystanęła i wyteńczyła wzrok.

Najpierw myślała, że to jakiś technik idzie w ich stronę. Zaniepokoiło ją jednak, że był mocno przygarbiony i szedł jakoś nienaturalnie. Pochylony, z luźno zwisającymi rękoma zdawał się tropić niczym dzikie zwierzę. Serce podeszło jej do gardła, gdy

ujrzała łysą głowę, czarne oczy i rozwarte szeroko szczęki.

Dheran wrzasnęła rozdzierająco i zaczęła uciekać. Zadziałał instynkt. Nie martwiła się już o rannego zwiadowcę, nie myślała o Sylvii i dwóch szturmowcach. Patrzyli na nią w zdumieniu, gdy ich mijała, biegnąc do windy. A potem usłyszała tylko krótką, urwaną serię z karabinu i rozpaczliwe krzyki. One również po chwili zamilkły.

Lekarka dopadła windy, ale drzwi były zamknięte. Nacisnęła przycisk. Nie otworzyły się. Winda była na niższych piętrach. Musiała poczekać. Wiedziała jednak, że już nie zdąży uciec.

Odwróciła się powoli.

SYSTEM CHI AURIGAE

MGLISTA PLANETA MANJU

Herszt jaszczurów nazywał się Voazona i był głową rodu Sāpira, jednego z tysiąca klanów zamieszkujących Manju. Ich siedziby znajdowały się wysoko w górach, na samych szczytach. W wykutych w skałach miastach żyło od stu do siedmiuset osobników. Klan Sāpira, choć nie najliczniejszy, był jednym z najpotężniejszych na całej planecie. Tak przynajmniej twierdził Voazona, który okazał się gadułą. Przez całą drogę chętnie odpowiadał na pytania zadawane przez Abigail, a także na te, których jeszcze nie zdążyła zadać.

Kapitan Dash nie był zachwycony tą wyprawą. Na początku chciał wracać na prom, a gdyby jaszczurzy wojownicy próbowali mu w tym przeszkodzić, był gotów stawić im czoło, rozpętać bitwę, która mogła przynieść tylko rzeź po obu stronach. Ale Khaidu przekonał go, żeby najpierw skontaktował się z „Hajmdalem”. Niestety, nie udało się. Coś blokowało sygnały radiowe.

W tej sytuacji Bastian Dash zdecydował się na kontynuowanie misji. Chyba wreszcie sam zrozumiał, że tubylcy ich potrzebują. Nie tylko miotaczy ognia, ręcznych wyrzutni rakiet i ciężkich karabinów maszynowych plujących pociskami mogącymi wyrzucić krzywdę wampirom, ale również ludzi takich jak Shadracg Khaidu, którzy mieli doświadczenie w walce z Luusaat i wiedzieli, jak je pokonać.

Szlak wiódł na południe podziemnymi tunelami, jaskiniami, wąskimi przesmykami, przez które wielkie jaszczurze bestie ledwo się przeciskały. Jeźdźcy musieli zejść z siodeł i prowadzić niespokojne zwierzęta za uzdy. Inny sposób przejścia przez góry był niemożliwy. Nikt nie był w stanie wspiąć się po pionowych ścianach.

Przechodzili pod górskimi masywami, przemierzali podziemne korytarze, obchodzili pogrążone w ciemności jeziora, pokonywali kamienne mosty przerzucone nad rwącymi rzekami i ostrymi, najeżonymi niczym włócznie stalagmitami. Wspinali się szerokimi schodami, wykutymi w skale, mijali zbrojownie i strażnice podobne do tej, którą odkrył Ezra. Jednak te nie były opuszczone. Czuwali w nich uzbrojeni po zęby tubylcy.

Opuściwszy wnętrze jednej z gór, przez jakiś czas wędrowali wąwozami i pogrążonymi we mgle kotlinami, żeby niedługo potem odnaleźć wnękę i zanurzyć się w trzewiach kolejnej góry.

Leahy nie umiałby powiedzieć, ile podziemnych kompleksów odwiedzili ani jaki przebyli dystans. Nie miało to jednak znaczenia, bo w takim terenie miarą odległości był czas, a nie kilometry. Gdy wyszli na światło dzienne, Ezra spojrzął na chronometr i zdziwił się, że wędrowali niecałą godzinę. Jemu się wydawało, że minęły wieki

błądzenia po labiryncie korytarzy.

Droga wiała się suchą doliną o płaskim dnie i stromych, urwistych zboczach. Teraz nad głowami podróżnych krążyły skrzydlate gady z tubylcami. Ezra domyślił się, że to zwiadowcy. Od czasu do czasu któryś z nich lądował i składał meldunek wodzowi. Po każdej takiej rozmowie poorane bliznami oblicze Voazono przybierało ponury wyraz.

– Spójrzcie! – rozległo się w pewnej chwili z tłumacza. Przywódca jaszczurów wskazał majaczący w oddali szczyt. Z mgły wyłoniły się wykute w skale strzeliste wieże, baszty i okazałe budynki otoczone solidnym murem obronnym z wydrążonymi zębami. – To Sāpira.

– Miasto jest mocno ufortyfikowane – ocenił Ezra, który podążył zaraz za Abigail i pewnie dlatego urządzenie translacyjne przetłumaczyło jego słowa na syczącą mowę tubylców.

– To prawda – przyznał z dumą Voazono i rozpoczął opowieść o tym, jak rody na Manju toczyły ze sobą wieczne wojny. Okazało się, że wszyscy walczyli ze wszystkimi, nawet wewnątrz klanów. Brat występował przeciw bratu, syn przeciwko ojcu, kuzyn mordował kuzyna.

To pasowało do wojowniczych Lacertan, których postawę życiową wyznaczał kult siły. Wojna była dla nich najwyższą wartością, a konflikt esencją istnienia. Dążyli do zwycięstwa za wszelką cenę, gdy porażka zaglądała im w oczy, pragnęli chwalebnej śmierci. Nic więcej nie miało znaczenia. Nawet liczne podboje były jedynie środkami do celu, a nie celem samym w sobie. Kochali wojnę. Wyglądało na to, że tubylcy kierowali się podobnymi wartościami.

Ale mieszkańcy tej mglistej planety nic nie wiedzieli o swoich pobratymcach. Ze słów herszta wynikało, że zupełnie nie interesują się ciałami niebieskimi znajdującymi się nad ich głowami. Może przyczyną tego była wieczna mgła panująca nad Manju, co utrudniało obserwację nieba? A może po prostu jaszczurzy lud miał inne zajęcia, jak choćby prowadzenie wiecznych wojen? W każdym razie astronomia nie była ich mocną stroną i nic nie wiedzieli o wszechświecie, a tym bardziej o podróży międzygwiazdnych. Ludzie okazali się pierwszymi przedstawicielami obcej cywilizacji, z którymi mieli do czynienia.

Voazono zatrzymał się. Podniósł głowę, zmrużył żółte oczy, uważnie przyglądając się promieniom słońca, nieśmiało przebijającym się przez gęstą mgłę. Gwiazda systemu Chi Aurigae stała już nisko nad horyzontem. Ptaki ucichły, szykując się do snu.

– Zapada zmierzch – stwierdził. – Najkrótsza droga do Sāpiry prowadzi krętym i niebezpiecznym szlakiem.

– Luusaat wyruszyły wcześniej i mają przewagę – skomentował sierżant Khaidu, który stanął obok Abigail tak, żeby tłumacz wychwycił i przetłumaczył jego słowa. – Jeśli dotrą do miasta przed nami, urzędują mieszkańcom rzeź.

– Bez obaw – odparł dziwnie spokojnie Voazona i wskazał w górę na zwiadowców szybujących na skrzydlatych gadach. – Cały czas ich śledzimy. Na razie błąkają się wśród opustoszałych jarów i kotlin na północy. Znalezienie przejścia przez góry zajmie im jeszcze trochę czasu.

– To przebiegłe istoty. – Khaidu nie dawał za wygraną. – Na pewno coś wymyślą. Powinniśmy jak najszybciej dotrzeć do miasta i przyszykować się do obrony.

– To prawda. – Jaszczur skinął głową. – Czeką nas bitwa!

– Najwyraźniej cię to cieszy – rzekła z przekąsem Abigail.

– Owszem! – odparł Voazona z radosnym błyskiem w oku. – Nie ma nic wspanialszego niż szcęk oręża rozbrzmiewający echem wśród gór, zapach krwi lejącej się strumieniami i widok zmasakrowanych ciał wrogów. Czeką nas wojenna sława! Ta bitwa rozśławi mnie i mój ród na całe wielki, a Sāpira stanie się stolicą nowego imperium. Wieczna chwała bohaterom!

Ostatnie słowa wypowiedział na tyle głośno, żeby dotarły na kraniec rozciągniętej kolumny wojska. Osiągnął zamierzony efekt. Z gardeł jaszczurzych wojowników dobył się potężny ryk, przepelniony dumą i długo niosący się echem po górach. Ezra instynktownie skulił się w sobie, obawiając się, że może dotrzeć do uszu wampirów. Ale może o to właśnie chodziło? Wyzywali wroga, prowokowali go.

– Jesteś bardzo pewny siebie – skomentowała Abigail, gdy już zgiełk ucichł. – Przyjdzie nam walczyć z silnym przeciwnikiem. Możemy ponieść klęskę.

Voazona zarechotał.

– Niemożliwe! Proroctwo mówi wyraźnie o triumfie.

– Co to za proroctwo? – zainteresowała się Torres. – Już po raz drugi o tym wspomniałeś.

– Proroctwo wieszczki ze świątyni na górze.

SYSTEM ALMAAZ

ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY

Doktor Thuspha stała boso na pokładzie hangarowym. Wyglądała jak siedem nieszczęść. Dawno pozbyła się butów na wysokim obcasie, które utrudniały bieganie, rozcięcie w sukni pogłębiło się, a starannie ułożona fryzura zamieniła się w nieokreślony kołtun. Na rękach i łokciach miała otarcia od przepychania się przez tłum dyplomatów, na ciele spore siniaki, bo sama oberwała kilka szturchańców, zaś kolano, na które upadła tryknięta rogiem przez jakiegoś spanikowanego osobnika z gatunku Lithütlho, pulsowało tępym bólem i zaczęło puchnąć. Ostry makijaż spływał wraz z łzami.

Sandra prawie nigdy nie płakała. Na palcach jednej ręki mogła policzyć chwile, gdy emocje brały w niej górę nad stoickim spokojem. Nawet wówczas, gdy była świadkiem, jak toch-em niszczy planetę Aquaris, nie potrafiła wykrzesać łez. Nie szlochała również, gdy przerażona uciekała z „Hajmdala”, porzucając przyjaciół, mężczyznę, z którym się związała, i owoc swoich badań. Ale teraz nie potrafiła nad sobą zapanować. Poddała się rozpacz.

Jakiś Diohdanin krzyczał jej coś do ucha, ale nie włączyła translatora i nic nie zrozumiała. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia, bo i tak by go zignorowała. Zniecierpliwiony poszedł dalej i zagadał do grupy Abzu, którzy bezradnie krążyli po hangarze. W stosunku do nich był bardziej natarczywy i jeden z ichtioidów pchnął go tak mocno, że Diohdanin zatoczył się i upadł na podłogę, uderzając głową o autonomiczną platformę towarową. W jego obronie stanęli przypominający ptaki Khambalczycy i zaczęła się bójka.

Ale Sandra Thuspha zupełnie nie zwracała na to uwagi. Jej to nic nie obchodziło. Wzrok utkwiała w pasie startowym, tam gdzie powinien stać „Zenit”. Ale promu nie było.

Sięgnęła dłonią do policzka i wściekłym gestem otarła łzy.

– Ale ze mnie idiotka – warknęła do siebie.

Tak naprawdę sama nie wiedziała, na co liczyła, pędząc tu na złamanie karku. Na lojalność dwóch mężczyzn, którzy zdezerterowali, porzucając towarzyszy broni? Czy cokolwiek znaczyło to, że wspólnie podróżowali? Albo to, że byli jedynymi przedstawicielami ludzkiego gatunku na ardhanariańskim promie? Nie. Byli obcymi sobie ludźmi, których związał los. Trzymali się razem, bo tak było wygodniej. Przynajmniej do pewnego momentu.

Ghazan Zao był zwykłym łajdakiem, który sprzedałby własną matkę, gdyby mógł na tym zyskać, jednak po Lasancie spodziewała się czegoś więcej. Młody pilot

wykazywał oznaki przyzwoitości i najwyraźniej coś do niej czuł. Ale to nie wystarczyło, gdy na szali zawisło jego życie.

Sandra przypomniła sobie, jak ich traktowała. Ignorowała ich, a nawet się wstydziła. Udawała, że nie istnieją. Odzywała się do nich tylko wtedy, gdy czegoś potrzebowała. Dlaczego więc mieli na nią czekać? Ona na pewno postąpiłaby tak samo.

Odgarnęła kosmyk włosów, który opadł jej na oczy, i ten zwyczajny gest przywrócił ją do rzeczywistości. Nie mogła się poddać. To nie było w jej stylu. Rozpacz rozwiąła się, ustępując miejsca zimnej kalkulacji.

Thushpa rozejrzała się po hangarze. Przybyła za późno. Ostatni jacht dyplomatyczny właśnie się wznosił, pozostawiając w dole tłum zdesperowanych istot. Dwoje Whrdów skoczyło, próbując uczepić się jachtu, ale ogień z dysz natychmiast ich spopielił. Jakiś Arya wrzeszczał jak opętany, wygrażając pilotom, ale ci go już nie widzieli, prowadząc jednostkę w stronę śluzy.

Sandra zaczęła intensywnie myśleć. Przeanalizowała wszystkie możliwe drogi ucieczki, wszelkie warianty wydostania się z promu, który stał się pułapką, ale nic nie przychodziło jej do głowy. „Zenit” odleciał, a w hangarze nie było już żadnej dostępnej jednostki. Nawet jeśliby się jakaś znalazła, Sandra i tak nie miała szansy się na nią dostać. Było zbyt wielu chętnych.

Rozmyślenia przerwał jej wstrząs, który cisnął ją na podłogę. Wiedziała, co to oznacza. Wystrzelono cumy magnetyczne, które przywarły do burty promu dyplomatycznego. Wróg szykował się do abordażu. Wszyscy obecni w hangarze też mieli tego świadomość. Wybuchła jeszcze większa panika, tłum zaczął się tratować. Zaczęły się bójkі, polała krew.

Sandra wstała i zaraz się zatoczyła, bo kolejny wstrząs szarpnął promem. Tym razem jednak była przygotowana i nie upadła. Stała szeroko na nogach i gorączkowo myślała dalej.

Nie po to tyle przeszła, przebyła tak daleką drogę, żeby teraz dać się zabić. Musiała coś wymyślić. I to natychmiast.

Ale nic nie przychodziło jej do głowy. Rozglądała się bezradnie po pokładzie hangarowym.

– Weź się w garść, dziewczyno – zrugła samą siebie. – Myśl!

Zmarszczyła czoło. Nie było sensu tkwić tutaj. Żadna jednostka transportowa nie pojawi się w hangarze jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Niestety, na promie brakowało barek ewakuacyjnych. Były zbyt ciężkie. Po pierwsze, nikt nie atakował statków dyplomatycznych i nawet najmniej cywilizowane nacje, jak Lacertanie, przestrzegali pewnych konwencji. Po drugie, ardhanariańskie jednostki uchodziły za najbardziej bezpieczne i bezawaryjne. A jeśli już by doszło do sytuacji, w której trzeba opuścić prom, goście dysponowali własnymi środkami transportu. Dla załogi

przeznaczone były kapsuły ratunkowe, lecz te znajdowały się na górnych pokładach i zarezerwowane były jedynie dla Ardhanari. Nie sposób było się do nich dostać, bo zabezpieczone kodem genetycznym nie wpuszczały nikogo, kto nie należał do ich gatunku.

Nagle Sandrę olśniło. Przecież była jednym z nich! Tak przynajmniej twierdziło Rhw'kho, a nie miała powodu, żeby mu nie wierzyć. Nawet jeśli była tylko w części Ardhanari, posiadała ich geny i kod kapsuły ratunkowej powinien to rozpoznać. Taką przynajmniej miała nadzieję. Musiała spróbować. Jeśli tego nie zrobi, nigdy się nie dowie.

Ruszyła biegiem w stronę najbliższej windy. Wtem poczuła przeraźliwy ból w kolanie. Zatrzymała się i spojrzała w dół z irytacją. Staw spuchł jeszcze bardziej. Nie miała jednak czasu na szukanie pomocy medycznej, zresztą w tym chaosie pewnie i tak by jej nie otrzymała. Musiała jakoś sobie poradzić.

Dokużykała do windy. Na szczęście tym razem nikt się do niej nie pchał. Wszyscy pozostawali w hangarze, licząc na jakiś cud, wierząc, że ktoś ich stamtąd zabierze, zanim na pokład wejdą Velmeni. Thushpa nauczyła się jednak, że jeśli sama sobie nie pomoże, nikt inny tego nie zrobi.

Spojrzała na panel z przyciskami, na których widniały trójwymiarowe symbole. Ardhanari w przeciwieństwie do większości gatunków nie operowali cyframi w oznaczaniu pokładów, lecz znakami składającymi się z dziwnych zawijasów, oddającymi charakter każdego z nich. Rhw'kho próbowało jej to kiedyś wytłumaczyć. Twierdziło, że tylko prymitywne umysły postrzegają świat w sposób uporządkowany, zaklinając wszystko w ciągi, budując hierarchiczne modele, gdy tak doskonałe istoty jak Ardhanari potrafią wyrwać się ponad to i nie myśleć schematami. To było aroganckie z jego strony, ale Sandra musiała przyznać, że w jakiś podświadomy sposób to rozumiała. Teraz już wiedziała dlaczego.

Wybrała szósty pokład licząc od dołu. Wiedziała, że tam znajdują się kwatery członków załogi, a co za tym idzie, musiały tam być również kapsuły ratunkowe.

Nacisnęła przycisk i czekała, aż drzwi się zasuną, gdy nagle zatrzymały się.

Ktoś je zablokował.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Szlak wiódł łagodnie w górę krętą, kamienną ścieżką wśród krzewów i karłowatych drzew. Było tak ciasno, że co jakiś czas kolumna gwałtownie się zatrzymywała, a wówczas niektórzy wpadali na siebie.

– Pierdolone jaszczury – warknął z pogardą Tirah Gonzalez, uderzając jednego z nich. Leahy zdziwił się, słysząc jad w słowach ciemnowłosego zwiadowcy. Zrównał się z nim w marszu i przez chwilę szli obok siebie w milczeniu.

– Co jest grane? – zagadnął wreszcie. Jeśli coś było nie tak z jego ludźmi, musiał to wiedzieć.

Gonzalez nie odpowiedział. Zmarszczył tylko brwi i mocniej ścisnął karabin.

– Tirah?

Zwiadowca splunął, łypiąc na tubylców.

– Nienawidzę ich!

– To nie są Lacertanie – odparł Ezra, domyślając się już, że Gonzalez musiał mieć z nimi przykre doświadczenia. Leahy tak naprawdę nie wiedział, skąd Tirah pochodzi i co go w życiu spotkało. Gonzalez był skryty i niczego o sobie nie mówił. Ale to nie było żadnym usprawiedliwieniem dla Ezry, który jako dowódca plutonu powinien wiedzieć wszystko albo prawie wszystko o swoich ludziach. Odpowiadał za nich, za ich życie i zdrowie.

– Jak to?! – obruszył się Gonzalez. – Spójrz na nich, sierżancie! Wyglądają jak Lacertanie, poruszają się jak Lacertanie i nawet się zachowują jak oni. Tylko kolor skóry mają inny. A poza tym niczym się nie różnią.

Znów splunął z pogardą i pokręcił głową.

– Co mu tu jeszcze robimy? Dlaczego im pomagamy? Zostawmy ich na pastwę wampirów. Nie miałbym nic przeciwko temu.

– Nie możemy...

– Chuja tam nie możemy! – warknął Tirah.

Leahy spojrzał na niego zdumiony. Jeszcze nigdy nie widział Gonzaleza tak wzburzonego. Zawsze opanowany i powściągliwy, rzadko dawał upust emocjom, ale teraz jego brązowe oczy błyszczały wściekłością. Leahy po raz kolejny zganił się w myślach za to, że nie poświęcił czasu, aby dobrze poznać nowych żołnierzy, zrozumieć, jacy są naprawdę, poznać ich tajemnice, pragnienia, obawy. Przez ostatnie miesiące skupił się na Abigail i tylko z nią spędzał czas.

To nie był dobry pomysł.

Torres i Bishopa znał bardzo dobrze. O Miriam Funke myślał tylko w kontekście

Tobiasa. Postrzegał ją jako jego dziewczynę, zapominając, że to samodzielna istota ludzka, mająca własne emocje, oczekiwania, obawy. Poczuł wstyd.

Z kolei Ivar Björk był dla niego typem narwańca, który najpierw działał, a dopiero potem zastanawiał się nad konsekwencjami swoich czynów. Ezra nie wysilił się, żeby spróbować zrozumieć, czym się kieruje i dlaczego jest taki, jaki jest. Podobnie było z Gonzalezem. Uznał, że jest typowym flegmatykiem, facetem niewyróżniającym się z tłumu i nigdy niesprawiającym kłopotów. Buzowały w nim jednak ukryte emocje, których Leahy nie był świadomy. Emocje, które w każdej chwili mogły eksplodować z siłą wulkanu.

– Pochodzę z Szedar – oznajmił niespodziewanie Gonzalez.

Ezra przystanął z wrażenia. System Alfa Cassiopeiae, zwany także Szedar, był stolicą Lacertan. Krążyły nawet teorie, że to ich macierzysty układ gwiazdny, bo wokół pomarańczowego olbrzyma krążyły planety i księżycy o tropikalnym klimacie, który bardzo odpowiadał jaszczurom. Jeśli jacykolwiek ludzie mieszkali w tym systemie, posiadali status niewolników.

– Współczuję – rzekł.

Tirah skinął głową i szli jakiś czas w milczeniu.

– Urodziłem się na najniższym poziomie księżycy-stoczni, w śmierdzącej i brudnej klitce, na sienniku wypchanym słomą – powiedział cicho zwiadowca. – Zanim moi rodzice trafili do lacertańskiej niewoli, byli obywatelami Imperium Teegardeańskiego, oficerami floty granicznej. Skutecznie bronili rubieży przed najazdami jaszczurów. Niestety, podczas jednej z bitew ich okręt zdobyli Lacertanie. Członkowie załogi zostali zakuci w kajdany i przetransportowani na Szedar. Tam uczyniono z nich niewolników pracujących niemal bez wytchnienia.

Tirah westchnął ciężko.

– Moi rodzice i tak mieli szczęście. Mogli trafić do kopalni platyny. Tam ludzie przeżywali rok, może dwa. Umierali głównie z wycieńczenia i głodu, bo racje żywnościowe były minimalne. Również choroby i wypadki zbierały krwawe żniwo. Jednak jako wysoko wykwalifikowanych specjalistów przydzielono ich do pracy w stoczni. Dzięki temu jakoś egzystowali, bo życiem nazwać tego nie można.

Głos mu zadrżał.

– Od dzieciństwa tyrałem. Na początku były to jedynie prace porządkowe, takie jak mycie podłóg i czyszczenie urządzeń, ale potem, gdy zacząłem dorastać, dostawałem coraz cięższe zadania. Większość była niebezpieczna dla życia i zdrowia. Wygaszanie uszkodzonych reaktorów, spawanie części okrętów w przestrzeni kosmicznej bez zabezpieczeń czy przenoszenie toksycznych ładunków. To była ciężka fizyczna praca, a ja byłem dzieckiem. Ponadto karmiono mnie słabo. Zdarzało mi się zasłabnąć, a wtedy było jeszcze gorzej. Jaszczury mnie biły, czasami torturowały. Nie znałem innego życia. Nie wiedziałem, że może być inaczej.

Voazona nakazał ostrożność, bo kolumna zbliżała się do najniebezpieczniejszego odcinka drogi. Ścieżka zwęziła się tak bardzo, że zwierzęta musiały iść pojedynczo.

Nagle zerwał się silny wiatr. Pierwszy poryw pchnął Ezrę na skraj urwiska. Sierżant zatrzymał się zaledwie pół metra od krawędzi. Spojrzał w ciemność pod stopami, zastanawiając się, jak może być wysoko. Przełknął ślinę i dołączył do Gonzaleza.

– Jak zdołałeś uciec? – zapytał Ezra.

– Nie uciekłem – odparł ponuro zwiadowca. – Dostałem się z jednej niewoli do drugiej. Pod pewnymi względami jeszcze gorszej.

Zamilkł. Ezra nie ponaglał Tiraha, czując, że samo mówienie o tym jest dla niego trudne. Minęło dobrych kilka minut, zanim ponownie się odezwał.

– Nie wiem, ile mogłem mieć wtedy lat według standardowej rachuby. Wiem tylko, że było to wkrótce po tym, gdy wszedłem w okres dojrzewania. Moi rodzice już dawno umarli. Z ludzkich dzieci, które ze mną pracowały, przeżyłem tylko ja. Jaszczury uznały mnie za dorosłego osobnika i wysłały na wojnę. W tym czasie Lacertanie planowali inwazję na jeden z systemów leżących w strefie wpływów Ardhanari. Zostałem zaokrętowany na pancerniku flagowym i wraz z innymi niewolnikami wykonywałem najgorsze prace w maszynowni. Zaś po wylądowaniu na planecie mieliśmy iść na pierwszą linię jako mięso armatnie.

Wtem kolumna się zatrzymała. Ezra wychylił się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Dostrzegł most, na który ostrożnie wchodził Voazona, prowadząc swoją bestię. Za przykładem swojego przywódcy poszli jaszczury wojownicy, a następnie terrańscy żołnierze.

Leahy zbladł, gdy przyszła jego kolej. Zorientował się, że most zbudowany jest z żywych korzeni jakiegoś potężnego drzewa. Tubylcy musieli sporo się natrudzić, żeby stworzyć taką naturalną konstrukcję. Podejrzewał, że budowniczkowie najpierw pozwalali rosnąć korzeniom wzdłuż wydrążonych pni drzew, aby nadać im pożądany kierunek, a następnie usuwali łodygi. Z biegiem czasu dalsze ukorzenie prowadziło do powstania sprężystej i wytrzymałej przeprawy. Jednak taka konstrukcja musiała powstawać przez dziesięciolecia. Ezra podziwiał wytrwałość i pomysłowość autochtonów.

– Bitwa rozpętała się zaraz po tym, jak lacertańska flota wyszła z nadświatlnej – kontynuował Gonzalez, który ostrożnie stawiał stopy, uważając, żeby się nie poślizgnąć na wilgotnym drewnie lub nie potknąć o liany porastające most. – Czekali na nas, zupełnie jakby dokładnie wiedzieli, gdzie jaszczury uderzą.

– Ardhanari? – zdziwił się Ezra. Z tego, co wiedział, nie dysponowali własną flotą wojenną, a ich wojska najemne ochraniały konkretne planety, nie całą przestrzeń.

– Nie – odparł Tirah. – To byli Velmeni.

– Co?! – Leahy ze zdumienia aż się zatrzymał. Idący za nim Bishop wpadł na niego i głośno zaklął. Sierżant burknął przeprosiny i ruszył dalej.

– Wiem, że dziwny to sojusz – mówił dalej Gonzalez. – Nie mam pojęcia, co tam robili. Może znaleźli się w tym systemie przypadkowo? A może zostali wezwani na pomoc po tym, gdy szpiedzy donieśli im, co jaszczury szykują? Ale to nieważne...

Zwiadowca zamilkł. Ezra zauważył, że Tirah skulił ramiona.

– Bitwa trwała krótko – mówił dalej. – Wystarczył zaledwie kwadrans, żeby z tuzina lacertańskich pancerników zostały dryfujące wraki. Tego dnia Velmeni wzięli sporo jeńców.

Ezra pokiwał głową ze współczuciem. Zdawał sobie sprawę, że Velmeni zmuszali jeńców do przyjęcia modyfikacji. Zerknął na Gonzaleza, zastanawiając się, czy ten ma jakieś cyberwszczepy.

– Ale nie trafiłem do ich niewoli.

– Nie?

– Byłem dorastającym chłopcem. Oddali mnie w ręce Ardhanari.

Leahy nie zrozumiał od razu i dopiero po chwili zaskoczył.

– Och – wyrwało mu się.

– Tak – przyznał Gonzalez. – Byłem seksualnym niewolnikiem. Odurzony narkotykami, hipnotyzowany sensualnymi programami działającymi na podświadomość, spełniałem wszystkie chore zachcianki tych zwyrodnialców.

Westchnął ciężko.

– Nienawidzę ich tak samo jak jaszczurów – dodał. – Gdy dorosłem i przestałem być dla nich atrakcyjny, pozwolili mi odejść. Cierpiałem, uzależniony od narkotyków, i długo trwało, zanim doszedłem do siebie. Nie wiedziałem, co z sobą począć. Przymierzałem się nawet do tego, żeby popełnić samobójstwo, i wówczas usłyszałem o Federacji Terrańskiej. A dalej to już wiadomo... Chciałeś poznać moją historię, sierżancie. Oto ona.

Ezra chciał coś odpowiedzieć, pocieszyć podwładnego, powiedzieć mu, że trafił w odpowiednie miejsce i przeszłość to przeszłość, powinien ją zostawić za sobą, ale nagle rozległ się ogłuszający ryk.

SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”

Sierżant Barbara Lorde była zła. Bardzo zła. Objawiało się to nerwowym drżeniem palca wskazującego, który samoistnie wędrował do spustu trzymanego karabinu, i gniewnym spojrzeniem zimnych, stalowych oczu. Kobieta rozglądała się po zbójowni w nadziei, że w rozwiewającym się dymie ujrzy wampira, do którego będzie mogła wywalić całą serię z agresora, dając tym samym upust swojej wściekłości. Ale najchętniej jednak posłałaby kulę w łeb Bastianowi Dashowi.

Zawsze uważała go za dupka. Zadufanego w sobie sukinsyna, karierowicza, który nigdy nie myślał o podwładnych, a jedynie o sobie. Niejednokrotnie widziała, jak traktuje żołnierzy – jak gówno, które przykleiło mu się do podeszwy, ale nie można się zatrzymać i się go pozbyć, bo trzeba iść dalej. Śmierdzi i wkurza, lecz jest nieodłącznym elementem, który trzeba zaakceptować. Barbara Lorde uśmiechnęła się. Metafora może nie była w stu procentach trafiona, ale za to niezwykle malownicza.

Zaraz jednak zmarszczyła brwi, przypominając sobie tych wszystkich, którzy zginęli przez jego niefrasobliwość. Pamiętała źle zaplanowany i zupełnie nieudany desant na Konthä, kiedy stracili wielu dobrych ludzi. Kobieta nie potrafiła zrozumieć, jak ktoś taki jak Dash mógł zostać szefem operacji specjalnych. Widocznie potrafił wejść w tyłek odpowiednim ludziom.

Od samego początku go nie lubiła. W systemie Epsilon Eridani, zanim jeszcze to wszystko się zaczęło, Dash jako oficer nadzorujący oddziały szturmowe zdegradował ją do stopnia kaprała, odebrał dowodzenie nad plutonem i wpakował na tydzień do aresztu za przywalenie w mordę pewnemu porucznikowi, którego przyłapała na oszukiwaniu podczas gry w Mintaka.

Wtedy jej się należało. Co prawda uważała, że Dash mógłby przymknąć oko, bo z tamtego porucznika był kawał skurwysyna, ale z pokorą zaakceptowała sankcję. Jednak kolejne dwie kary otrzymała w sumie za nic i zaczęła podejrzewać, że Bastian Dash się na nią wziął.

Dopiero gdy „Hajmdal” dotarł do systemu Zeta Monocerotis, Barbara Lorde odzyskała stopień sierżanta i dowodzenie nad Plutonem J. Do końca nie wiedziała, czy miało to związek z tym, że kapitan Dash awansował i już nie miał bezpośredniego wpływu na obsadę stanowisk w oddziałach szturmowych, czy spowodowały to po prostu braki kadrowe. Nie spędzało jej to jednak snu z powiek. Potrafiła cieszyć się z tego, co jest.

– Czysto – usłyszała w słuchawkach głos kaprała Feliksa Kvehra.

Gdy Barbara awansowała na dowódcę pierwszej kompanii szturmowej, Kvehr objął

dowodzenie nad jej dawnym plutonem. Sama go rekomendowała, bo chociaż nie brakowało bardziej doświadczonych podoficerów, on był bystry i kreatywny. Zawsze szukał niestandardowych rozwiązań. A to była cecha dobrego dowódcy.

– Doskonale – odparła. Wyglądało na to, że w zbrojowni nie ukrył się żaden wampir. Ale wcale jej to nie cieszyło. – Sprawdźmy pozostałe sekcje.

Było mało prawdopodobne, że na „Hajmdala” przedostali się Luusaat. Z tego, co słyszała, okręt-asteroida został ostrzelany laserem emitującym promieniowanie ultrafioletowe. To powinno załatwić wszystkich krwiopicjów znajdujących się na wrogiej jednostce. A jeśli nawet jacyś przeżyli, podczas zderzenia okręty miały tak olbrzymią prędkość, że przedostanie się z jednego na drugi było raczej niemożliwe. Jednak mieli do czynienia z wampirami i należało dmuchać na zimne.

Opuściła lufę karabinu i szybko ruszyła do wyjścia. Dym całkowicie się już rozwiął i teraz wyraźnie widziała strawione pożarem pomieszczenie. Osmolone ściany, zniszczony sprzęt, stopione od żaru półki. Wybuchła tutaj amunicja, powodując spore zniszczenia.

Jej podkomendni zebrali się już przy zniszczonych drzwiach, czekając na dalsze rozkazy. Idąc w ich kierunku, rozmyślała o rozdzieleniu zadań w taki sposób, żeby jak najszybciej sprawdzić wszystkie pomieszczenia. Wcześniej wydała rozkaz odcięcia górnego pokładu rufowego od pozostałej części okrętu, a na straży postawiła jeden z podległych jej plutonów. Szturmowcy nie byli zadowoleni z tego zadania, które mogli równie dobrze wykonać żandarmi. Oni nie byli od tego. Oddziały szturmowe szkolono do walki, uderzania na wroga, miażdżenia i niszczenia. Powinni być teraz w zupełnie innym miejscu. Mając tego świadomość, Barbara Lorde warknęła gniewnie. Ponownie ogarnęła ją wściekłość na kapitana Dasha.

Rozumiała, że desant na planetę Manju nie był wcześniej planowany i dowódca operacji specjalnych musiał szybko podejmować decyzje, ale nie pojmowała, dlaczego na akcję zabrał drugą, a nie pierwszą kompanię wojsk szturmowych. Żołnierze znajdujący się pod jej komendą byli bardziej doświadczeni i lepiej przeszkoleni niż ci dowodzeni przez Khaidu. Osobiście nie miała nic do Shadracga. Uważała go za świetnego faceta i doskonałego żołnierza. Lubili się i nigdy nie było między nimi żadnych kwasów. Uważała jednak, że to ona powinna mieć pierwszeństwo. Ale kapitan Dash był innego zdania.

Zgrzytnęła zębami. Zastanawiała się, czy wpływ na jego decyzję miało to, że jest kobietą. A może to, że miała opinię krnąbrnej, nieposłusznej i mającej problem z dyscypliną? Może chodziło o sprawę desantu na Konthä, kiedy przejęła jego obowiązki i wspólnie z Khaidu wyciągnęli żołnierzy z tego gówna, w które Dash ich wpakował? Mając to w pamięci, mógł mieć obawy, że sytuacja się powtórzy. Ewentualnie w grę mogła wchodzić jej przeszłość. Barbara Lorde trafiła do Federacji prosto z pirackiej korwety, na której była członkiem oddziału abordażowego. A Dash

nie lubił piratów. Uważał, że ludzie o takiej przeszłości nie powinni służyć w terrańskich siłach zbrojnych.

Na wspomnienie dawnych czasów na ustach kobiety pojawił się delikatny uśmiech. Piratów nie obowiązywały żadne zasady i regulaminy. Nie przejmowali się prawem i robili, co chcieli. Kierowali się jedynie własnym kodeksem moralnym. Tak jak wówczas, gdy w czasie pobytu na jednej z planet należących do Imperium Teegardeańskiego na ich korwecie ukryła się młoda dziewczyna, zbiegła z lokalnego burdelu. Członkowie załogi chcieli ją wyrzucić, ale Barbara na to nie pozwoliła. Miała swoje powody. Była mniej więcej w wieku uciekinierki, gdy stało się to, co się stało. Największy koszmar jej życia. Blizna na twarzy czasami paliła, gdy wracały wspomnienia.

Zaopiekowała się dziewczyną i nie wydała lokalnym władzom, które o nią wypytywały. Nikomu o tym nie mówiła, ale w noc poprzedzającą wylot wymknęła się z okrętu, pod osłoną ciemności wdarła do burdelu i wymordowała właścicieli oraz wszystkich klientów. Oszczędziła tylko dziwki, bo one niczemu nie były winne. A na pewno nie temu, co spotkało tę biedną dziewczynę i ją samą przed dwudziestu laty.

Zabrała uciekinierkę ze sobą do systemu Epsilon Eridani. Nie mogła pozwolić, żeby pozostała na pirackiej korwecie. Wiedziała, jak by się to dla niej skończyło. Zaślepiąca nienawiścią, niepotrafiąca poradzić sobie ze wspomnieniami, zabijałaby niewinne istoty, myśląc, że w ten sposób ukoi swój ból. Ale on nie zniknie. Barbara Lorde dobrze to wiedziała.

Po dotarciu do Epsilon Eridani nie bardzo interesowała się dalszym losem dziewczyny. Wiedziała tylko, że wstąpiła do korpusu medycznego. Ostatni raz widziała młodą kobietę, jak musztrowała się na okręt. Teraz zobaczyła ją u boku naczelnego lekarza „Hajmdala”, jak pomaga rannemu, i poczuła dumę. Wyglądało na to, że zrobiła dobry uczynek. Warto było.

Rozmyślania przerwała jej urwana seria z agresora i rozdzierający krzyk. Sierżant Lorde zadziałała instynktownie. Uniosła lufę karabinu i ruszyła. Pierwsza znalazła się na korytarzu i zaraz się zatrzymała, zdjeta grozą. Ściany spływały krwią. Na podłodze znajdowały się zwłoki czterech ludzi. Dwaj szturmowcy, zwiadowca, którego transportowali do ambulatorium, i ona. Sylvia leżała w nienaturalnej pozycji, ze skrzyżnym karkiem i rozoraną szyją. Szkliste oczy dziewczyny wpatrzone były w przestrzeń.

Po policzkach Barbary popłynęły łzy.

Z odrętwienia wyrwały ją odgłosy strzałów, najpierw dalekie, jakby dochodzące gdzieś jakby z innej galaktyki, a potem coraz bliższe, aż wreszcie przerażające się w potężny, raniący uszy huk. To szturmowcy otworzyli ogień do wampira szykującego się do ataku na doktor Dheran, która oparta o drzwi windy krzyczała w przerażeniu.

Barbara Lorde poczuła rozsadzającą ją wściekłość, rozgoryczenie i żal. Uniosła karabin i nacisnęła spust.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Potężny ryk poniósł się echem po górach i dolinach, niemal rozsadzając bębunki w uszach Ezry. Młody sierżant skulił się ze strachu, ale zaraz uniósł karabin i go odbezpieczył. Nawet nie wiedział, że to zrobił. Zadziałał instynkt i wojskowe wyszkolenie.

W pierwszej chwili Ezra pomyślał, że zostali zaatakowani przez Luusaat, którzy pod osłoną cienia ruszyli za nimi w pościg i dopadli na moście z żywych korzeni drzew. Trzeba było uczciwie przyznać, że to było najlepsze miejsce na atak. Ciasnota nie pozwalała na swobodę ruchu, z jednej i drugiej strony ziała przepaść, jaszczurza jazda była bezużyteczna, nie mówiąc już o tym, że otwarcie ognia mogło spowodować straty własne.

Jednakże Leahy nigdzie nie dostrzegł okrutnych wampirzych gąb, wyszczerzonych kłów i bryzgającej krwi. Po tym, co ujrzał we wnętrzu okrętu-asteroidy, wiedział już, jak te stwory potrafią być szybkie, drapieżne i niebezpieczne. Co się zatem stało?

Wtem uświadomił sobie, że nigdzie nie widzi jaszczurzej bestii, która szła przed nim. Spojrzał w dół i dostrzegł ją uwięzioną w dziurze. Zad i tylne nogi wisały w powietrzu. Korzenie, mimo swojej wytrzymałości i elastyczności, pękły pod ciężarem potężnego zwierzęcia. W żółtych oczach bestii tliło się przerażenie.

Zaraz przypadli do niej wojownicy. Ciągnęli za uzdę, jednak zwierzę było zbyt ciężkie i musieli zaniechać wysiłków. Pogodzeni z porażką, mogli tylko patrzeć, jak wierzchowiec coraz bardziej się osuwa. Ryczał przerażony, pełen żalu, jakby zdawał sobie sprawę, że jego los jest już przesądzony.

Rozległ się głuchy trzask łamanego drewna i bestia runęła w dół. Nastąpiło to tak błyskawicznie, że wojownicy wokół niej nie zdążyli się odsunąć i luźno leżące wodze zaplątały się o nogi jednego z nich. Zwierzę pociągnęło go ze sobą. Jaszczur chwycił się jeszcze korzeni, zaparł potężnymi ramionami, próbując się wspiąć, ale ciężar był zbyt wielki.

Najszybciej zareagował Gonzalez. Działał jak błyskawica. Zanurkował w otwór, zawisł na jednej ręce, drugą sięgnął po wibroostrze, zatknięte za paskiem wojskowych spodni, i odciął rzemień zaciśnięty na kostce jaszczura. Bestia z głośnym rykiem poleciała w przepaść, a wojownik i Tirah natychmiast zostali wciągnięci na górę.

Gonzalez leżał na moście, ciężko dysząc. Akcja ratunkowa trwała zaledwie kilka sekund, ale kosztowała go sporo wysiłku. Ezra podał mu rękę i poklepał po ramieniu.

– Świetna robota – rzekł. – Uratowałeś mu życie.

Tirah odpowiedział skinieniem głowy, wcale jednak nie wyglądał na dumnego.

Wręcz przeciwnie – Leahy dostrzegł złość na jego twarzy.

– Postąpiłeś słusznie.

Zwiadowca tylko prychnął gniewnie.

– Wiem, że nienawidzisz jaszczurów, ale tym bardziej ci się chwali, że przełamałeś niechęć...

– Gówno prawda! – przerwał ostro Tirah. – Zareagowałem instynktownie. Nie myślałem, kogo ratuję. Gdybym miał czas pomyśleć, pewnie pozwoliłbym zlecieć temu ścierwu na sam dół i rozbić się na skałach. I miałbym z tego dziką satysfakcję.

– Wcale tak nie myślisz – obruszył się Ezra.

– Nie znasz mnie, sierżancie – warknął Gonzalez.

Leahy musiał przyznać mu rację.

– Nie masz pojęcia, jakie myśli kłębią się w głowie człowieka, który niemal całe życie spędził w niewoli. Człowieka, który był bity, torturowany, poniżany. Wiesz, czego najbardziej pragnąłem w tych najgorszych chwilach?

Ezra pokręcił głową.

– Nie pragnąłem wolności, bo nie wiedziałem nawet, czym jest. Nie pragnąłem szczęścia, bo nigdy go nie doświadczyłem. Pragnąłem jedynie, żeby skończyło się cierpienie, ale gdy trwało i trwało, wyobrażałem sobie, jak moi oprawcy giną w niewyobrażalnych męczarniach. Przy życiu utrzymywało mnie pragnienie zemsty. A teraz...

Zamilkł i pokręcił głową, spoglądając na jaszczura, którego uratował. Wojownik jeszcze był w szoku, ale już powoli dochodził do siebie.

– A teraz jesteś żołnierzem terrańskich sił zbrojnych – dokończył za niego Ezra. – I zachowałeś się jak należy. Tego od nas oczekują nasi przełożeni, tego oczekujemy po sobie sami. Powinieneś zostawić przeszłość za sobą.

– Tego nie da się zapomnieć.

– Wiem. I wcale cię o to nie proszę. Wszystko, czego doświadczyłeś, pozostanie w tobie na zawsze. Uformowało cię, stworzyło takim, jakim jesteś. Nadało kierunek twojemu działaniu, ale nie ma nad tobą władzy. Sam decydujesz o sobie. Teraz jesteś kimś zupełnie innym. Nie zaleknionym chłopcem, niewolnikiem bez przyszłości. Otrzymałeś nowe życie, nową szansę. Wykorzystaj to.

Gonzalez pokiwał głową.

– To nie będzie łatwe – powiedział wolno. – Ale postaram się.

– O nic więcej nie proszę.

Tirah roześmiał się.

– Gadasz jak jeden z okrętowych psychoterapeutów, sierżancie. Może minąłeś się z powołaniem?

Ezra uśmiechnął się.

– Jestem zwykłym trepem i na zawsze nim pozostanę.

– Nikt nie wie, co mu pisane – rzekł filozoficznie Gonzalez. – Przyszłość potrafi zaskoczyć. Sam wiem o tym najlepiej.

Leahy dotknął palcami podoficerskiej naszywki na ramieniu. Jeszcze rok temu był zwykłym szeregowym bez oficerskich ambicji, za to z głową wypełnioną marzeniami o podróżach kosmicznych i wojennej sławie. Teraz dowodził oddziałem w randze sierżanta i poważnie zastanawiał się nad wstąpieniem do akademii oficerskiej, którą na powrót powołano na „Hajmdalu”. I już tak chętnie nie rwał się do walki. Był świadkiem zbyt wielu śmierci i przelanej krwi. Zrozumiał, że w wojnie nie ma nic chwalebного.

Voazona dał rozkaz i kolumna ponownie ruszyła. Na razie awangarda. Oni jeszcze stali, czekając na swoją kolej.

Podszedł do nich wojownik, którego Tirah uratował. Stał przed nim.

– Czego? – warknął Gonzalez.

Jaszczur zmrużył żółte oczy, ale się nie cofnął. Miał szczupłą twarz, niepooraną jeszcze bliznami, jak u pozostałych wojowników. Widocznie był jeszcze młody i niedoświadczony. Wyrzucił z siebie potok syczących słów, a na końcu głęboko się uklonił. Następnie ściągnął z szyi kościany naszyjnik i podał go Tirahowi.

– O co mu chodzi? – zdumiał się zwiadowca.

– Ma na imię Dhēle – oznajmiła Abigail, podchodząc do nich z urządzeniem translacyjnym. – Uratowałaś mu życie, więc jest twoim dłużnikiem. Prosi, abyś przyjął od niego ten dar, oznaczający, że od tej pory jesteście braćmi.

– Powiedz mu, że nie będę bratem żadnego parszywego jaszczura! – warknął Gonzalez, ciskając naszyjnik na ziemię, i odszedł na czoło pochodu. Zdezorientowany Dhēle zamrugał po gadziemu powiekami, co wyglądało dość upiornie, i podniósł naszyjnik. Spojrzał pytająco na Abigail.

– Nie tłumacz tego! – przestraszył się Ezra.

– Aż tak szalona nie jestem – odparła dziewczyna. Włączyła translator i zmyśliła na poczekaniu coś o tradycji nieprzyjmowania darów od obcych. Jaszczur zinterpretował to w ten sposób, że musi sobie zasłużyć na przyjaźń Gonzalez. Abigail przytaknęła, nie miała ochoty wdawać się w dyskusję.

Zaraz za mostem pojawiły się pierwsze strażnice – wysokie, masywne wieże z kamienia, na których szczycie rozmieszczono posterunki. Strażnicy ze zdziwieniem spoglądali na terrańskich żołnierzy, ale żaden się nie odezwał, o nic nie zapytał.

Niedługo potem dotarli do miasta. Blask słońca oświetlił monumentalne budynki Sāpiry, wysmukłe wieże, wykute w skale kaskadowe ogrody, którymi spływała woda, tworząc bajeczne, mieniące się srebrem wodospady. Trudno było uwierzyć, że to dzieło tubylców. Można było spodziewać się raczej surowego bastionu, zmilitaryzowanej twierdzy, odpowiadającej charakterowi wojowniczych jaszczurów, a tymczasem oczom żołnierzy ukazało się dzieło istot posiadających wyrafinowany

gust i zmysł estetyczny.

Miasto budziło się do życia. Przed domy wychodzili mieszkańcy, w większości zbrojni, ale byli wśród nich osobnicy odziani w luźne szaty o granatowych barwach. Samice noszące dzbany z wodą oraz kosze z jedzeniem miały na sobie różnokolorowe suknie i sporo ozdób.

– Co to jest? – zapytała Abigail, wskazując coś w oddali. Ezra spojrział w tamtym kierunku i zamarł z wrażenia. To był ziggurat. Podobny do tego, którego ruiny znaleźli na pustynnej planecie Thagga.

– Świątynia Pajęcznej Bogini – odparł Voazona.

SYSTEM ALMAAZ ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY

Sandra zamarła. Serce podeszło jej do gardła. Z przerażeniem spoglądała na drzwi, które powoli się rozsuwały. Gdy wystarczająco się rozwarły, do windy wślizgnęło się galaretowate stworzenie sięgające jej do kolan. Thushpa odetchnęła z ulgą. To tylko Oruga.

Przedstawiciele tego gatunku nie stanowili zagrożenia, aczkolwiek nikt za nimi nie przepadał, a Sandra ich wręcz nie cierpiała. Nie tylko za ich wygląd, ale za to, co sobą reprezentowali. Zajmowali się przede wszystkim handlem i zawsze próbowali oszukać swoich klientów. Cechowały ich przebiegłość, chytryść i skąpstwo. Nikt nie lubił prowadzić z nimi interesów, ale było to nieuniknione, bowiem byli właścicielami większości przedsiębiorstw transportowych i ich frachtowce dominowały na szlakach handlowych.

Przezroczyście ciało, pokryte białą mazią, napawało kobietę wstrętem. Do tego dochodził bijący od niego smród i Sandra była pewna, że zaraz zwymiotuje. Przymknęła powieki, nie chcąc patrzeć na ohydne, gąsienicowe stworzenie.

Wreszcie drzwi się domknęły i winda ruszyła. Sandra usłyszała żalosne piszczenie. Otworzyła oczy. Dźwięki dobiegały z aparatu gębowego Oruga przypominającego miniaturową czarną dziurę. Westchnęła ciężko i uruchomiła translator na nadgarstku.

– Czego? – warknęła.

Z głośnika urządzenia dobiegł metaliczny głos:

– Uratuj mnie!

Thushpa roześmiała się ponuro.

– Sama potrzebuję pomocy.

– Proszę...

– Znajdź kogoś innego.

– Nie ma nikogo innego. W tobie jedyna nadzieja. Tylko ty możesz mnie z tego wyciągnąć.

– Ja? – zdumiała się kobieta. – Czemu tak sądzisz?

– Wiem, kim jesteś.

Sandra była zirytowana, ale również lekko rozbawiona całą sytuacją.

– Poważnie?

– Faworytą Rhw'kho.

W oczach kobiety zapłonął gniew. Nie przypominały już łagodnej morskiej toni, ale ciemne fale oceanu podczas sztormu. Ten galaretowaty stwór sugerował, że była kochanką ambasadora!

– Jak śmiesz... – zaczęła, ale nagle uświadomiła sobie, że wcale nie jest zła na Orugę. Tak naprawdę była wściekła na Rhw'kho. Po tym wszystkim, co powiedziało o jej matce i o tym, jak ona sama ważna jest dla Ardhanari, zostawiło ją, a samo opuściło salę bankietową, twierdząc, że musi udać się do centrum łączności, żeby nawiązać kontakt z Velmenami i złożyć na ich ręce kapitulację. Thushpa jednak była pewna, że już dawno opuściło prom.

– Ambasador na pewno ma własny jacht na górnym pokładzie – mówiło dalej stworzenie.

– Całkiem możliwe – odparła z przekąsem.

– Jedziesz do niego, prawda? Zabierzcie mnie ze sobą! Błagam! Możesz żądać, czego tylko chcesz. Mogę ci ofiarować trzydzieści procent udziałów w liniach pasażerskich...

– Trzydzieści procent?! – Kobieta prychnęła rozbawiona. – Mówiłeś przecież, że mogę żądać czego chcę.

– W granicach rozsądku.

Sandra roześmiała się.

– Przykro mi, ale nie potrafię ci pomóc – rzekła łagodnie. – Prawda jest taka, że Rhw'kho mi wcale nie pomogło. Jak myślisz, co robiłam na dole?

Zapadło milczenie. Galaretowaty stwór musiał przetrwać to, co przed chwilą usłyszał, i wyciągnąć wnioski. Na pewno był zawiedziony.

– Na pokładzie hangarowym miałam prom – mówiła dalej Sandra. – Ale okazało się, że moi... hmm... przyjaciele odlecieli beze mnie.

– Rozumiem – smutno rozbrzmiał translator. – Na mnie też nie zaczekali.

– Przykro mi.

– Wyobrażasz sobie?! To przecież byli moi *prajahm* z tego samego wylęgu! Tak mnie porzucić? Mnie? Trzeciego co do wielkości armatora w sektorze centralnym Ramienia Oriona, głównego akcjonariusza herkareńskich stoczni i ósmego na liście najbogatszych *howght'ha* linii pasażerskich...

– I oferowałeś mi tylko trzydzieści procent? – Sandra ponownie wybuchła śmiechem.

Zdziwiło ją to. Świat wokół niej się walił, w każdej chwili mogła zginąć, a ona sobie żartowała. Wiedziała, że tym razem odezwała się jej ludzka natura. Tylko człowiek potrafił się tak zachowywać w obliczu niebezpieczeństwa.

– Przecież mogłaś się targować. Gotów byłem podbić moją ofertę. Może nawet do czterdziestu pięciu procent!

Sandra prychnęła. Nie miała ochoty kontynuować tej rozmowy. Na szczęście winda dotarła na miejsce. Drzwi rozwarły się i Oruga wypełził pierwszy, najwidoczniej mając zamiar iść z Sandrą. Pewnie cały czas łudził się, że kobieta zmierza na tajny prom ambasadora. Już otwierała usta, żeby go spławić, ale usłyszała głuchy strzał z karabinu

pulsacyjnego i ujrzała, jak wiązka energii rozrywa galaretowate ciało. Zielona krew opryskała Sandrę od góry do dołu, a ona sama, wrzeszcząc jak opętana, cofnęła się do środka windy. Próbowwała palcem wcelować w przycisk, ale ręce za bardzo jej drżały. Spanikowała jeszcze bardziej, gdy usłyszała kroki i towarzyszący im świst pneumatycznie wspomaganych kończyn.

Pretorianie!

W panice zaczęła na oślep walić dłonią w panel i udało się. Drzwi windy zaczęły się powoli zamykać. Zanim domknęły się zupełnie, Sandra dojrzała w szparze metaliczną głowę i złowrogie oko płonące szkarłatem. Oparła się o ścianę, próbując uspokoić. Nic z tego. Serce jej waliło, dreszcze wstrząsały całym ciałem, a po policzkach ponownie popłynęły łzy.

Nie rozumiała, dlaczego aż tak panikuje. Przecież pragnęła spotkać Velmenów, licząc na to, że doprowadzą ją do matki. A teraz, w bezpośredniej konfrontacji, przestraszyła się i zapragnęła znaleźć się jak najdalej od nich.

Winda stanęła. Wyświetlacz na panelu pokazywał czwarte piętro. Sandra wstrzymała oddech, gdy drzwi rozsunęły się bezgłośnie. Przywitana ją cisza. Ostrożnie wyjrzała na korytarz. Był pusty. Odetchnęła z ulgą i zmusiła się do tego, żeby iść przed siebie. Nie mogła tu zostać. Pretorianin mógł ruszyć za nią w pościg.

Znajdowała się na pokładzie rozrywkowym, gdzie goście mogli oddawać się hedonistycznym rozrywkom na żywo albo w specjalnie do tego przystosowanych symulatorach. Mijała drzwi gabinetów masażu, kabin rozkoszy, narkotykowych salonów, a także różnego rodzaju medlabów, gdzie specjaliści dokonywali neurobiologicznych operacji, mających podnieść jakość życia seksualnego. Po drodze spotkała trójkę Arya, jednego Satepehre i dwóch osobników nieznanego jej gatunku. Skupieni na ratowaniu własnego życia, zupełnie nie zwracali na nią uwagi.

Usłyszała strzały. Przystanęła i nasłuchiwała. Sandra nie miała wątpliwości, że to velmeńskie karabiny pulsacyjne. Na promie nie było innej broni. Ardhanari wychodzili z założenia, że pod banderą dyplomatyczną są zupełnie bezpieczni. To był błąd.

Odgłosy strzałów zbliżały się z każdą chwilą. Thushpa musiała się spieszyć. Zaczęła coraz szybciej kuśtykać na bolącej nodze. Rozglądała się gorączkowo. Wiedziała, że również tutaj powinny znajdować się kapsuły ratunkowe dla personelu. Wreszcie je znalazła. Była w środkowej strefie pokładu czwartego. Kapsuły ciągnęły się wzdłuż burty.

Sandra, nie namyślając się długo, przyłożyła dłoń do czytnika umieszczonego na szybie kapsuły. System przez długą chwilę analizował próbkę i kobieta już myślała, że nic z tego nie będzie, ale nagle wieko odskoczyło. To jednak była prawda. Rhw'kho nie kłamało. Posiadała geny Ardhanari.

Szybko wsunęła się do środka, zapięła pasy przeciążeniowe. Zaraz miała się znaleźć

w przestrzeni kosmicznej, z daleka od przerażających pretorianów. System sprawdził szczelność i zasygnalizował, że wszystko gotowe.

Pociągnęła dźwignię.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Gdy tylko Ezra ujrzał ziggurat, od razu wiedział, co go czeka.

Świątynia Pajęczej Bogini była najokazalszą budowlą w okolicy, wzniesioną poza murami miasta, w najwyższym dostępnym punkcie. Dotarcie do niego zajęło Siódemce ponad pół godziny czasu standardowego. Słońce systemu Chi Aurigae chyliło się już ku zachodowi, ale nie sposób było go dostrzec i tylko promienie przebijały się nieśmiało przez opary mgły, oświetlając majestatyczną budowlę.

Ziggurat na pewno nie był tak wielki, jak ten odkryty na Thagdze, ale i tak mierzył ponad dwadzieścia metrów wysokości. U podstawy szerszy, tarasowo piał się w górę, a jego szczyt znikał w chmurach.

– Co dalej? – zapytał Bishop, gdy dotarli do świątyni.

– Jak to co? – odparła bez troski Abigail i postąpiła krok do przodu. – Idziemy!

Tobias spojrział na Ezrę z nadzieją, że wyda inny rozkaz, ale ten ruszył za Torres. Bishop westchnął ciężko, pokręcił głową, ale zaraz do nich dołączył wraz z pozostałą trójką zwiadowców.

Leahy nie miał najmniejszej ochoty wchodzić do zigguratu. Tego ani żadnego innego. Po tym, co się stało na Thagdze, obiecał sobie, że szerokim łukiem będzie omijał wszelkie świątynie Khon-Ma. On i Torres dokonali wówczas wielkiego odkrycia, znajdując dowód na to, że pajęczaki miały kontakt z gatunkiem ludzkim, gdy na Ziemi rodziła się dopiero cywilizacja. Jajogłowi na „Hajmdalu” byli zachwyceni. Godzinami analizowali nagrania z kamer, wysnuwali daleko idące wnioski, teoretyzowali na temat pochodzenia ludzkości i nikt w tym całym zamieszaniu nie pamiętał, z jakim trudem zostały zdobyte te nagrania. Podczas wyprawy zwiadowcy o mały włos nie stracili życia.

Na samą myśl o wejściu do zigguratu Ezrę ogarniał lęk. Dobrze pamiętał mroczne, duszne korytarze. Pamiętał komnaty ziejące pradawnym złem, kamienie spadające im na głowy, zwalisko gruzu, przez które trudno było się przebić, i strach, gdy uświadomił sobie, że kończy im się powietrze. Dodatkowo przerażał go fakt, że wówczas mieli do czynienia ze zniszczoną i porzuconą świątynią Khon-Ma, a teraz szykowali się do wejścia do przybytku Pajęczej Bogini, który nadal funkcjonował.

Tubylcy twierdzili, że w świątyni nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Pomimo tego Ezra oczyma wyobraźni widział pajęczaki urzędujące w jej wnętrzu, gotowe pożreć każdego, kto śmiał zapuścić się do ich siedziby.

Voazona niewiele potrafił powiedzieć o samej budowlu. Wiedział tylko tyle, że została wzniesiona na cześć Pajęczej Bogini, która niegdyś stąpała po Manju.

W każdym większym mieście na planecie można było znaleźć taki ziggurat, ale wyrocznia znajdowała się jedynie w Sāpirze. Czym lub kim jest, Voazona nie chciał zdradzić. Ale nie miał nic przeciwko temu, żeby ludzie sprawdzili to sami.

Torres nie trzeba było specjalnie namawiać. Jej ciekawość i pragnienie wiedzy wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. Na nic zdały się tłumaczenia Ezry, że w obliczu zagrożenia atakiem Luusaat należy zachować daleko idącą ostrożność i nie wychylać się poza mury miasta. Nie posłuchała. Poszła z tym do kapitana Dasha i długo tłumaczyła mu, jak ważne jest sprawdzenie powiązań autochtonów z Khon-Ma w kontekście badań dotyczących pochodzenia ludzkości. Argumentowała, że w zigguracie na Manju mogą znaleźć artefakt podobny do posągu z Thaggi, a w konsekwencji odkryć, dlaczego pajęczaki zniszczyły Ziemię i czego tak naprawdę chcą od gatunku ludzkiego.

Kapitan wreszcie uległ namowom, chociaż nie to było zadaniem jego grupy operacyjnej. Nikt nie mógł go pociągnąć do odpowiedzialności za zignorowanie tajemniczej świątyni, ale zdawał sobie sprawę, że przełożeni będą niezadowoleni, jeśli jej nie zbada. Stwierdził, że szturmowcy doskonale sobie poradzą z przygotowaniem miasta do obrony przed wampirami, a Pluton 7 ma niezwłocznie ruszyć na rozpoznanie.

Abigail podeszła do ściany i przyłożyła do niej dłoń.

– To nie jest dzieło Khon-Ma – stwierdziła.

– Skąd ta pewność? – zapytał Ezra.

– Spójrzcie na łączenia kamieni. To prymitywna zaprawa murarska, a nie stosowane przez pajęczaki włókna fibroinowe, sklezione serycyną.

– Wcale mnie nie uspokoiłaś – odburknął Leahy.

Torres go zignorowała. Ściągnęła plecak i wyjęła z niego niewielkie urządzenie. Pobrała próbkę kamienia i włożyła do zasobnika. Zmarszczyła brwi, spoglądając na wyświetlacz, który migał na czerwono.

– Co to jest?

– Aparatura służąca do datowania radiowęglowego.

– Nosisz ten złom ze sobą?! – zdumiał się Bishop.

– Nigdy nie wiesz, do czego się przyda.

– Jesteś zdrowo jebnięta.

Miriam parsknęła śmiechem, jednak gdy Torres spiorunowała ją wzrokiem, natychmiast zamilkła, unosząc dłoń w przeproszającym geście. Tobias i Abigail służyli w Siódemce od samego początku i zachowywali się jak rodzeństwo, które się często ze sobą droczy. Pozwalali sobie na kąśliwe uwagi i ostre żarty, ale to była ich własna gra, do której dopuszczali Ezrę. Natomiast Funke, Gonzalez i Björk nie byli jeszcze „rodziną”.

Gdy Torres ponownie spojrzała na wyświetlacz, zabłysł na zielono.

– No proszę, proszę. – Uśmiechnęła się.
– Co wykazała analiza? – zaciekał się Ezra.
– Wychodzi na to, że ziggurat liczy blisko dziesięć tysięcy lat. Eksperci na „Hajmdalu” po analizie zdjęć dali posągowi z Thaggi mniej więcej tyle samo.
– Ciekawe.
– Uhm – skwitowała Abigail. – Poszukajmy wejścia.
– Uważam, że nie powinniśmy tam włączyć – burknął Bishop, nieufnie przyglądając się budowli.
– Nie marudź.
– Nie marudzę. Po prostu jestem głosem rozsądku. Przypomnij sobie, jak skończyła się poprzednia wyprawa do wnętrza zigguratu.
– To była zupełnie inna sytuacja. Nie mogliśmy przewidzieć, że zaraz wybuchnie wulkan...

– Poważnie?! Dymił jak skurwysyn, a do tego pomrukiwał jak dzika pantera z Kastor, więc nie wciskaj mi kitu, Abigail!

Dziewczyna prychnęła w odpowiedzi.

– O mały włos tam nie zginęliście.
– Obeszło cię to?
– Wyobraź sobie, że tak. Mogłem stracić przyjaciół.
– Wybacz, Tobias. – Abigail spurpurowiała, lecz zaraz się wyszczerzyła i mrugnęła.
– Ale i tak tam wejdziemy.

Bishop jęknął i ostentacyjnie wznosił oczy ku niebu. Potem spojrzał błagalnie na Ezrę.

– Zrób coś. Przecież ty tu dowodzisz.

Leahy wzruszył ramionami.

– To rozkaz Dasha – odburknął.

Nie podobała mu się ta wyprawa, a jeszcze bardziej to, że Abigail ominęła drogę służbową i poszła z tym bezpośrednio do kapitana. To Ezra powinien z nim porozmawiać. Obiecał sobie, że pogada z Torres o zależności służbowej. Ale dopiero po tym, jak wyjdą z łóżka.

Abigail wzięła się pod boki i surowo spojrzała na Tobiasa.

– Po prostu srasz w gacie ze strachu.

– Masz rację. Boję się. Znajdujemy się na obcej planecie, o której nic nie wiemy. Zamieszkują ją osobnicy podobni do Lacertan, którzy wyznają kult Pajęcznej Bogini. Nie uważasz, że to już wystarczający powód do niepokoju? A w dodatku gdzieś po okolicy wałęsa się jedenaście krwiożerczych wampirów, z których każdy jest w stanie rozjechać kompanię wojska.

– Zgnuśniałeś i tyle! – fuknęła. – Wszyscy się rozleniwiliście. Gdzie wasza żołnierska brawura? Gdzie zapal i zamiłowanie do przygód? Niegdyś rwaliście się do

walki, gotowi stawić czoło wszelkiemu niebezpieczeństwu. A dzisiaj? Spójrzcie na siebie. Nadal uważacie się za elitę wojsk rozpoznawczych?

Ezra spąsował, podobnie jak pozostała piątka zwiadowców. W słowach Abigail było sporo racji. Dawno już nie uczestniczyli w misji bojowej. Od czasu desantu na Sykion i pojmania generała Tzittasa minęło sporo czasu. Co prawda regularnie trenowali, ćwiczyli walkę wręcz i taktykę bojową, ale to nie mogło zastąpić prawdziwego pola bitwy, gdzie do głosu dochodzi adrenalina. A może wręcz odwrotnie? Może doświadczenia wojenne, przelana krew, ciągły strach i niepewność jutra sprawiły, że nie pchali się już tak ochoczo w ramiona śmierci?

Abigail wydeła pogardliwie usta.

– Gdzie podziała się legendarna Siódemka?

– Daj już spokój – burknął Bishop. – Załatwmy to szybko i wracajmy do miasta.

Obeszli cały budynek, ale ku swojemu zdziwieniu nie znaleźli wejścia. Dostrzegli jedynie stopnie wykute w ścianie, prowadzące stromo w górę i złowieszczo znikające we mgle. Torres bez zastanowienia ruszyła pierwsza. Ezra nawet nie próbował jej powstrzymać. Nie miało to najmniejszego sensu. Po prostu zdjął z ramienia karabin i poszedł za nią. Reszta oddziału również.

Na szczycie znajdowało się niewielkie pomieszczenie, do którego prowadziły otwarte na oścież wrota. Komnata pogrążona była w oparach mgły i dymu z kadzideł, których cytrusowy zapach drażnił nozdrza żołnierzy. Na środku pomieszczenia dostrzegli trójnog i siedzącą na nim wysoką, humanoidalną postać.

– Nareszcie jesteście – rzekła melodyjnym głosem.

SYSTEM CHI AURIGAE SEKTOR CENTRALNY

Grodzie hangaru rozwarły się na całą szerokość i sześć myśliwców klucza zielonego mogło wreszcie wystartować.

Joel Pak odetchnął z ulgą. Tym razem się udało, nic nie stanęło na przeszkodzie. Wcześniej centrala lotów dwukrotnie odwoływała start ze względu na awarię grodzi hangarowych. Młody dowódca, czekając w kokpicie, widział przez szybę biegających techników, których zafrasowane miny mówiły wszystko. W pewnym momencie już chciał opuścić maszynę i wyzwąć wszystkich od niekompetentnych głupców, ale oczywiście tego nie zrobił. Nie na darmo uchodził za jednego z najspokojniejszych pilotów. Między innymi właśnie dzięki tym cechom zdobył stopień oficerski, a następnie dowództwo klucza. I dlatego, zamiast biegać po hangarze i miotać przekleństwa, jak zapewne zrobiliby Bennet lub Czarna, on z kamienną twarzą czekał cierpliwie, aż ekipy naprawcze poradzą sobie z problemem.

Pomyślał tylko, że ma wyjątkowego pecha. W ciągu ostatnich miesięcy często odbywali loty ćwiczebne i nic się nie działo. Klucze czerwony i niebieski ciągle borykały się z najróżniejszymi problemami. Piloci Benneta mieli sporo kłopotów z maszynami. Nie wiadomo dlaczego, szybciej niż w innych myśliwcach zużywały się części bądź przepalały obwody elektryczne. Natomiast Valeria miała problemy z dyscypliną. Krasnal pił do nieprzytomności niemal co drugi dzień i nieraz przystępował do ćwiczeń na kacu, Mubaadar podważał jej decyzje, a Picton nie pojawiała się na odprawach i trzeba jej było szukać po kwaterach, często w różnych częściach okrętu. Jedynie Shiron wydawał się w tym towarzystwie normalny.

Na szczęście Pak nie miał tego typu kłopotów. Piloci klucza zielonego rekrutowali się spośród ludzi oblatujących maszyny dalekiego zasięgu i dlatego nie byli tak narwani, jak ci z myśliwców przechwytyjących. Może przez to byli mniej kreatywni, ale za to potrafili zachować zimną krew i, podobnie jak Joel Pak, doskonale sobie radzili z całym oprzyrządowaniem zamontowanym na myśliwcach. I to było powodem, dla którego zamiast do walki częściej wysyłano ich na misje patrolowe lub ratownicze.

Tak było i teraz. I o ile awaria pasa startowego nie zdołała wyprowadzić z równowagi młodego dowódcy klucza zielonego, o tyle decyzja o posłaniu ich na planetę w celu odnalezienia „Nadira” i oddziału desantowego wywołała w nim prawdziwą furję. Oberwało się zatem oficerowi łącznikowemu, który przekazał rozkaz admirała. Pewnie gdyby rozmawiał bezpośrednio z dowódcą okrętu, Joel nawet by się nie zająknął i w żaden sposób nie okazałyby niezadowolenia. Jak każdy na pokładzie

„Hajmdala”, odczuwał respekt przed Nathanielem Kashtaritu.

Cały gniew Paka ulotnił się w jednej chwili, gdy tylko myśliwiec przekroczył próg grodzi i wystrzelił w kosmiczną przestrzeń. Pilot ujrzał nieograniczoną czerń kosmosu i mglisty blask odległych gwiazd. Wypełniła go ekstaza, radość, poczucie wolności, ale także nabożny lęk, który ogarniał go zawsze w obliczu majestatu wszechświata. Trwoga ta jednak nie paraliżowała, a jedynie przywracała do pionu, nie pozwalała, żeby człowiek urósł w pychę. Docierało do niego, że jest zaledwie drobnym elementem w tej doskonałej maszynie działającej od miliardów lat. A on lubił, kiedy wszystko działało prawidłowo. Lubiał też maszyny. Czasami zdawało mu się, że rozumie je lepiej niż ludzi.

Joel Pak skupił się na danych pojawiających się na wyświetlaczu hełmu, który zachował jeszcze z czasów, gdy pilotował ciężkie myśliwce. Wykonany z karbonowych włókien, kevlaru i specjalnego tworzywa produkowanego jedynie w togariańskich dominiach, posiadał wizjer z poliwęglanu, na którym wyświetlał się obraz odpowiadający temu, na co pilot akurat spoglądał, oraz wszelkie dane lotu dotyczące lotu, stanu technicznego maszyny i uzbrojenia. Pak z zadowoleniem stwierdził, że wszystko jest w najlepszym porządku. Nie mogło być inaczej. Przed każdym lotem po kilka razy sprawdzał, czy wszystko w myśliwcu funkcjonuje prawidłowo. Tego samego wymagał od swoich ludzi. Może dlatego inni uważali pilotów z klucza zielonego za ześwirowanych pedantów. Nie obchodziło go to. Życie ludzi było najważniejsze.

Piloci meldowali o gotowości bojowej. Nikt nie zgłaszał usterki myśliwca ani niedyspozycji. Joel Pak z satysfakcją pokiwał głową. Wyglądało na to, że wszystko było w najlepszym porządku.

– Formować szyk – rozkazał. Myśliwce błyskawicznie utworzyły formację klina, którego liderem był Zielony Jeden.

Pak przywołał na wyświetlacz dane z lidaru i westchnął ciężko. Klucz czerwony właśnie dopadł dwa uciekające okręty Luusaat i piloci Valerii urządzili sobie ostre strzelanie. Natomiast klucz niebieski ruszył na zbliżający się tajemniczy obiekt. Piloci Franka Benneta dzisiaj pewnie też zaliczą trafienia. Po powrocie na okręt będą świętować sukces w kantynie i przechwalać się zniszczeniem wrogich jednostek. Joel miał dziką ochotę ustawić kurs przechwytyjący i runąć na wroga wraz z nimi. Wiedział jednak, że nie może tak postąpić. Miał swoje rozkazy.

Pięć maszyn ruszyło na Manju.

Planeta urzekła pięknem. Biel mieszała się z zielenią, a pyłowe pierścienie skrzyły srebrem. Ale Joel Pak zdawał sobie sprawę, że to piękno może być zdradliwe. Pod warstwą chmur kryły się wysokie szczyty gór, o które nietrudno było się rozbić.

Pak polecił komputerowi przeanalizować trajektorię lotu „Nadira” i obliczyć wszystkie możliwe warianty awaryjnego lądowania. Z analizy wynikało, że nawet

zakładając najgorszy scenariusz, czyli rozbicie promu, teren poszukiwań obejmował obszar nie większy niż sto kilometrów kwadratowych. Dla pięciu maszyn wyposażonych w najczulsze przyrządy i pięciu doskonale wyszkolonych pilotów odnalezienie jednostki nie powinno nastęrczać trudności.

Problemy zaczęły się zaraz po wejściu w atmosferę. W gęstej niczym mleko mgle nic nie było widać, a przyrządy pomiarowe nagle zaczęły wariować. Pak nie pierwszy raz się z tym spotkał. Na niektórych planetach silne interferencje elektromagnetyczne zakłócały działanie elektroniki. Trudno było określić, co jest przyczyną. Naukowcy podejrzewali, że to nieznanne zjawisko naturalne, ale krążyły też plotki, że w jądrach globów jakaś starożytna rasa ukryła urządzenia powodujące zakłócenia.

– *Mam nieprawidłowe odczyty z systemów!* – jęknął Zielony Dwa. – *Jestem ślepy jak vandaryjski kret. Co robimy, poruczniku?*

Joel Pak nie odpowiedział od razu. Powinien wydać rozkaz odwrotu. Nie miał prawa narażać zdrowia i życia swoich pilotów. W takich warunkach o wypadek nietrudno. Z drugiej jednak strony, zostali tutaj wysłani w określonym celu i Pak nie miał zamiaru tak szybko się poddawać. „Nadir” miał wbudowany nadajnik i istniała duża szansa, że po pierwszym przelocie odbiorą jego sygnał. A jeśli nie, na pewno uda się go wypatrzeć.

– Schodzimy niżej – rozkazał. – Obserwacja wizualna.

– *To szaleństwo!* – zawołał Zielony Cztery. Pozostali go poparli.

– Cisza w eterze! – warknął Joel. – Wydałem rozkaz. Schodzimy. Miejcie oczy szeroko otwarte i... uważajcie na siebie.

Na niższym pułapie mgła jeszcze bardziej zgęstniała, ale widać było przynajmniej powierzchnię planety. Komunikacja radiowa zaczęła szwankować i Joel Pak przez trzaski prawie nie słyszał, co mówili piloci. Próbował nawiązać łączność z promem, ale to też się nie udało. Wniosek nasuwał się sam – „Nadir” uległ katastrofie.

Porucznik westchnął ciężko i ponownie przywołał na wewnętrzną maskę hełmu dane z przyrządów. Chwilę im się przypatrywał, próbując wyłowić coś z kompletnie bezsensownych liczb, wykresów i znaczników. Gdy ponownie przeniósł wzrok na przednią szybę kokpitu, krzyknął przerażony.

Nagle z mlecznej mgły wyłonił się skalisty szczyt. Joel instynktownie pociągnął za stery, podrywając maszynę. Poczł wstrząs, gdy skrzydło myśliwca zahaczyło o wierzchołek, ale na szczęście nie doszło do katastrofy. Pilot odetchnął z ulgą. Wyrównał lot i spojrzł przed siebie.

Przelatywał nad doliną porośniętą trawą, malowniczo położoną wśród wzgórz. Na przeszukiwanym obszarze zbliżał się wieczór i Pak zdawał sobie sprawę, że niedługo zapadną ciemności, a wtedy trzeba będzie przerwać misję ratunkową.

Nagle dostrzegł jakiś połyskujący kształt. Zawrócił myśliwiec i raz jeszcze przeleciał nad doliną.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Istota spotkana w świątyni w niczym nie przypominała tubylców. Była wysoka i szczupła. Miała bladą skórę, subtelne rysy twarzy, wąskie usta, wystające kości policzkowe i bardziej przypominała człowieka niż jaszczura.

– To Ardhanari – warknął Gonzalez, unosząc lufę karabinu.

Istota wdzięcznie się roześmiała i wstała z siedziska. Dopiero teraz zwiadowcy mogli w pełni docenić jej majestat. Przewyższała każdego z nich niemal o głowę, poruszała się z gracją, a każdy jej ruch był pełen subtelnego wdzięku. Długie, lśniące włosy koloru miedzi spływały kaskadą na ramiona. Czerwona, zwiewna szata odsłaniała na tyle dużo, żeby można było zachwycić się zgrabnym, modelowanym genetycznie ciałem, ale na tyle mało, że nie sposób było odgadnąć płci. Ale jeśli faktycznie należała do gatunku Ardhanari, nie miało to znaczenia, bowiem wszyscy byli hermafrodytami.

Wtem w komnacie samoistnie zapłonęły łuczywa, umieszczone w żelaznych stelażach na ścianach. W blasku ognia oczy dziwnej istoty rozbłysły szkarłatem, wyczytać z nich można było obietnicę rozkoszy i śmierci zarazem. Ezra nigdy jeszcze nie spotkał Ardhanari, ale z tego, co o nich słyszał, obie te możliwości się nie wykluczały.

Leahy uniósł lewą dłoń, zakręcił palcami młynka, dając sygnał zwiadowcom. Wiedzieli, co mają robić. Natychmiast ustawili się w półkolu i wycelowali karabiny w tajemniczą postać.

– Tak, jestem Ardhanari – odparła istota w płynnym ziemskim języku, cały czas zmierzając w ich kierunku. – I nie tylko...

– Nie ruszaj się! – krzyknął Ezra, starając się, żeby jego głos brzmiał władczo. – Ani kroku dalej!

Istota posłuchała. Przystanęła, lekko unosząc ręce na znak, że nie ma wrogich zamiarów. Na jej wąskich ustach błąkał się delikatny uśmiech, bardzo ludzki i obcy zarazem. Młody sierżant nie wiedział, czy uznać go za zmysłowy, czy upiorny. Słyszał, że na planetach rozkoszy Ardhanari uprawiali seks z innymi gatunkami humanoidalnymi. Wcześniej wydawało mu się to odrażające, ale teraz, patrząc na stojącą przed nim istotę, musiał uczciwie przyznać, że znalazł się pod jej urokiem. Emanowała erotyzmem i tym rodzajem charyzmy, który zmuszał do uległości.

Nagle Leahy zdał sobie sprawę, że wpatruje się w stojące przed nim Ardhanari z otwartymi ustami. Poczuł wstyd i złość na siebie, że uległ zauroczeniu, wręcz seksualnej fascynacji. A przecież to było dziwadło, inny gatunek, w dodatku

prawdopodobnie osobnik o cechach płciowych zarówno żeńskich, jak i męskich. Na domiar złego obok stała Abigail i Ezra obawiał się, że zauważyła jego zmieszanie.

– Kim ty, kurwa, jesteś?! – warknął gniewnie, chwytając mocniej karabin. Gotów był wpakować całą serię w obcą istotę, zrzucając na nią całą winę za swoje oszołomienie.

Poczuł na sobie uważne spojrzenie.

– Nie jestem hermafrodytą. Posiadam żeńskie cechy płciowe.

Sierżant splonął rumieńcem. To coś czytało w jego myślach.

– Nie o to pytałem – wycedził.

– Czyżby? – Istota uniosła ironicznie brew.

Leahy zerknął na Torres. Zdawała się nie dostrzegać jego zmieszania. Odetchnął z ulgą. W tym momencie rozległy się strzały. To Gonzalez posłał serię pod nogi tajemniczej istoty.

– Ty ścierwo! – wychrypiał. – Następne pociski trafią w ciebie, jeśli zaraz nie odpowiesz na pytanie sierżanta.

W oczach zwiadowcy płonąła nienawiść. Ezra wcale mu nie dziwił, w kontekście tego, czego niedawno się o nim dowiedział.

– Ani mi się waż! Opuść broń i cofnij się o krok. Natychmiast!

Zwiadowca zmarszczył brwi i przez chwilę Leahy obawiał się, że go nie posłucha. Ale wreszcie skinął głową i wypełnił rozkaz.

– Dobrze. – Ezra odetchnął z ulgą. – Wszyscy się uspokójmy. Nie chcemy tutaj rozlewu krwi. Opuścić broń...

– To może być pułapka – wtrącił Ivar.

– Gdyby tak było, już byśmy byli martwi.

– To prawda – rzekła istota, uśmiechając się złowieszczo. – Gdybym chciała waszej śmierci, kazałabym Voazonie zgładzić was zaraz po tym, jak postawiliście stopę na tej planecie. Nie jestem waszym wrogiem.

– To może wreszcie powiesz, kim jesteś i co tu robisz?

– Możecie mnie nazywać Pytią.

– No nie! – parsknęła Torres, przykuwając zdziwione spojrzenia zwiadowców.

– Abigail? Wyjaśnisz?

– Pytiami nazywano kapłanki przepowiadające przyszłość w starożytnej Grecji.

– Grecja? To jakaś planeta? – spytał Bishop.

– Nie, idioto – roześmiała się Torres. – Taka kraina na Ziemi.

Tobias wzruszył ramionami. Leahy nie dziwił się jego niewiedzy. Sam wychował się w rodzinie, która kultywowała ziemskie tradycje, i jego rodzice zadbali o to, żeby posiadał niezbędną wiedzę na temat historii swojego gatunku. Wiedział jednak, że ludzie rozsiani po całej Galaktyce zapominali o swoim dziedzictwie. Tobias dorastał na planecie zdominowanej przez Velmenów, a im na pewno nie zależało na

edukowaniu obcych ras.

Natomiast Abigail całe lata spędziła w letargu, przebywając na żyjącym okręcie Khon-Ma. I dopiero teraz czerpała z życia pełnymi garściami, była ciekawa świata i każdą wolną chwilę poświęcała na studiowanie dosłownie wszystkiego. Bardzo pasjonowała ją historia rodzaju ludzkiego.

– Pytie wybierane były spośród greckich dziewcząt, które prawdopodobnie posiadały paranormalne zdolności – tłumaczyła Torres. – Zajmowały się udzielaniem przepowiedni. Ludzie przychodzili do nich po wróżby. Pytia siadała wówczas na trójnogu ustawionym nad szczeliną w ziemi, z której wydobywały się wyziewy. Odurzały ją i wprowadzały w trans. Podczas wieszczenia wypowiadała luźne słowa, które interpretowali kapłani. Można było do nich wszystko dopasować. Uraczysz nas jakąś przepowiednią, wieszczko?

Ostatnie pytanie Abigail zadała z wyraźnym szyderstwem. Nigdy nie wierzyła w przepowiednie, wyrocznie i zjawiska paranormalne. Zawsze mocno stąpała po ziemi.

Pytia uśmiechnęła się zimno i paskudnie.

– Jeśli tylko będziecie otwarci na mnie i to, co mam wam do powiedzenia.

– Nie dajcie się jej omamić! – warknął Tirah. – To Ardhanari.

– Jestem też człowiekiem! – odparowała Pytia.

Zwiadowcy wytrzeszczyli oczy ze zdumienia.

– Mam również ludzkie DNA. Ardhanari są niezwykle zaawansowani, jeśli chodzi o inżynierię genetyczną, i od tysiącleci prowadzą najróżniejsze projekty. Jednym z nich była próba stworzenia istoty potrafiącej przepowiadać przyszłość. Okazało się, że w tym celu potrzebna jest ludzka pula genów. Projekt rozpoczął się w starożytnej Grecji i trwa do teraz.

– Twierdzisz, że Ardhanari odwiedzali Ziemię w zamierzonych czasach? – spytała Abigail.

– Podobnie jak wiele innych gatunków – odparła istota i ponownie się uśmiechnęła, a raczej upiornie skrzywiła usta. – Ale wy już dobrze o tym wiecie.

– Ujrzałaś to w swoich wizjach?

W odpowiedzi istota wzruszyła tylko ramionami.

– Zatem Pytie w starożytnej Grecji były hybrydami? – dopytywała Torres. – Takimi jak ty?

– Zgadza się.

– Połączeniem człowieka i Ardhanari?

– Tak. Ale to nie wystarczyło. Wizje były zaledwie strzępami prawdziwego widzenia. Przez całe tysiąclecia ja i moje siostry dostrzegałyśmy tylko blade odbicia prawdziwych wydarzeń, widziałyśmy rozmazane obrazy, słyszałyśmy zgiełk, z którego trudno było cokolwiek wyłowić. Zakłócenia były tak wielkie, niepewność

tak duża, że trudno było o konkretną przepowiednię.

- Teraz rozumiem, dlaczego Pytie uważano za obłąkane – rzekła kąśliwie Abigail.
- Ardhanari musieli udoskonalić swój projekt.
- Co masz na myśli?

Pytia postąpiła krok do przodu, wychodząc z cienia, i dopiero teraz wyraźnie można było dostrzec jej hipnotyzujące oczy. Żołnierze cofnęli się przerażeni, natychmiast unosząc broń.

Na białkach Pytii dostrzegli przesuwające się cyfry.

SYSTEM ALMAAZ PROM „ZENIT”

Ghazan Zao nienawidził wielu rzeczy, a jedną z nich były podróże kosmiczne. To mogłoby się wydawać dziwne, bo większość życia spędził na okrętach, służąc jako najemnik w oddziałach abordażowych. Jednak czym innym było przebywanie na olbrzymich jednostkach z solidnymi kompensatorami grawitacji i mnóstwem pokładów, gdzie Czacha miał poczucie, że przebywa na stałym lądzie, a czym innym lot małą łupinką przez kosmiczną pustkę. Widok otaczającej go czerni i poczucie, że w tym ogromie wszechświata jest nic nieznaczącym pyłkiem, mocno go przygnębiały. Lubił czuć się kimś ważnym, a wszystko, co sprawiało, że tak nie było, psuło mu humor. Zazwyczaj musiał to jakoś odreagować. Pobić kogoś lub poniżyć albo coś rozwalić. To przynosiło tymczasową ulgę. Teraz jednak nic nie mógł zrobić, jedynie gapił się przez iluminator.

– Bitwa cały czas trwa – oznajmił Lasanto, wskazując holograficzne odczyty z lidar.

Na trójwymiarowym wyświetlaczu powoli znikwały niebieskie znaczniki, symbolizujące bahiriańskie torusy, skupione w okolicach siódmej planety systemu o nazwie Nūshen, stanowiącej rezydencję cesarza. Zewsząd napierały czerwone punkty. Były to okręty Velmenów. Czacha nawet nie próbował ich policzyć, ale na oko było widać, że jest ich dwukrotnie więcej niż niebieskich.

Czacha pokręcił głową.

– Głupcy!

– Kto? – zdumiał się Lasanto.

– Bahirianie – odburknął Zao. – Nie rozumiem, jak mogli dać się tak zaskoczyć? I to we własnej stolicy! Przecież są taką potęgą.

– To nie takie proste – rzekł pilot.

Czacha lekko uniósł brwi i spojrzał na niego wyczekująco.

– W systemie Almaaz stacjonują niewielkie siły – kontynuował młodzieniec. – Oczywiście jak na bahiriańskie możliwości. Trzy, góra cztery floty, pełniące funkcje bardziej reprezentacyjne. Na pewno wynika to z pewnej arogancji i przeświadczenia, że żadne wrogie siły nie mają prawa dotrzeć tak daleko.

– A jednak Velmenom się udało.

– Owszem – przyznał pilot. – Ale Bahirianie nie mieli pojęcia o nowej technologii maskującej.

– Twierdzisz zatem, że to wszystko przez ich arogancję?

– Tak. Ale nie tylko. To nie jest główna przyczyna.

– A co nią jest?

– Cesarstwo Bahiriańskie jest bardzo rozległe – kontynuował Lasanto. – I żeby kontrolować najdalsze jego obszary, nieunikniona jest decentralizacja sił. Najpotężniejsze floty i najliczniejsze kontyngenty wojskowe stacjonują w systemach, które są najbogatsze w zasoby. To one stanowią o potędze cesarstwa.

– Ale to Almaaz jest stolicą.

– Owszem. Pełni taką funkcję. I nic ponadto.

– Nie rozumiem.

Lasanto przewrócił oczami, jakby miał do czynienia z nierozgarniętym dzieckiem. Wydawało się, że Czacha tego nie zauważył.

– Wojny z tak potężnym imperium nie sposób wygrać w jednej bitwie. Jak powiedziałem, Cesarstwo Bahiriańskie włada terytorium rozciągającym się na przestrzeni tysiąca lat świetlnych i niezliczonymi światami. Dysponuje zasobami pozwalającymi na toczenie długotrwałej wojny, z której prędzej czy później wyjdzie zwycięsko.

– Pieprzenie! – prychnął Zao

Pilot wzruszył tylko ramionami.

– Możesz mi nie wierzyć, ale wiem, co mówię.

– Skąd to możesz wiedzieć?

Lasanto nagle posmutniał.

– Mój ojciec zajmował się planowaniem operacji wojskowych. Służył w sztabie plutokracji Raasha. Zginął podczas wojen psionicznych.

Czacha tylko pokiwał głową. Nie wygłosił żadnej banalnej formułki o tym, że jest mu przykro. To nie było w jego stylu. Poza tym wcale nie było mu przykro, miał to gdzieś.

– Wiele się od niego nauczyłem – mówił dalej Lasanto. – Pragnął, żebym poszedł w jego ślady, został oficerem sztabowym. Trzy lata studiowałem strategię i taktykę. Ale bardziej kręciło mnie latanie. To było moją pasją i temu poświęciłem życie. Jednak wiedza z zakresu strategii wojskowej pozostała.

– To powiedz mi, bystrzaku, czemu Velmeni zaatakowali, wiedząc, że tej wojny i tak nie wygrają?

Lasanto zmarszczył czoło i przez dłuższą chwilę milczał wpatrzony w przedni iluminator, gdzie widać już było pas pyłu otaczający system Almaaz.

– Tego właśnie nie mogę zrozumieć – odezwał się wreszcie. – Velmeni mogą wygrać jedną bitwę lub dwie, ale wojna z Cesarstwem Bahiriańskim zakończy się dla nich klęską. Nawet przy założeniu, że dysponują o wiele lepszą technologią. Uda im się zdobyć Almaaz i pewnie nawet pojmać cesarza, ale to nic im nie da. Zaraz któryś z jego licznych krewnych przejmie władzę i ściągnie tu pozostałe floty. Tysiące torusów poradzi sobie nawet z najnowocześniejszymi krążownikami.

– Zatem dlaczego Velmeni tak ryzykują?

– Ten atak nie ma na celu inwazji – rzekł twardo Lasanto. – Tu nie o to chodzi. Velmeni nie mają zamiaru podbijać Cesarstwa Bahiriańskiego. Przybyli w jakimś określonym celu.

– W jakim?

– Nie mam pojęcia – odparł pilot. – I nie mam zamiaru tego sprawdzać. A ty? Czacha skrzywił się.

– Ja też nie.

„Zenit” z każdą chwilą oddalał się coraz bardziej od gwiazdy centralnej. Na pokładzie zapanowało milczenie. Czacha zagłębił się w fotel drugiego pilota i zamknął oczy, próbując zasnąć. Nic z tego nie wyszło. Strach mu nie pozwalał. Wiedział, że nie są jeszcze bezpieczni. Miał niejasne wrażenie, że nieprzyjaciel gdzieś się czai, blisko nich, i cały czas ich obserwuje.

Wtem zawył alarm. Kabina rozbłysła czerwienią.

– Namierzają nas!

– Kto?! – zapytał przerażony Czacha.

Lasanto przełączył widok z kamery i ujrzeli cztery velmeńskie myśliwce podążające w ślad za nimi.

– Śledzili nas – oznajmił pobladły pilot. – Użyli maskowania.

– Zrób coś!

Lasanto z tęsknotą spojrział przez przedni iluminator na pyłowy pierścień, ale „Zenit” potrzebował przynajmniej godziny, żeby do niego dotrzeć i się ukryć. Natomiast velmeńskie autonomiczne myśliwce mogły namierzyć prom w ciągu kilku sekund. Młody pilot raptownie pociągnął za przepustnicę i zmienił kurs, odbijając od ekliptyki układu. Lecieli teraz w ciemną, bezkresną pustkę, która Czachę napawała niepokojem na równi z velmeńskimi myśliwcami.

– To coś da? – zapytał, dygocząc ze strachu.

– Nie sądzę – odparł spokojnie Lasanto. Czacha zazdrościł mu opanowania. – Ale zawsze warto spróbować. Łudzę się, że ich algorytmy nie obejmują pościgu jednostek, które zmierzają donikąd.

Niestety, velmeńskie myśliwce podążyły za nimi. Zao, widząc to, skulił się w swoim fotelu. Lasanto tylko ciężko westchnął, pogodzony z losem.

– Już po nas – rzekł.

Czacha zaczął płakać.

Alarm w kabinie wył, komputer pokładowy wykazał, że prom został namierzony przez wszystkie cztery myśliwce. Jednak nic się nie stało.

– Co jest? – zdziwił się Lasanto. – Dlaczego nie strzelają?

Przez kolejne trzy minuty sytuacja nie uległa zmianie. „Zenit” zmierzał w pustkę kosmosu, a cztery velmeńskie myśliwce leciały tuż za nim. Jakby na coś czekały.

Dopiero gdy system zasygnalizował, że myśliwce otworzyły ogień, ale wiązki laserowe minęły prom dosłownie o milimetry, Lasanto zrozumiał, o co chodzi.

– Chcą, żebyśmy się poddali.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

– Ani kroku dalej! – warknął Leahy, kładąc palec na spuście C-24. Istota natychmiast przystanęła, ale na jej wąskich ustach cały czas błąkał się cyniczny uśmiech.

– Jebana hybryda! – warknął Gonzalez. – Rozwalmy to gówno!

– Nie! – odparł zdecydowanie Ezra. – Najpierw chcę poznać odpowiedzi.

– Odpowiedzi? – Pytia uniosła brwi. – One mogą ci się nie spodobać, sierżancie Leahy.

– Skąd znasz moje nazwisko?!

– Znam ciebie i twój ślad energetyczny. Znam twoje czyny i czyny twoich przodków. Nosisz nabój pod bluzą munduru jako talizman.

Ezra zbladł.

– Dzieci odpowiadają za grzechy ojców, ojcowie za czyny synów. Wszystko jest ze sobą powiązane. Nie sposób się od tego uwolnić. Co ma być, to będzie. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość układają się we wzorce, które potrafię odczytać.

– Ale jak?

– Wszystko jest zapisane w Jedni.

– Że co?!

Istota wykonała nieokreślony ruch rękoma. Płynny i zmysłowy.

– Jednia to źródło wszelkiego istnienia, najwyższy wzorzec wyznaczający to, co materialne i niematerialne.

– To jakieś bóstwo? – zainteresował się Bishop. – Wszechmogący byt?

– Nie – zaprzeczyła Pytia. – Z natury każdego bytu wynika jego określoność i skończoność, natomiast Jednia jest wieczna i nie posiada początku ani końca. Należy ją rozumieć jako coś więcej niż byt, jako coś, co jest ponad bytem i tworzy go. Nie dotyczą jej żadne prawa fizyki.

– Co to za bzdury?! – roześmiał się Ivar, ale był to stłumiony, nerwowy śmiech, a nie wesoły rechot, z jakiego sływał. Pot zrosił jego czoło. Bał się, podobnie jak wszyscy zwiadowcy Plutonu 7. Było coś przerażającego w tej istocie.

– Jednia to coś, co nas otacza – mówiła dalej. – Jest wszędzie, obecna w najdrobniejszej cząstce materii, w każdym kwarku. Nie ogranicza jej czas. Zawiera wszystko, co było, jest i będzie. Mogę do niej sięgnąć i wyczytać z niej przyszłość. Dzięki nim.

– Velmenom – dopowiedział Ezra.

Pytia wbiła wzrok w przestrzeń za plecami zwiadowców.

– Przybyli nie wiadomo skąd i bardzo szybko stali się jednym z głównych graczy na

politycznej mapie Galaktyki. Ich technologia pozwalała czynić cuda. Nawet Togarianie musieli przyznać, że w dziedzinie cybernetyki Velmeni ich przewyższają, i sami chętnie korzystali z wiedzy przybyszów. Podobnie jak inne gatunki. Ardhnanari, którzy ostentacyjnie gardzą technologią, ale wykorzystują ją w hedonistycznych celach, w tym względzie nie byli wyjątkiem.

Oczy istoty ponownie się zmieniły. Teraz na białkach pojawiły się velmeńskie symbole.

– Okazało się, że cyberwszczepy nie tylko wzmacniają doznania zmysłowe, ale również mogą zostać wykorzystane w projekcie przepowiadania przyszłości. Wszystkie żyjące Pytie poddały się modyfikacjom i dzięki temu udało się zwiększyć prawdopodobieństwo wizji. Teraz wszystko jest bardziej klarowne, przekaz czystszy, a predykcje bardziej trafione.

– Ale nadal nie są stuprocentowo pewne – rzekła Torres.

– Nie – przyznała Pytia.

Na czole Abigail pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Jest was wiele? – zapytała.

– Z tego, co wiem, obecnie tylko trzy. Łącznie ze mną. Większość zmarła podczas implantowania cyberwszczepów. Z tego dwie pozostają na usługach Velmenów.

– A ty? Komu służysz?

– Nikomu – warknęła Pytia. – Jedyne samej sobie.

– Uciekłaś?

Wieszczka nie odpowiedziała. Jej oczy stały się nieobecne. Zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń.

– To nie przypadek, że Velmeni tak wiele o nas wiedzą – Abigail zwróciła się do zwiadowców. – Zawsze sądziłiśmy, że to вина szpiegów, którzy zapewne działają na pokładzie „Hajmdala”, ale pewnych rzeczy nie można racjonalnie wytłumaczyć.

Twarz Abigail poszarzała.

– Pamiętacie, jak w bitwie w systemie Epsilon Eridani eskadra naszych myśliwców uciekała przed lacertańskimi pancernikami? Z ustaleń taktyków, którzy potem analizowali całą bitwę, wynikało, że kapitan Uriah Nelson podjął spontaniczną decyzję o kierunku ucieczki, a tam czekały już zamaskowane velmeńskie myśliwce. W sztabie uznano to za przypadek, ale w kontekście tego, co właśnie usłyszeliśmy...

– Uważasz, że to sprawka velmeńskiej wieszczki – dokończył za nią Ezra, słysząc, jak głos jej się łamie. Wspomnienie Nelsona cały czas było w niej żywe.

– To ma sens – zauważył Bishop. – Velmeni zawsze są tuż za nami. Jakby dobrze wiedzieli, dokąd zmierza „Hajmdal”. Powinniśmy jak najszybciej poinformować o tym dowództwo!

– Zrobimy to, gdy tylko dotrzemy na okręt.

– Może powinniśmy zabrać ją ze sobą? – Bishop wskazał Pytię lufą karabinu. –

Nasz wywiad wojskowy na pewno zainteresują jej zeznania. Jestem przekonany, że śledczy wszystko z niej wyciągną. Mam nadzieję, że nie obędzie się bez bólu. A potem zajmą się nią jajogłowi na „Hajmdalu”. Wątpię, żeby wcześniej mieli do czynienia z takim dziwadłem. Znam ich. Naukowcy to sadyści. Pokroją ją na kawałki, wyciągną cyberwszczepy i zostanie z niej jedynie strzep. Gówno, niewarte splunięcia.

Tobias nienawidził Velmenów i wszystkiego, co było z nimi związane.

Wieszczka ocknęła się nagle. Oczy wróciły do dawnej postaci. Roześmiała się. Obłądnie, upiornie, złowieszczo. Jej rechot długo rozbrzmiewał w komnacie, zdając się rozsadzać ściany, a gdy wreszcie ucichł, nastąpiła grobowa cisza. Pytia postąpiła krok naprzód, a zwiadowcy odruchowo się cofnęli. Było w niej coś szalonego i groźnego. Coś, co sprawiało, że w oczach terrańskich żołnierzy znów zagościł strach.

– Głupcy! – syknęła. – Naprawdę sądzicie, że możecie mnie do czegokolwiek zmusić? Wy, przedstawiciele gatunku na wymarciu! Snujecie się po całej Galaktyce, oczekując ocalenia, zamiast stawić czoło przeznaczeniu i zaakceptować swój los. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego to właśnie wy zostaliście wybrani. Małpy, które dopiero co zlażyły z drzewa...

– Uważaj na słowa! – warknął Ezra. – Jeśli raz jeszcze nas obrazisz, każę Gonzalezowi cię rozwalić.

Tirah postąpił krok do przodu. Na jego ustach pojawił się paskudny, prowokujący uśmiech.

– Zostaliśmy wybrani? Co masz na myśli? – Ezra kontynuował zadawanie pytań.

– Proroctwo Pajęcznej Bogini.

– Co z nim?

– Mówi o was. O waszym gatunku.

– Co to znaczy?

– Jesteście ich następcami.

Leahy przypomniał sobie posąg odkryty na Thagdze, wyeksponowany w centralnej części świątyni, na zaszczytnym miejscu. Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby Khon-Ma darzyli ludzi czcią. To kompletnie nie miało sensu. Przecież ludzie pod względem cywilizacyjnym dopiero raczkowali. Nie reprezentowali żadnej siły w Galaktyce, nie posiadali imperium, zostali pozbawieni nawet własnej planety, i to przez rasę, która miała namaścić ich na swoich spadkobierców.

– Następcami Khon-Ma?! – zdumiał się Bishop. – Mamy władać Galaktyką?

Pytia ponownie się roześmiała. Tym razem nie złowrogo, ale w jej śmiechu była jakaś ponura wesołość.

– Brzmi to jak kiepski żart, prawda? Znam przynajmniej tysiąc gatunków bardziej godnych od was. Niektóre z nich zbudowały olbrzymie imperia, inne osiągnęły niebywale zaawansowany poziom technologiczny, a są i takie, które duchowymi mocami ocierają się niemal o boskość. Dlaczego wy? Wyrzutki bez domu, żyjący

w diasporze, rozproszeni po całej Drodze Mlecznej.

Pytia pokręciła głową.

– Próbujecie się zjednoczyć, odbudować to, co było dawniej. Na tych samych zasadach i warunkach. Z tymi samymi ideami. Trzymacie się tradycji, spoglądacie wstecz, ale to błąd. Nie tędy droga. Ta cała wasza Federacja to żalosny twór, który nie ma racji bytu. Marzycie o tym, żeby znaleźć sobie bezpieczną przystań, małą planetę, może system gwiazdny pod protektoratem jakiegoś mocarstwa, gdzie moglibyście wszystko zacząć od nowa. Ale to się nie uda.

– Wiem – burknął Leahy. – Nie pozwolą nam. Czasami wydaje mi się, że wszystkie imperia w Galaktyce sprzysięgły się przeciw nam.

– Macie sporo wrogów – przyznała hybryda. – Wielu pragnie waszej porażki, ale też są tacy, którzy wam sprzyjają.

– To czemu nam nie pomogą?

– Właśnie to, że nie interwenują, jest największą pomocą.

Leahy parsknął gniewnie.

– Musicie doświadczyć tego wszystkiego – Pytia zaczęła mówić natchnionym głosem i Ezra zastanowił się, czy już wieszczy. – Cierpienie jest nieodłączną częścią zrozumienia. Przykro mi. Taka jest kolej rzeczy. Śmierć, a potem zmartwychwstanie. Jako gatunek umrzecie, żeby dostąpić wskrzeszenia i zająć miejsce u boku bogów. Równi Khon-Ma!

– Bredzisz, wariatko – fuknęła Abigail. – Pajęczaki nie są żadnymi bogami.

Pytia nie słuchała. Uniosła ręce, oczy zaszyły jej mgłą, na białkach zamigotały velmeńskie symbole. Teraz Leahy był już pewny, że wieszczy.

– Widzę to wyraźnie. Waszą przyszłość, wasze przeznaczenie. Weźmiecie wszystko lub pozostaniecie z niczym. Obejmiecie władzę w Galaktyce lub czeka was zagłada. Nie ma innych dróg. Nie ma innych możliwości.

– To albo to – uśmiechnął się Ezra. – A więc istnieją jakieś inne opcje. Wcześniej twierdziłaś, że wszystko jest z góry ustalone i zapisane w Jedni.

– Tępe istoty – prychnęła wieszczka. – Nic nie rozumiecie. Nie jesteście w stanie pojąć funkcjonowania wszechświata. Jakie to żalosne...

– Mam ją rozwalić? – zapytał Gonzalez, unosząc wyżej lufę karabinu. Leahy przez chwilę rozważał propozycję Tiraha, ale tylko westchnął ciężko i pokręcił głową.

– Przyszłość jest jak rzeka. Posiada pewne niezmiennie wzory. To koryto rzeki. Wydarzenia są zaś jak woda, która wiecznie się zmienia. W wizjach sięgamy do tych wzorców i określamy największe prawdopodobieństwo wystąpienia danego zdarzenia.

– A w naszym przypadku te prekognicje są dosyć niepewne – zakpiła Abigail. – Władza nad Galaktyką lub zagłada.

– Jesteście ludźmi. Największą niewiadomą w równaniu wszechświata.

Pytia przeniosła wzrok na Ezrę. Młody sierżant poczuł się nieswojo. Zdawało się,

że wieszczka czyta w nim jak w otwartej księdze, przewierca go wzrokiem na wylot.

– Nawet najdrobniejszy trybik może zachwiać całą maszyną wprawioną w ruch – oznajmiła. – Dlatego tak ważne jest, żeby każdy z was wypełnił swoje przeznaczenie.

Wtem pojawiła się bladożółta mgła, błyskawicznie skrywając wieszczkę. W tym samym momencie Leahy poczuł, jak do jego płuc dostają się toksyczne opary. Zakrztusił się, a potem zachwiało. Próbował jeszcze sięgnąć do plecaka po maskę tlenową, która była na wyposażeniu każdego zwiadowcy, ale nie zdążył. Chciał krzyknąć, ale z jego gardła dobył się jedynie cichy charkot.

Runął na kamienną podłogę.

W ostatnim przebłysku świadomości ujrzał leżącą obok Abigail.

SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”

Twarz admirała Nathaniela Kashtaritu stężała. Bruzdy pogłębiły się, kąciki ust opadły, a w zmęczonych oczach pojawił się strach. Wstał z fotela i powoli podszedł do ekranu wizualnego, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie widzi. Kamery wychwyciły charakterystyczny, znany mu dobrze, klinowaty kształt okrętu.

– Znaleźli nas – wyszeptał. – Jak to możliwe?

Nikt nie odpowiedział. Nikt go nie słyszał w zgiełku panującym na mostku. Oficerowie przekrzykiwali się wzajemnie, odczytując parametry i zgłaszając gotowość bojową nadzorowanych sekcji. Komandor Peters tłumaczył coś gorączkowo podporucznikowi Tychowi Brahemu, a ten kiwał głową, przesuwał dłońmi po hologramie konsoli taktycznej, wybierając najlepsze opcje otwarcia ognia do wrogiego okrętu. Mila Todorov podniesionym głosem żądała raportu o uszkodzeniach baterii sekcji rufowej, która ucierpiała w wyniku zderzenia z okrętem Luusaat. Oficer kontroli uszkodzeń krzyczał coś do niej z przeciwległego końca pomieszczenia, ale Todorov rozkładała bezradnie ręce. Spanikowany Xavier Hudson zaczął się jąkać, przekazując wieści z maszynowni, a zirytowany Jonathan Anderson domagał się koordynat nawigacyjnych. W tym całym zamęcie jedynie chorąży Gladys Gaumata zachowywała stoicki spokój.

– Okręt nieprzyjaciela w odległości czterystu pięćdziesięciu trzech tysięcy kilometrów – oznajmiła zimno. – Potwierdzam identyfikację. To bez wątpienia velmeński pancernik.

Nie wiadomo, czy sprawiło to opanowanie Gaumaty, które kontrastowało z chaosem panującym na mostku, czy może potwierdzenie tego, czego każdy się spodziewał i czego się obawiał, ale nagle zapanowało milczenie. Ludzie ze zmarszczonymi czołami spoglądali na ekran wizualny, gdzie wrogi okręt prezentował się w pełnej okazałości. Wszyscy dobrze pamiętali starcie w systemie Epsilon Eridani, gdzie velmeńska flota niemal doprowadziła do zagłady drednota.

– Jest tylko jeden? – zdziwił się Kashtaritu.

– Na to wygląda – odparła Gladys Gaumata. – Lidar nie wykrywa innych. Przynajmniej na razie.

Kashtaritu pokiwał głową. Velmeni operowali zazwyczaj w eskadrach złożonych przynajmniej z trzech jednostek. Samotny okręt w obcym systemie gwiazdnym wydawał się czymś niezwykłym. Nawet jeśli był to pancernik.

– Skąd nadleciał? – zapytał admirał. Zdawał sobie sprawę, że skok nadświatłowy nie miał prawa się udać ze względu na bliskość gwiazdy centralnej. Można było go

dokonać jedynie na rubieżach układu.

– Cały czas tu był.

– Jak to?!

– Nie wykrywam żadnych sygnatur cieplnych, a to oznacza, że nie uruchomił silników co najmniej od kilku godzin. Najwidoczniej cały czas czekał, korzystając z kamuflażu.

– Rozumiem – odparł admirał.

Podobna sytuacja miała miejsce w systemie Zeta Monocerotis. Wówczas znikąd pojawiła się cała eskadra velmeńskich myśliwców. Okazało się, że Velmeni prowadzili prace nad nowym rodzajem urządzenia maskującego. Analitycy „Hajmdala” byli przekonani, że dotyczyło to jedynie myśliwców, bo wydatek energetyczny potrzebny do wytworzenia takiego pola musiał być olbrzymi i nie mogło to się udać w przypadku masywnego okrętu. Najwyraźniej się mylili.

Sytuacja stała się bardzo dziwna. Wyglądało na to, że pancernik stacjonował w okolicy planety Manju jeszcze przed ich przybyciem. Kashtaritu zastanawiał się, skąd Velmeni mogli wiedzieć, że „Hajmdal” się tutaj skieruje. Wyglądało, że na pokładzie dreadnota mają szpiega. Jeśli tak było rzeczywiście, musiał to być wysokiej rangi oficer albo ktoś z najwyższego kręgu władzy, czyli z otoczenia prezydenta Emmanuela Koppa. Tylko oni znali plany i mogli powiadomić o nich wroga na tyle wcześnie, żeby ten zdążył odpowiednio zareagować. W grę wchodziło góra dwadzieścia osób. Nathaniel Kashtaritu postanowił, że po wszystkim zleci śledztwo. Teraz jednak nie miał czasu zaprzętać sobie tym głowy. Najpierw należało zająć się bezpośrednim zagrożeniem – zniszczyć wroga.

– Kurs przechwytyjący! – zarządził.

– Tak jest – odparł sternik i wprowadził odpowiednie koordynaty.

Admirał jeszcze przez chwilę przyglądał się pancernikowi, który groźnie prezentował się na tle biało-zielonej tarczy planety.

„A może to przypadek?” – zastanawiał się Kashtaritu. „Może Velmeni mieli zamiar zająć ten system, założyć tu swoje kolonie lub bazy i w tym celu wysłali zwiadowcę?”

Zaraz jednak odrzucił tę myśl. Po pierwsze, to nie było w ich stylu. Nie prowadzili rozpoznania. Jeśli chcieli zdobyć jakiś układ planetarny, przybywali całą flotą. Po drugie, w tym regionie Galaktyki Velmeni nie operowali. Wniosek mógł być tylko jeden. Pojawienie się pancernika miało związek z „Hajmdalem”.

– Za czternaście minut i czterdzieści sekund wejdziemy w zasięg skutecznego ostrzału raketowego – zameldowała chorąży Gaumata.

– Dziękuję – powiedział admirał. Pozostało czekać. Usiadł z powrotem w fotelu głównodowodzącego i rozejrzał się po mostku. Nie musiał wydawać żadnych rozkazów, wszyscy wiedzieli, co mają robić. Oficerowie, pochłonięci przygotowaniem do walki, nie myśleli o tym, że za niecały kwadrans rozpęta się

piekło. Czym innym jednak było strzelanie do bezbronnych okrętów Luusaat, a czym innym pojedynkiem artyleryjski z velmeńskim okrętem.

Nathaniel Kashtaritu nie miał wątpliwości, że „Hajmdal” wyjdzie zwycięsko z tej konfrontacji. Potężny dreadnot był lepiej opancerzony i uzbrojony, ale zawsze istniało ryzyko, że przeciwnik zdoła zadać ciosy, które mogą zabość. Admirał liczył się ze stratami w ludziach i uszkodzeniami okrętu. Miał jednak nadzieję, że będą minimalne.

– Są jakieś wieści od ekipy ratunkowej wysłanej na Manju? – zapytał Hudsona, żeby zająć myśli czymś innym. Oczekiwanie na bitwę zawsze było najgorszą torturą.

Oficer łącznikowy skontaktował przez interkom ze sztabem operacji sił lądowych i po chwili zameldował:

– Nic. Czekamy.

– Rozumiem – odparł pośpiesznie admirał. Obawiał się, że wszyscy zostali wymordowani przez Luusaat. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie odwołać akcji ratowniczej, ale wciąż tliła się w nim nadzieja. – Niech kontynuują poszukiwania. Nikogo nie zostawiamy.

– To samo powiedziała pułkownik Wheeler.

Nathaniel Kashtaritu uśmiechnął się lekko, uświadamiając sobie, że właśnie wszedł w kompetencje głównodowodzącej siłami lądowymi. Tak naprawdę ona prowadziła całą operację. Na szczęście mieli w tym względzie jednakowy pogląd.

Admirał nagle zmarszczył brwi, spoglądając uważnie na velmeński pancernik. Coś było nie tak. Na ekranie wizualnym nie sposób było dostrzec toru lotu i prędkości poruszającego się obiektu. Kashtaritu jednak spostrzegł, że jego pozycja w ogóle się nie zmieniła na tle gwiazd.

– Co on robi?

– Nic – odparła Gaumata. – Nie porusza się. Ma nierozgrzany napęd nadświatłowy, wyłączone silniki manewrowe i po prostu swobodnie dryfuje.

– Nie przygotowuje się do bitwy?!

– Sensory dalekiego zasięgu informują o opuszczonych osłonach energetycznych i wygaszonym reaktorze. Brak jakichkolwiek oznak gotowości bojowej.

– Admirale! – odezwał się oficer łącznikowy. – Porucznik Bennet melduje, że klucz niebieski dotarł w zasięg skutecznego ostrzału raketowego. Prosi o pozwolenie na otwarcie ognia.

Nathaniel Kashtaritu już otwierał usta, żeby udzielić pozwolenia, ale nadal coś nie dawało mu spokoju.

– Wyłączyli maskowanie – rzekł do siebie. – Dlaczego?

– Pewnie mają jakieś problemy techniczne – stwierdził komandor Peters, podchodząc do fotela dowódcy. – Powinniśmy natychmiast na nich uderzyć i ich zniszczyć.

– Coś mi tu nie pasuje...

- To pułapka, Nathanielu!
- Nie sądzę...
- Wydaj rozkaz ataku!
- Nie! – Nagle admirała olśniło. – Zawrócić myśliwce. Oni wcale nie chcą walczyć.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Ezra Leahy, ubrany w galowy mundur terrańskich sił zbrojnych, stał na pokładzie widokowym „Hajmdala” i spoglądał przez iluminator na migoczące gwiazdy. Wydawały się być na wyciągnięcie ręki, ale tak naprawdę oddalone o lata świetlne, stanowiły wspomnienie tych wszystkich przygód, które Ezra przeżył. Niejasno zdał sobie sprawę, że kiedyś już tak stał na pokładzie drednota, z tym samym zachwytem, z tym samym błyskiem w oku. Ale kiedy to było? Nie mógł sobie przypomnieć. Pamięć coraz częściej płatała mu figle. Trudno się dziwić. Generał Ezra Leahy miał już swoje lata.

W szybie odbijała się jego twarz, poorana zmarszczkami i bruzdami zmartwień, jakie nieuchronnie przynosi życie. Białe niczym śnieg włosy, przycięte po żołniersku, były rzadkie i gdzieniegdzie dało się dostrzec łysinę, w zmętniałych niebieskich oczach nie sposób było zauważyć tego drapieżnego blasku, który cechował największego bohatera Federacji Terrańskiej.

Rozpierała go duma i radość. To był jeden z najszcześniejszych dni w jego długim życiu. Na jego oczach tworzyła się historia. Właśnie dobiegła końca druga wojna lacertańska i zwycięska flota wracała do domu. Przestrzeń błyskała, gdy okręty wychodziły z nadświetlnej jeden po drugim, wszystkie z symbolami Federacji Terrańskiej na burtach. Krążowniki liniowe, wyposażone w ciężkie działa, szybkie i zwrotne niszczyciele, desantowce przewożące sprzęt lądowy oraz tysiące żołnierzy, olbrzymie lotniskowce z eskadrami myśliwców, a przede wszystkim duma i chwała terrańskiej floty – potężne drednoty, dwukrotnie przewyższające wielkością „Hajmdala”, który teraz pełnił jedynie funkcję okrętu muzeum.

Federacja pokonała odwiecznego wroga, zdziesiątkowała jego siły zbrojne, raz na zawsze niszcząc hegemonię jaszczurów. Po tym ciosie Lacertanie nie mieli prawa już się podnieść, a ludzkość zdobyła kolejne ważne systemy gwiazdne i nowe szlaki handlowe, otwierające drogę do świetlanej przyszłości. Leahy wiedział, że w dniu dzisiejszym narodziło się imperium, które kiedyś zawładnie całą Drogą Mleczną.

„Czy było warto?” – zastanawiał się stary generał, widząc ten pokaz siły i potęgi gatunku ludzkiego.

Dziesiątki kampanii wojennych, setki bitew, tysiące mniejszych i większych kosmicznych potyczek, miliony ofiar. On sam pochował wielu przyjaciół, towarzyszy broni, z którymi związał swój los na dobre i na złe. Usiłował przypomnieć sobie ich imiona, nazwiska, twarze. Próżny trud. Wszystko mu się mieszało, wspomnienia rozmazywały, ginęły w gęstej mgłę, która wydawała się zewsząd go otaczać.

Poczuł nieznośny żal, ból ściskający serce. W kącikach oczu zatańczyły łzy. Tak bardzo chciał ich wszystkich pamiętać. Z jakiegoś powodu było to ważne. Coś mu podpowiadało, że oni cały czas gdzieś tu są i wystarczy tylko wybudzić się ze snu, żeby ich ponownie zobaczyć. Uśmiechnął się krzywo. Majaki starego człowieka.

Pragnął powrócić do czasów, gdy był młody, odważny, potrafił kochać i cieszyć się życiem. A teraz jego dni dobiegały końca. Radowało go, że doczekał triumfu rasy ludzkiej. Mógł na własne oczy zobaczyć rodzącą się potęgę...

Ezra machinalnie dotknął emblematu naszytego na lewym ramieniu munduru, tuż obok pięciu generalskich gwiazdek ułożonych w okrąg i siedemnastu odznaczeń, których dorobił się podczas czynnej służby. Emblemat przedstawiał Ziemię z zarysem kontynentów. Macierzystej planety już nie było, została zniszczona, przepadła na zawsze. Ale teraz ludzie mieli nowy dom. Tylko gdzie? Co to za system gwiazdny?

Generał Leahy zamrugnął powiekami, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest. Wyteżył wzrok i za szybą iluminatora ujrzał pas asteroid. Przeniósł spojrzenie na gwiazdy majaczące w oddali. Wydawały się znajome i obce zarazem. Pokręcił głową z rezygnacją. Starość nie była niczym dobrym.

Wtem uświadomił sobie, że już kiedyś stał przed tym samym iluminatorem. To było w systemie Epsilon Eridani, tuż przed tym, gdy się wszystko zaczęło. Tuż przed atakiem, po którym rozpoczęła się długa i bolesna podróż ludzkości. Podróż do świetności. Wówczas był młodym człowiekiem z głową wypełnioną ideałami, z pragnieniem życia i zdobycia wojennej sławy. A teraz był starcem, który ledwie pamiętał, kim jest i co tutaj robi.

– Przyszłość nie jest raz na zawsze określona – rozbrzmiał kobiecy głos, wypełniając pomieszczenie.

Ezra zmarszczył siwe, krzaczaste brwi i rozejrzał się. Na pokładzie widokowym znajdował się tłum gapiów. Wojskowi, wszelkiej maści dygnitarze i politycy. Rozradowani wznosili toasty i spoglądali przez iluminator na zwycięską flotę rodzącego się mocarstwa. Obok niego stał jakiś w gorącej wodzie kąpany komandor, który tłumaczył swoim rozmówcom, że teraz należy niezwłocznie zaatakować Imperium Teegardeańskie. Ktoś inny odparł, że to za wcześnie, należy jeszcze poczekać. Jakiś polityk wybuchł nerwowym śmiechem, inny z entuzjazmem poparł komandora. Nikt z nich nie słyszał głosu, który zdawał się rozbrzmiewać tylko w głowie Ezry:

– *Panta rhei*. Wszystko płynie. Niepodobna dwukrotnie wstąpić do tej samej rzeki, bo napłynęły do niej już inne wody. Niektóre warianty są bardziej prawdopodobne od innych, a ten, który ci objawiłam, wydaje się niemal pewny. Ale tak jak wystarczy jeden kamyczek, żeby wywołać lawinę, tak wystarczy jedno drobne zdarzenie, żeby zmienić to, co nieuniknione. Wszystko może się skończyć tu i teraz. Na tej mglistej, zapomnianej przez wszystkich planecie.

Leahy spostrzegł, że świat wokół niego się rozpada – iluminator rozmazuje się niczym farba rozpuszczona na obrazie, ludzie znikają w upiornych żółtawych oparach. Powoli zatracił siebie, własną tożsamość, czuł, że przestaje istnieć.

– Węzły – usłyszał jeszcze. – Wszystko prowadzi do pewnych stałych punktów, sytuacji, które i tak muszą się zdarzyć. Wasz pobyt na tej planecie jest jedną z nich. Przyszłość zależy będzie od tego, co się tutaj wydarzy. Nie tylko przyszłość ludzkości, ale również twoja, sierzancie Leahy.

„Sierzancie? Przecież posiadam stopień generała” – pomyślał Ezra w ostatnim przeblysku świadomości, a chwilę później obudził się na zimnej posadzce świątyni nie jako starzec i bohater wojenny, ale jako młody człowiek u progu kariery wojskowej.

Szybko zerwał się na równe nogi, zdziwiony, że nie czuje bólu w stawach. Uniósł karabin, z satysfakcją stwierdzając, że nie drżą mu ręce, zogniskował spojrzenie sokolich oczu, wolnych od jaskry. Bładożółte opary rozwiały się, ale nigdzie nie było widać Pytii. Ujrzał za to zwiadowców ze swojego plutonu, powoli zbierających się z podłogi.

– Co to, kurwa, było? – spytał Ivar, który podniósł się jako pierwszy. Natychmiast uniósł lufę peruna. – Gdzie jest ta pierdolona hybryda?!

– Zdaje się, że opuściła nas w środku imprezy – odparł kpiąco Leahy. – Z tobą wszystko w porządku?

– Tak. – Ivar skinął głową, nie przestając lustrować komnaty. – Śnił mi się abordaż na lacertańskim pancerniku. Nie służyłem jednak w wojskach rozpoznawczych, tylko w szturmowych. I zdaje się, że... byłem dużo starszy.

– Uhm – odparł Ezra, ale nie miał czasu ani ochoty mu tłumaczyć, że doświadczył przeblysku przyszłości, bowiem dostrzegł Torres siedzącą na zimnej posadzce, z nogami oplecionymi rękoma, kiwającą się w przód i tył. Po jej policzkach płynęły łzy. Zaraz do niej przypadł.

– Abigail! Co się dzieje?

– Moje dziecko – wyszeptała. – Gdzie ono jest? Zniknęło. Przed chwilą jeszcze trzymałam je w ramionach.

Objął ją.

– To tylko sen – odparł. – Wizja. Nikt ci nie odebrał dziecka.

Spojrzała na niego miodowymi oczami. Trwało chwilę, zanim pojawiło się w nich zrozumienie. Wreszcie skinęła głową. Pomógł jej wstać. Przytrzymała go za rękaw.

– Ezra.

– Tak?

– To była dziewczynka. Nasza córka.

Leahy najpierw zbladł, ale zaraz potem się uśmiechnął. Poczł się szczęśliwy. Jeśli tak miała wyglądać przyszłość, nie miał nic przeciwko temu. Pragnął coś powiedzieć Abigail, dać wyraz swojej radości, ale w tym momencie usłyszeli spanikowaną

Miriam Funke.

– Pomóżcie mi!

Kłęcząca, trzymając w rękach głowę leżącego Tobiasa. Bishop jeszcze nie wyszedł z transu. Rzucał się w konwulsjach, szarpał, bił pięściami powietrze.

– Zostawcie mnie! – krzyczał. – Ja nie chcę! Nie zgadzam się!

Leahy doskoczył do przyjaciela, próbując go ocucić. Potrząsanie jednak nic nie dało i w końcu Ezra musiał kilkakrotnie uderzyć Bishopa otwartą dłonią w twarz.

– Zwariowałeś! – Tobias nagle się przebudził i chwycił Ezrę za nadgarstek. – To boli, idioto.

Leahy odetchnął z ulgą i usiadł obok. Ściągnął hełm i otarł pot z czoła.

– Co to było, Bishop? – zapytał.

Zwiadowca wzruszył ramionami, a w jego oczach pojawił się mrok, którego Ezra nigdy wcześniej nie widział.

– Koszmar – odparł Tobias. – Pieprzony koszmar.

– Raczej wizja...

– Nie! – uciął Bishop. – Wolę myśleć, że to sen.

Leahy skinął głową.

– Co takiego ci się śniło?

Tobias długo milczał i gdy wydawało się, że już nie odpowie, rzekł cicho:

– Niewola u Velmenów. Torturowali mnie, a potem modyfikowali. Montowali mi cyberwszczepy jeden po drugim, za każdym razem pozbawiając mnie coraz bardziej człowieczeństwa. Przystawałem się uśmiechać, przystawałem czuć, nawet minęła nienawiść do nich. Nie pozostało nic. Pustka.

– Nie dopuszczę do tego! – Miriam objęła go mocno. Kobieta miała łzy w oczach. – Nie pozwolę na to.

– Wiem.

– Kocham cię.

– To też wiem. – Na ustach Bishopa pojawił się ironiczny uśmiech.

Funke natychmiast się od niego odsunęła i uderzyła go pięścią w bark. Tak mocno, że Tobias się zachwiał.

– Za co? – spytał, rozcierając bolące miejsce.

– Pierwszy raz wyznaję ci miłość, a ty... ech. Jesteś kompletnym idiotą!

– Miriam, posłuchaj...

– Zamknij ryj! Pogadamy później, teraz jesteśmy na misji.

Ostentacyjnie odwróciła się plecami do Bishopa. Ezra westchnął ciężko. Nie pierwszy raz był świadkiem kłótni tych dwojga. Tym razem jednak sprawa była poważna. Nigdy jeszcze nie widział, żeby Funke była tak wzburzona. Trudno się dziwić. Dziewczyna wyznała Tobiasowi miłość, a ten zachował się jak palant.

Wtem dostrzegł siedzącego w kącie Gonzaleza. Mężczyzna miał ponurą minę,

zmarszczone czoło.

– A ja widziałem tylko ciemność – oznajmił. – Co to może oznaczać, sierżancie?

SYSTEM ALMAAZ PAŁACOWA PLANETA NÜSHEN

Siódma planeta systemu Almaaz była niewielka, jak na glob krążący w takim oddaleniu od gwiazdy centralnej. Można było spodziewać się gazowego lub lodowego olbrzyma, tymczasem Nüşhen miał średnicę zaledwie trzech tysięcy kilometrów i bardziej przypominał jakiś zabłąkany księżyc niż pełnoprawną planetę. Miał jednak atmosferę, wodę w stanie ciekłym, a co za tym idzie, idealne warunki do życia. Od stuleci był stolicą Cesarstwa Bahiriańskiego.

Całą powierzchnię planety stanowiły ogrody i pałace umiejscowione na wielopoziomowych tarasach. Z jednej kondygnacji na drugą opadały liany i sprawiało to wrażenie, jakby cały glob był nimi opleciony.

Do ogrodów sprowadzono najbardziej egzotyczne rośliny z całej Galaktyki. Wśród złotych traw dostrzec można było olbrzymie raflezjeo szkarłatnej barwie i zapachu rozkładających się zwłok, który Bahirianie uwielbiali, zaś dla przedstawicieli większości gatunków stanowił smród nie do wytrzymania. Sporo było kwiatów o rozłożystych płatkach zmieniających swoją barwę przy każdym podmuchu wiatru. Mieniające się srebrem nitkowate liście rdestnic przeplatały się z purpurowymi hydronami, sprowadzonymi z deszczowych planet Dschubba. Z sawannowych globów Ancha przywieziono pomarańczowe wrzosi, które kontrastowały z czarnymi paprociami, dominującymi na mrocznych lacertańskich światach. Alejki udekorowane były płonącymi krzewami änhä z namoriańskich dżungli.

W cieniu rozłożystych paproci ustawiono marmurowe ławki, na których strudzeni spacerowicze mogli przysiąść i odpocząć, podziwiając posągi wykonane przez najwybitniejszych rzeźbiarzy. Nie mogło zabraknąć holograficznych obrazów i najróżniejszych instalacji, a także amfiteatrów pod gołym niebem, gdzie ciągle odbywały się spektakle. Marzeniem każdego bahiriańskiego artysty było wystawienie swojego dzieła w stolicy cesarstwa.

W rozległych sadach rosły wysmukłe drzewa, a na nich czarne owoce o dzwoniastych kształtach, które były przysmakiem władcy. Jego następca prawdopodobnie każe je wykarczować, bo dla większości poddanych stanowiły symbol ucisku obecnego cesarza.

Niemal na każdym kroku umieszczono tryskające wodą fontanny. Architektonicznym majstersztykiem były wodospady, gdzie woda kaskadą spływała na niższe kondygnacje.

Planetę przecinały rzeki, strumyki i stawy, w których pływały dziwaczne ryby. Niektórzy twierdzili, że pochodzą z macierzystego świata Bahirian, ale ichtiolodzy

doszukali się w nich mutacji z najróżniejszych światów.

Nie było tu żadnych fabryk. Wszystkie niezbędne produkty sprowadzano z innych planet systemu, gdzie rozlokowano cały przemysł. To tam zajmowano się wydobywaniem zasobów i produkcją. Kopalnie, fabryki, spichlerze, magazyny i porty kosmiczne znajdowały się z dala od Nūshen. Stolica pełniła wyłącznie funkcję wypoczynkową.

W przestrzeni powietrznej planety mogły latać jedynie jachty turystyczne oraz cesarskie patrolowce. Tym razem jednak bladozielone chmury przecinały velmeńskie myśliwce, raz po raz zrzucające bomby na lśniące złotem pałace.

Z bogato zdobionych budowli, wysmukłych wież i łukowych bram zostały tylko ruiny. Ogrodowe kwiaty, zdeptane ciężkimi, metalowymi stopami pretorianów, już nigdy nie miały ponownie rozkwitnąć, a błękitne wody w sadzawkach, stawach i rzekach zabarwiły się krwią zamordowanych Bahirian.

Niektórzy z nich jeszcze walczyli. Sześciu skryło się pod ozdobnym mostkiem umieszczonym nad rwącą rzeką i czekało, aż oddział pretorianów przejdzie na drugą stronę. Czterech nosiło luźne szaty, bogate i zdobione złotem. Dwóch pozostałych miało na sobie turkusowe mundury, charakterystyczne dla wyższych rangą oficerów. Wszyscy posiadali humanoidalną sylwetkę, ciemnogrnatową skórę pokrytą zrogowaciałą łuską i wystające po obu stronach ramion niewielkie kikuty, wyglądające jak szczątkowe płetwy. Głowy mieli spłaszczone, a z otworów gębowych zwisały macki sięgające pasa. W czarnych klepsydrowych źrenicach widać było zwierzęcy strach. Wojskowi trzymali w dłoniach karabiny, ale na pierwszy rzut oka widać było, że broń jest przestarzała. Wystrzelone pociski nie miały prawa zniszczyć pretoriańskich pancerzy.

Sandra Thushpa obserwowała ich z bezpiecznej kryjówki. Schowała się w zniszczonym teegardeańskim jachcie, którym przybyła na planetę. Spojrzała w bok, na leżących obok dwóch Arya. Ciemny błękit ich twarzy zastąpiła szarość, subtelne rysy twarzy sprawiały wrażenie, że śpią, ale byli martwi. Pierwszy z nich zginął zaraz po rozbiciu. Uderzył głową o konsolę sterowniczą i podłużne chrząstki zrosnięte z czaszką pękły, odsłaniając mózg. Drugi umarł kwadrans później. Obrażenia wewnątrz były zbyt duże. Mógłby przeżyć, gdyby znalazł się w szpitalu i otrzymał natychmiastową pomoc, ale takiej możliwości nie było. Trafili w sam środek bitwy.

Sandra sama była mocno poturbowana. Uszkodzone już wcześniej kolano spuchło jeszcze bardziej, pulsując tęnym bólem. Podczas katastrofy jachtu zwichnęła bark i mocno stłukła żebra. Podejrzewała, że kilka uległo złamaniu. Dodatkowo jej oczy cały czas zalewała krew i musiała czymś zatamować rozcięcie na głowie. Prowizoryczny opatrunek zrobiła z kawałka oderwanej sukni, której i tak już więcej nie założy.

Patrol pretorianów oddalił się i kobieta z ulgą wypuściła powietrze. Oparła się

o burzę jachtu i przymknęła powieki. Zmęczenie dawało o sobie znać. Wiedziała jednak, że nie może zasnąć. Może posiadała geny Ardhanari, ale teraz dominowały te ludzkie, które nakazywały walczyć do końca, nawet jeśli nie ma nadziei. Musiała przetrwać.

Do tej pory miała zmienne szczęście. Udało jej się uciec z promu dyplomatycznego prosto w kosmiczną pustkę. Dryfując w kapsule ratunkowej, liczyła, że jakaś jednostka podejmie ją w ciągu sześciu godzin, bo na tyle miała powietrza. Modliła się, żeby nie byli to Velmeni. Przez szybę widziała, jak ich krążownik rozstrzeluje startujące z hangaru jachtu. Niewielu udało się wymknąć.

Sandra zastanawiała się, jaki los spotkał Czachę i Lasanta. Czy udało im się bezpiecznie opuścić strefę ostrzału? „Zenit” miał mocne silniki skonstruowane przez togariańskich inżynierów, więc istniała duża szansa, że mężczyźni uratowali swoje nędzne życia. Ponownie poczuła złość na myśl, że zostawili ją samą i bezbronną. Zacisnęła mocno pięści.

Na szczęście nie wszyscy byli tak bezduszni jak jej towarzysze. Arya nie bez powodu uchodzili za najbardziej cywilizowaną rasę w Galaktyce. Dwójka dyplomatów, którym udało się uciec, zauważyła dryfującą kapsułę. Zabrali Sandrę na pokład swojego jachtu, jednak nie cieszyła się ratunkiem zbyt długo.

Dopadły ich velmeńskie myśliwce, które pojawiły się znikąd. Arya okazali się dobrymi pilotami, ale nie udało im się umknąć pogoni. Jacht został trafiony niedaleko orbity Nūshen i jedynym ratunkiem było awaryjne lądowanie, które zakończyło się katastrofą.

Thushpa usłyszała strzały i natychmiast otworzyła oczy. Pretorianie musieli się cofnąć albo był to zupełnie inny oddział. Natrafili na grupę uciekających Bahirian i rozpoczęła się bitwa. Jednak bardziej przypominało to rzeź. Wojskowi wystrzelili ze swoich karabinów, ale kule odbiły się tylko od velmeńskich pancerzy. A potem świsnęły wiązki energetyczne z karabinów pulsacyjnych i po chwili wszyscy uciekinierzy byli martwi.

Wtem blacha, o którą Sandra się opierała, przewróciła się z głośnym hukiem i czerwone oczy pretorianów natychmiast zwróciły się w jej stronę.

Z przerażeniem spojrzała na wycelowane w nią lufy karabinów.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Zapadła grobowa cisza. Wszyscy ze współczuciem spojrzeli na Gonzaleza. Nikt głośno tego nie powiedział, ale każdy myślał o tym samym. Brak wizji mógł oznaczać tylko jedno. Tirah nie miał żadnej przyszłości. Prawdopodobnie umrze, zanim zdarzy się w jego życiu cokolwiek wartego uwagi. Może nawet podczas najbliższej bitwy.

– Słuchaj, to nic nie znaczy – skłamał Ezra i chciał coś jeszcze powiedzieć, pocieszyć, dodać otuchy towarzyszowi, ale w momencie rozbrzmiał komunikator:

– *Pluton 7, zgłoś się.*

To był głos kapitana Dasha.

– Sierżant Leahy, odbiór.

– *Natychmiast wracajcie do miasta. Mamy tu awaryjną sytuację.*

– Tak jest.

Ezra zmarszczył brwi, zastanawiając się, co mogło się stać. Raz jeszcze omiół wzrokiem świątynię, w nadziei, że dostrzeże Pytię. Miał do niej jeszcze tak wiele pytań, że był gotów posłuchać rady Bishopa i ją pojmać. Wiedział, że nie będzie to łatwe, bo wyposażona w cyberwszczepy mogła okazać się trudnym przeciwnikiem. Ale nigdzie jej nie było. Musiała opuścić komnatę, gdy zwiadowcy leżeli pogrążeni w transie. A może rozplynęła się we mgle? Była tylko złudą, omamem, halucynacją, wywołaną toksycznymi oparami? Ezra potrząsnął głową, odpędzając od siebie irracjonalne myśli. Pozostali żołnierze też ją widzieli. Stała tutaj żywa, namacalna.

– Zbieramy się – rzekł. Nie musiał niczego tłumaczyć.

Po chwili Pluton 7 był gotowy do wymarszu. Stanęli dwójkami w szyku marszowym. Bishop i Gonzalez trzymali swoje C-24 odwrotnie, jakby byli leworęczni, dzięki temu każdy żołnierz w oddziale odpowiadał za jakiś wycinek tarczy zegarowej pola ogniowego.

Leahy spojrział w oczy Tiraha i ujrzał w nich strach. Natychmiast odwrócił wzrok.

– Ruszamy – rzucił ostro.

Wyszli na zewnątrz. Ezra nie potrafił określić, jaka jest pora dnia, bo mgła uniosła się, całkowicie zasłaniając niebo. Ostrożnie zeszli ze schodów i ruszyli w stronę Sāpiry. Przedzierali się przez gęste opary, cały czas mając się na baczności. Najdrobniejszy szelest liści, pochrząkiwanie zwierzęcia, skrzek ptaka sprawiały, że natychmiast zastygali i unosili broń, wypatrując niebezpieczeństwa. Bali się, że gdzieś tam czają się wampiry.

Ezra obejrzał się, zerkając na ziggurat, pojawiający się od czasu do czasu wśród mgły. Zastanawiał się, dlaczego właśnie tutaj powstała świątynia Pajęczej Bogini

i jakim cudem trafiła do niej ta dziwna hybryda. Obawiał się, że nigdy nie pozna odpowiedzi. Jednak coś mu podpowiadało, że jeszcze tutaj wróci, do tego zigguratu. Poczuł przeszywający go dreszcz. Wzdrygnął się i ponownie spojrzął przed siebie. Zbliżali się do miasta.

Z mgły wyłaniały się strażnice, monumentalne budynki i kamienne fontanny, przy których wcześniej kręciło się sporo osobników. Teraz było tu pusto, podobnie jak na ulicach. Zwiadowcy zwolnili kroku i zaczęli się z niepokojem rozglądać.

Z palenisk dochodził dym, ale domostwa wydawały się opuszczone. Ezra przestraszył się, że nastąpił atak Luusaat, a oni przybyli za późno. Jednak na ulicach nie dostrzegł trupów, krwi ani żadnych śladów wskazujących na to, że doszło do masakry. Zresztą ziggurat leżał niedaleko Sāpiry i na pewno usłyszeliby odgłosy walki.

Idący na przedzie Bishop zatrzymał się nagle i uniósł dłoń. Pozostali zwiadowcy również przystanęli.

– Słyszycie?

Ezra przechylił głowę, próbując wyłapać jakikolwiek dźwięk, ale nie miał tak dobrego słuchu jak Tobias. Z rezygnacją pokręcił głową.

– Jakies okrzyki – oznajmił Bishop, wskazując na południowy wschód. – Dochodzą gdzieś stamtąd.

– Też to słyszę – oświadczyła Abigail. – To na głównym placu miasta!

Ruszyli biegiem.

Nie przejmowali się już tym, co może się czaić we mgle, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do celu. Leahy nie wiedział, co się stało. Sāpira mogła zostać zaatakowana przez wampiry, ale równie dobrze mogło dojść do przepychanki pomiędzy szturmowcami i autochtonami. W jednym i drugim przypadku pomoc Plutonu 7 mogła okazać się niezbędna.

Teraz Ezra też to usłyszał. Podniesione głosy i krzyki. Dobiegały z oddali, ale z każdym przebytym metrem wrzawa narastała.

Oddział prowadził Bishop, który miał nie tylko najlepszy słuch, ale również najlepszy zmysł orientacji. Pomimo tego trzykrotnie się zgubili. Dwukrotnie trafili na ślepa uliczkę, zakończoną pionową ścianą, raz do zagrody jaszczurzych bestii, z której błyskawicznie uciekli, zanim rozdrażnione zwierzęta ich stratowały. Wszechobecna mgła nie ułatwiała zadania, oplatając ich blado mlecznymi mackami. Wreszcie wypadli na główny plac miasta, prosto na tłum rozentuzjasmowanych tubylców. Tworzyli ciasny krąg wokół środka placu, na którym najwyraźniej coś się działo.

Zwiadowcy zaczęli przedzierać się przez masę jaszczurów, wśród których znajdowali się nie tylko wojownicy, ale również zwykli mieszkańcy. Nie brakowało samic, które porzuciły domowe obowiązki i z zapartym tchem próbowały coś wypatrzeć ponad głowami stojących przed nimi roślących gwardzistów Voazoni. Oni

zaś starali się utrzymać kordon wokół serca placu. Rozdawali kopniaki co bardziej krewkim gapiom bądź szturchali ich drzewcami włóczni. Jednak żołnierzy Siódemki natychmiast przepuścili. Zwiadowcy dołączyli do szturmowców, którzy z karabinami przewieszonymi przez ramię i z pozorną obojętnością przyglądali się widowisku.

Na środku placu stał zbrojny jaszczur o głowę przewyższający najrośniejszych z tubylców.

– Co tu się dzieje? – spytał Ezra.

– Porachunki pomiędzy jaszczurami – odparł Khaidu, spluwając pod nogi. – Kretyni sami się wybijają.

Leahy dopiero teraz spostrzegł, że olbrzym przyodziany jest w purpurę, a nie granat jak reszta wojowników z Sāpiry. Za nim stała jego straż przyboczna, nosząca te same barwy. Nad ich głową unosił się sztandar – jaszczurze oko wpisane w romb.

– Tuż po tym, jak opuściliście miasto, przyjechał tu ten dryblas ze swoją świtą – relacjonował Khaidu, poprawiając karabin. Ezra spostrzegł, że szturmowiec trzyma palec przy spuście. – Mój translator nie jest tak dobrze dostrojony, jak ten Torres, ale mimo wszystko udało mi się sporo zrozumieć z tego, co tubylcy mówią. Ten tam nazywa się Yōdhuda. To wódz sąsiedniego klanu, który ma swoją siedzibę w wyższych partiach gór. Na razie ich miasto nie jest zagrożone atakiem wampirów, ale gdy tylko się dowiedzieli o niebezpieczeństwie grożącym Sāpirze, postanowił przybyć z odsieczą.

– To świetnie! – ucieszył się Leahy. – W walce z Luusaat przyda się każda pomoc.

Shadracg skrzywił się tylko.

– Niestety, wodzowie obu klanów mają jakiś dawny zatarg i właśnie teraz postanowili go rozstrzygnąć.

Na środek placu wyszedł Voazona w pełnym rynsztunku bojowym. Miał na sobie kolczugę przetykaną żelaznymi płytami, na lewym ramieniu okrągłą tarczę, a na głowie hełm, wydawałoby się, siłą wciśnięty na nieforemną czaszkę. W prawej dłoni, odzianej w żelazną rękawicę, dzierżył topór. Olbrzymi. Leahy zastanawiał się, czy sam w ogóle byłby w stanie go podnieść. Voazona trzymał go jak piórko.

Wódz drugiego klanu, widząc to, uśmiechnął się z satysfakcją, poprawił hełm, wziął od jednego z przybocznych tarczę i niemal identyczny topór.

– To walka na śmierć i życie – dodał Shadracg.

– Zupełnie ich popierdoliło – oświadczył Leahy. – Musimy to przerwać!

– Nic z tego. Twierdzą, że to sprawa honorowa.

– Co się stanie, jeśli jeden zabije drugiego? Albo pozabijają się nawzajem?

Sierżant Khaidu wzruszył ramionami.

Jaszczurzy wojownicy zbliżyli się do siebie i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Milczeli. Nie było żadnych przechwałek, prób zastraszenia przeciwnika, okrzyków bojowych.

Ezra wstrzymał oddech.
Zaczął się.

SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”

Dawne centrum dowodzenia operacji lądowych znajdowało się w części rufowej okrętu, ale po tym jak zostało zniszczone przez velmeńskie rakiety, inżynierowie z „Hajmdala” doszli do wniosku, że nowe należy umieścić w centrum drednota i – podobnie jak mostek – dodatkowo zabezpieczyć pancierzem. Takie rozwiązanie miało zapewnić bezpieczeństwo oficerów, a tym samym gwarantowało prawidłowe funkcjonowanie sztabu. Niezbędne prace zostały przeprowadzone w bahiriańskiej stoczni i teraz pułkownik Sarah Wheeler mogła cieszyć się nowym centrum dowodzenia. Ale zamiast tego siedziała sztywno w fotelu, z napięciem przysłuchując się napływającym meldunkom.

Kobieta nigdy nie ukrywała, że nie czuje się dobrze w roli głównodowodzącej siłami lądowymi. Nie pchała się na to stanowisko i gdy zaczynała służbę na „Hajmdalu”, nie przypuszczała, że zajdzie tak wysoko. Nie miała tak wygórowanych ambicji. Sądziła, że stanowisko szefa sekcji pojazdów rozpoznawczych to szczyt jej możliwości. I tak naprawdę wolałaby teraz przebywać na pokładzie garażowym.

W rzeczywistości niczym sobie na ten awans nie zasłużyła. To był czysty przypadek. Najpierw w wyniku eksplozji w starym centrum dowodzenia operacjami lądowymi zginął generał Cunningham, a na jego miejsce przyszedł Ae-Hwa, który okazał się zdrajcą i buntownikiem. W ostatnich miesiącach często zastanawiała się, czy fakt, że to ona właśnie go zabiła, wpłynął na jej awans. A może miało to związek z ciągłymi brakami kadrowym? Teraz jednak nie miała czasu tego roztrząsać. Musiała skupić się na tym, co działo się wokół. A działo się sporo.

Obecnie nadzorowała trzy operacje naraz. Miała być tylko jedna, ale życie jak zwykle napisało własne scenariusze. W ostatnim czasie to było normalne. Można było się już przyzwyczaić.

Zaraz po tym, jak otrzymała rozkaz wysłania na Manju grupy desantowej, zebrała swój sztab i przydzieliła zadania. Tak naprawdę akcją dowodził kapitan Bastian Dash, który wraz z drugą kompanią wojsk szturmowych wyruszył na powierzchnię planety. Wheeler wymusiła, żeby wziął ze sobą również pluton zwiadowców, bowiem od działu kartograficznego dowiedziała się, że cały glob pokrywają porośnięte lasem góry i jeśli będzie trzeba wysledzić wampiry, oddział rozpoznawczy poradzi sobie doskonale.

Żałowała, że nowe centrum dowodzenia nie zostało wyposażone tak dobrze jak poprzednie, gdzie do dyspozycji były ekrany transmitujące obraz z kamer umieszczonych na hełmach żołnierzy. Brakowało również stanowisk monitorujących

dane medyczne, warunki otoczenia i stan sprzętu. Tak naprawdę pułkownik Wheeler siedziała w małym pomieszczeniu, ściśnięta z dwoma analitykami taktycznymi i jednym łącznościowcem.

Gdy ten ostatni zameldował o utracie kontaktu z „Nadirem”, natychmiast wszczęła procedurę akcji ratunkowej. Prawdopodobnie prom desantowy rozbił się, nawigując w gęstej mgle. Na szczęście admirał Kashtaritu oddelegował do akcji myśliwce pod dowództwem Joela Paka. Pułkownik Wheeler miała okazję poznać tego młodego, zdolnego pilota. Podziwiała jego skrupulatność, poczucie odpowiedzialności i niechęć do brawury, co było niezwykle u pilotów myśliwców. Z bijącym sercem czekała na wieści.

Na domiar złego w tym samym czasie dotarły do niej informacje o możliwości wtargnięcia wampirów na pokład drednota. Ogarnęła ją wściekłość na samą myśl, że znalazły się na okręcie, w jej nowym domu, i żerują na załodze, którą uważała za rodzinę. W pierwszej chwili miała ochotę chwycić karabin i sama ruszyć na poszukiwania krwiopijców. Nienawidziła wampirów.

Jej mąż i mały synek zginęli, gdy duży rój Luusaat najechał system Alderamin. Trzynaście planet należących do wysoko rozwiniętego gatunku Abzu zostało spustoszonych, a ze wspaniałych wodnych miast nie zostało dosłownie nic.

Ona przeżyła tylko dlatego, że w tym czasie znajdowała się w sąsiednim układzie gwiazdnym, gdzie jako główny inżynier nadzorowała budowę nowych instalacji wojskowych, mających za zadanie chronić wodne światy przed niespodziewaną inwazją. Alderamin miał być kolejnym systemem, gdzie Abzu wprowadzali podobne rozwiązania technologiczne. Niestety, za późno. Wheeler nie miała do czego wracać. Od tamtego czasu rozpoczęła się jej wędrówka po Galaktyce, która doprowadziła ją na pokład „Hajmdala”.

Opanowała pragnienie zemsty, zacisnęła tylko mocniej dłonie na poręczy fotela. Rozkazała odciąć zagrożone sektory rufowe okrętu i skierowała na miejsce pierwszą kompanię wojsk szturmowych pod dowództwem sierżant Barbary Lorde, żeby sprawdziła teren i wyeliminowała zagrożenie. Jednak kontakt urwał się po tym, jak Lorde zameldowała, że w zbrojowni jest czysto.

Łącznościowiec wywoływał na zmianę „Nadira”, Joela Paka i sierżant Lorde. Sarah Wheeler siedziała w ponurym milczeniu, od czasu do czasu odgarniając siwe włosy opadające na czoło. Drażniły ją i żałowała, że wcześniej nie zdążyła związać ich w kok.

Pierwszy odezwał się Pak.

– Odnaleźli „Nadira”! – oznajmił entuzjastycznie łącznościowiec. – Prom jest lekko uszkodzony, ale po prowizorycznych naprawach będzie w stanie samodzielnie wrócić na pokład „Hajmdala”. Nie możemy się z nim bezpośrednio skontaktować, ponieważ silne interferencje elektromagnetyczne uniemożliwiają nadanie sygnałów radiowych

z powierzchni planety.

– Mają rannych?

– Jeden z pilotów odniósł obrażenia podczas wypadku promu, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Wheeler odetchnęła z ulgą, ale nagle zmarszczyła brwi.

– A co z żołnierzami?

– Niestety. – Łącznościowiec pokręcił głową. – Nie wiadomo, co z oddziałem desantowym. Kapitan Dash wyruszył z czterema plutonami na rekonesans i jeszcze nie wrócił. Nie ma z nimi kontaktu.

– Kurwa mać – warknęła Wheeler.

Zdecydowanie nie nadawała się na to stanowisko. Kosztowało ją to zbyt wiele nerwów. Nie wiedziała również, co ma robić. Pułkownik Wheeler była kobietą czynu, potrafiła rozwiązywać problemy wymagające działania. Teraz jednak musiała czekać i tak naprawdę nic od niej nie zależało. Delegowała tylko oddziały i odbierała komunikaty. Przypominało jej to zapomnianą grę, pochodzącą jeszcze z Ziemi, w którą miała okazję grać na jednej z wodnych planet, w dzielnicy zamieszkiwanej przez ludzi. Nazywano ją szachami i polegała na przesuwaniu na planszy pionków i figur tak, żeby zagrozić królowi. Gra wymagała umiejętności strategicznych, przewidywania posunięć przeciwnika na kilka ruchów naprzód, a przede wszystkim cierpliwości. A żadnej z tych cech Wheeler nie posiadała. Przynajmniej tak jej się wydawało. Postanowiła, że po wszystkim złoży dymisję i jeśli będzie taka możliwość, wróci do dowodzenia działem pojazdów mechanicznych.

– Mam na linii sierżant Lorde – zameldował łącznościowiec.

– Dawaj ją! – Wheeler niemal zerwała się z fotela.

– *Na pokład „Hajmdala” dostało się trzech Luusaat – w pomieszczeniu rozległ się cierpki głos. – Jednego dopadliśmy na korytarzu, tuż przy zbrojowni. Zdołał zabić dwóch moich ludzi, zwiadowcę i medyczkę. Rozwaliliśmy go, zanim dobrał się do doktor Dheran. Ona żyje, ale jest w szoku...*

– Co z pozostałymi wampirami?

– *Drugiego dopadli na drugim pokładzie zwiadowcy z pierwszej kompanii wojsk rozpoznawczych pod dowództwem sierżanta Campbella – odparła Lorde. – Teraz wspólnie ścigamy ostatniego, który kieruje się w stronę...*

– Przepraszam, pani sierżant – przerwała jej Wheeler, która na osobistym wyświetlaczu właśnie odebrała nowe rozkazy od admirała.

Otworzyła szeroko oczy i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Stary cap oszalał – mruknęła do siebie.

Przez kilka sekund spoglądała w przestrzeń, aż wreszcie podjęła decyzję.

– Sierżant Lorde?

– *Zgłaszam się.*

- Kontynuujcie poszukiwania. Dopadnijcie tego skurwiela.
- *Tak jest!*
- Sierżancie Campbell?
- *Słucham.*
- Iloma dysponujecie ludźmi?
- *Dwa pełne plutony, pani pułkownik.*
- Doskonale – odparła Wheeler. – Natychmiast zameldujecie się przy słuzie numer siedem. Od teraz stanowią straż przyboczną.
- *Nie rozumiem.*
- Admirał osobiście chce wejść na pokład velmeńskiego pancernika.
- *O kurwa!*

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

W niebo wzniosł się radosny krzyk tłumu, gdy Voazona jako pierwszy ruszył do ataku. Natarł na Yōdhudę z wielką determinacją, wściekle wyprowadzając cios za ciosem. Żelazne ostrze jego topora raz po raz waliło w tarczę przeciwnika, która trzeszczała niepokojąco, ale jakimś cudem wytrzymywała każde uderzenie.

Ogromny jaszczur nic sobie nie robił z zaciekłych ataków wroga. Nie ruszył się nawet o centymetr. Na jego wąskich gadzich ustach pojawiło się nawet coś na kształt uśmiechu. W pewnym momencie, jakby znudzony nieporadnością przeciwnika, przystąpił do kontrataku.

Uderzył na odlew, próbując obuchem trafić w głowę Voazony. Ten odchylił się i żeleźce śmignęło mu tylko przed oczami. Impet sprawił, że Yōdhuda zachwiał się, i przywódca Sāpiry natychmiast spróbował to wykorzystać. Wyprowadził wysoki cios, wkładając w to całą siłę. Niestety, przeciwnik zdołał się zasłonić tarczą. Tłum jęknął zawiedziony.

Po tej pierwszej wymianie ciosów wodzowie zaczęli krążyć wokół siebie niczym dzikie koty z sawannowej planety z układu Betelgezy. Ich mięśnie niebezpiecznie drgały pod turkusową skórą, olbrzymie i napięte do granic możliwości. Chodzili nisko na nogach, w każdej chwili gotowi do skoku. Żółte oczy wypatrywały słabego punktu w zasłonie rywala. Na gadzich twarzach nie malowały się żadne emocje.

Leahy zastanawiał się, czy gadami targają jakiejkolwiek emocje. A jeśli tak, co teraz czują? Podniecenie walką? Gniew? Wściekłość? Żądzę krwi? A może strach? Szczerze wątpił, patrząc na rosnących wojowników, kręcących młynki olbrzymimi toporami i syczących na siebie w jaszczurzym języku. Jeśli odczuwali strach, to na pewno różnił się od ludzkiego. W takich sytuacjach człowiek bał się śmierci, kalectwa, ciemności, która na zawsze go pochłonie. Ale jaszczury były inne. Lacertanie, do których tubylcy byli niezwykle podobni, obawiali się jedynie utraty honoru. Woleli umrzeć na polu bitwy z bronią w ręku, niż resztę życia spędzić w hańbie. Dlatego tak trudno było ich pokonać.

Ezra myślami wrócił do wizji, jakiej doświadczył w świątyni Pajęcznej Bogini. Ujrzał w niej terrańską flotę wracającą z wojny z Lacertanami. Czy to możliwe, żeby w niedalekiej przyszłości ludzkość stała się mocarstwem mogącym nie tylko rywalizować, ale również pokonać jaszczurze imperium? Leahy nie mógł w to uwierzyć. Tak samo jak w to, że zostanie bohaterem wojennym i pięciogwiazdkowym generałem.

Pokręcił głową. Ta wizja nie mogła być prawdziwa. Ale wówczas iluzją było

również to, co widziała Abigail. Uśmiechnął się na myśl o dziecku. O córeczce. To była piękna myśl. Zaraz jednak posmutniał, gdy przypomniał sobie, czego miał w przyszłości doświadczyć Bishop. Kiepsko wyglądała również sytuacja Gonzaleza. Jeśli miałyby wydarzyć się wszystko lub nic, Ezra wolałby tę drugą ewentualność.

Leahy skupił uwagę na walczących. Voazona zakreślił toporem młynka, zasyczał wściekle, wysuwając rozdwojony język, i zaatakował. Yōdhuda ze spokojem przyjął cios na tarczę i odpowiedział mocnym uderzeniem. Wódz Sāpiry zdążył się zasłonić, ale impet odrzucił go trzy kroki do tyłu. Ponowił natarcie. Zamarkował atak na głowę, ale gdy olbrzym uniósł tarczę, żeby się obronić, natychmiast ugiął nogi w kolanach, próbując trafić w odsłonięty brzuch. Yōdhuda, pomimo swojej masy, był bardzo zwinny i wykonał błyskawiczny unik. Voazona próbował jeszcze uderzać na odlew, ale i tym razem nic z tego nie wyszło. Przeciwnik był szybszy.

Dwaj wodzowie ponownie odskoczyli od siebie, tym razem jednak nie krążyli, tylko stali w miejscu, ciężko dysząc. Chociaż walka trwała dopiero kilka minut, obaj zaangażowali w nią sporo energii. Mieszkańcy miasta gorąco zagrzewali swojego wodza do walki, natomiast gwardziści Yōdhudy stali spokojnie, obserwując pojedynek. Zapewne byli przekonani, że ich przywódca prędzej czy później upora się z przeciwnikiem.

Walczący znowu na siebie ruszyli. Teraz uderzał raz jeden, raz drugi. Cios za cios. Ale to wódz w purpurze zaczął zyskiwać przewagę. Nie ulegało wątpliwości, że górował nad Voazoną wzrostem i muskulaturą, a także siłą, z jaką wyprowadzał każde uderzenie. Walił topornie, lecz skutecznie. Zmęczony władca Sāpiry zaczął się cofać, opuszczał tarczę, która wyglądała, jakby miała zaraz się rozpaść. Natomiast Yōdhuda wydawał się niewzruszony jak posąg. Z łatwością parował ciosy rywala i zadawał własne. Wyglądało na to, że Voazona nie ma żadnych szans.

Mieszczanie zamilkli. Już nie krzyczeli, nie dopingowali, tylko ponuro spoglądali na to, co się dzieje. Niektórzy opuszczali głowy, nie chcąc patrzeć, jak ich przywódca przegrywa. A Yōdhuda zyskiwał coraz większą przewagę. Topór śmigał w jego ręce, rąbał raz za razem. Z góry i z dołu. Czasem z potworną siłą uderzał na odlew i wówczas widać było, jak z tarczy niższego jaszczura lecą drzazgi.

Voazona dzielnie odpierał ataki i od czasu do czasu próbował się odgryzać. Jeden z jego ciosów nawet przedarł się przez tarczę Yōdhudy, ale straciwszy impet, ledwie naruszył zbroję. Potężny jaszczur roześmiał się tylko, a następnie wbił topór w tarczę Voazony i pociągnął ją w dół, odsłaniając rywala. Nie zdążył jednak na czas wyszarpnąć ostrza, żeby zadać śmiertelny cios. Warknął gniewnie i odstąpił o krok.

Ezra spostrzegł, że nad ich głowami pojawiły się latające bestie o rozłożystych, błoniastych skrzydłach. Na ich grzbietach siedzieli jaszczurzy wojownicy w purpurowych barwach. Leahy naliczył siedemnaście jaszczurów. Zaraz w powietrze wzbili się również jeźdźcy Voazony w podobnej liczbie i dwie grupy zaczęły krążyć,

nawzajem się pilnując. Młody sierżant zrozumiał, że bez względu na wynik starcia, i tak szykowałą się wojna klanowa. Jęknął, gdy uświadomił sobie, jakie to może mieć konsekwencje w obliczu zbliżających się Luusaat. Musiał coś zrobić.

Tymczasem rozwścieczony Yōdhuda rzucił się do szaleńczego ataku, a każdy z ciosów, gdyby tylko dotarł do celu, rozplątałby hełm przeciwnika i zmiażdżył czaszkę. Voazona cofał się pod naporem wroga, blokując każde uderzenie. W pewnym momencie tarcza wodza Sāpiry rozpadła się na pół, a ten – nie namyślając się długo – odrzucił zbędne kawałki drewna i teraz zasłaniał się toporem. Poleciały iskry.

Ezra nie mógł dłużej na to patrzeć.

– Dość! – krzyknął, wychodząc przed tłum. – Przerwijcie to szaleństwo! Niedługo pojawią się tu żądne krwi wampiry, a wy chcecie się pozabijać, zamiast stawić im czoło?

Wodzowie tylko zerknęli na niego, nie przerywając walki. Dopiero teraz Leahy uświadomił sobie, że i tak nie rozumieją, co do nich mówi. Odwrócił się do Abigail z prośbą o translator, ale w tym momencie dwóch roślących gwardzistów chwyciło go za ramiona i pociągnęło z powrotem w tłum. Próbował się szarpać i wyrwać, ale trzymali go mocno. Jednak nie mieli zamiaru zrobić mu krzywdy. Uspokoił się i pokazał rękoma, że nie zamierza więcej stwarzać problemów. Puścili go. Przeniósł spojrzenie na walkę.

Yōdhuda zyskiwał coraz większą przewagę. Trzasnął przeciwnika tarczą tak mocno, że ten oszołomiony runął na ziemię. Olbrzym zaraz do niego przypadł i rąbnął toporem. Voazona przeturlał się i cios nie trafił. Rozłoszczony Yōdhuda rzucił się na wroga ze zdwojoną siłą. Uderzał raz za razem tak szybko, że ledwie można było dostrzec śmigające żeleźce. Przywódca Sāpiry jednak umiejętnie się bronił.

Wojownicy znowu odstępili od siebie. Dyszeli ciężko. Wtem Voazona wyprostował się, oddech mu się wyrównał, a na jego jaszczurzych ustach pojawiło się coś jakby uśmiech. Wysyczał coś do przeciwnika, a potem na niego natarł.

Leahy otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Wydawało się, że Voazona ledwo trzyma się na nogach i lada chwila polegnie, a tymczasem wyglądał tak, jakby dopiero zaczynał walkę. Szybko zyskiwał przewagę nad zmęczonym rywalem, w którego żółtych oczach pojawił się strach. Ezra nagle zrozumiał, że Voazona zakpił sobie z Yōdhudy. Cały czas był od niego lepszy i mógł pokonać go już na początku pojedynku, ale chciał dać ludziom widowisko. Tłum teraz szalał, wiwatował, wielbił swojego wodza i gotów był pójść za nim choćby do piekła, co w obliczu zbliżającej się bitwy było nieocenione. Leahy musiał przyznać, że Voazona dobrze to rozegrał.

Yōdhuda również stracił tarczę i teraz topór uderzał o topór. Jednak to miejscowy wódz był szybszy, zwinniejszy i bardziej pomysłowy. Zaskakiwał atakami, zmieniał kierunek uderzenia i stało się to, co było nieuniknione. Jeden z ciosów trafił olbrzyma

w głowę. Jaszczur zachwiał się, ale utrzymał na nogach. Voazona poprawił, roztrzaskując hełm przeciwnika. Z dłoni Yōdhudy wysunął się topór, jaszczur runął bez przytomności na ziemię.

Mieszczanie oszaleli z radości, skandując imię swojego wodza. Tak przynajmniej wydawało się młodemu sierżantowi, bo nic nie rozumiał z syczącej mowy.

Przywódca Sāpiry stanął nad leżącym przeciwnikiem, uniósł broń i już zamierzał ją opuścić, gdy na plac wpadł jeden ze strażników, krzycząc coś i wskazując na południe.

Luusaat zbliżali się do miasta.

SYSTEM ALMAAZ PAŁACOWA PLANETA NŪSHEN

Pretorianie nie zabili jej. Żaden z nich nie nacisnął spustu. Stali przez dobrą minutę, gapiąc się na nią, jakby nie mogli się zdecydować, co zrobić. Nie mieli takich problemów z Bahirianami, szybko pozbawiając ich życia. Dlaczego zatem dla niej zrobili wyjątek? Ale Sandra Thushpa nie miała zamiaru siedzieć we wraku jachtu i czekać na odpowiedź.

Dźwignęła się z trudem i zaraz osunęła z powrotem. Zaciśnęła zęby. Nie mogła się poddać. Spróbowała raz jeszcze. Jęknęła, ale tym razem utrzymała się na nogach. Pretorianie nie zareagowali. Nadal stali nieruchomo z wycelowaną w nią bronią. Zaczęła wolno kuśtykać w przeciwną stronę, w każdej chwili spodziewając się strzału w plecy.

Nie wiedziała, dokąd idzie. Nie myślała o tym, gdzie się ukryje i w jaki sposób ucieknie. W tym momencie pragnęła jedynie znaleźć się jak najdalej od pretorianów. Wbiła wzrok w przestrzeń przed sobą. Ujrzała ruiny wspaniałych niegdyś pałaców, spalone drzewa i krzewy, leje po bombach i kratery wyryte przez torpedy, zniszczone pojazdy i setki trupów. Nie płakała. Nie tym razem. Nie miała na to siły.

Potknęła się i upadła. Ponownie stanęła na nogi. Drżała. Postąpiła krok do przodu, potem jeszcze jeden. Znowu szła. Nie oglądała się, wiedziała jednak, że pretorianie tam są. Stoją nieruchomo i wbijają w nią czerwone ślepie. Dlaczego nie strzelają? To pytanie cały czas huczało jej w głowie. Dlaczego jeszcze jej nie zabili?

Wtem jakieś dwadzieścia metrów od niej pojawił się kolejny oddział. Tym razem byli to legionieści. Tak nazywano istoty poddane cybernetycznym udoskonaleniom i siłą wcielone do velmeńskiej armii. Podczas procesu cybernetyzacji traciły własną tożsamość, zdolność do odczuwania emocji i poddawano je indoktrynacji technokapłanów. Ci żołnierze pogardzali wszystkim, co żywe. Ich jedynym pragnieniem były dalsze modyfikacje i służenie swoim panom. To właśnie oni stanowili trzon velmeńskich wojsk i Sandra powinna być raczej zdziwiona, że dopiero teraz ich spotkała. Widocznie inwazja na Almaaz miała priorytetowe znaczenie i Velmeni skierowali tutaj elitarne siły.

Legionieści mieli w ciele taką ilość metalu i cyberwszczepów, że mimo ich humanoidalnych sylwetek kobieta nie potrafiła powiedzieć, do jakiego gatunku należeli. Podobnie jak pretorianie, stanęli i wycelowali w nią broń. I nic więcej. Minęła ich, starając się na nich nie patrzeć. Przerazali ją.

Szła dalej. Powoli, wlokąc nogę za nogą. Nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Krew ponownie zaczęła zalewać jej oczy, co oznaczało, że prowizoryczny opatrunek

przestał spełniać swoją rolę. Zdjęła go i wyrzuciła.

Gdzieniegdzie jeszcze rozlegały się pojedyncze strzały, ale Sandra nie miała wątpliwości, że było po bitwie. Velmeni rozgromili cesarską armię i teraz niepodzielnie władali planetą. Nad jej głową przelatywało coraz więcej barek desantowych, a na ich odkrytych pokładach dostrzegła siedzących w rzędach pretorianów i legionistów. Na każdej znajdowało się ich przynajmniej sześćdziesięciu. Sandra wiedziała, że kontyngent cesarskich wojsk na planecie był nieliczny i sprowadzał się jedynie do straży przybocznej władcy. Bahirianie, zaskoczeni nagłym atakiem, nie mieli żadnych szans.

Poczuła pieczenie. Spojrzała pod nogi i zorientowała się, że stąpa boso po wypalanej i dymiącej jeszcze ziemi. Czerniałe krzewy i drzewa oraz wirujące w powietrzu popioły zlewały się w upiorny krajobraz. Nagle zerwał się mocny wiatr i cały pył uderzył Sandrę w twarz. Przystanąła, przetarła oczy. Jęknęła. Tuż przed nią lądowała jedna z velmeńskich barek desantowych.

Miała około dwudziestu metrów i klinowaty kształt z wyraźnie zarysowanym dziobem. W przeciwieństwie do pozostałych nie posiadała otwartego pokładu z siedziskami dla velmeńskich żołnierzy, tylko wysoką zabudowę. Sandra zbladła. Zdała sobie sprawę, że ta jednostka służy do przewożenia więźniów.

Barka wylądowała, otworzyła się furta i ze środka wyszli pretorianie. Thushpa natychmiast się odwróciła i zaczęła kuśtykać w przeciwnym kierunku. Jednak zaraz ją pochwycili. Próbowwała się szarpać, kopać i wyrywać, ale metalowe ramiona trzymały mocno. Wciągnęli ją do barki.

Sandra nic nie pamiętała z podróży. Uśpili ją zastrzykiem.

Nie wiedziała, ile była nieprzytomna, ale nie mogło to trwać długo, bo słońce wpadające przez okna komnaty, w której się obudziła, stało wysoko. Rozejrzała się po pomieszczeniu i stwierdziła, że musi znajdować się w cesarskim pałacu. Wszystko tutaj skrzyło się złotem i turkusem, zaczynając od sklepień, poprzez obramowania drzwi, a kończąc na podłodze. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzeźby o fantastycznych kształtach i posągi przedstawiające poprzednich cesarzy.

Thushpa leżała w samej tylko bieliźnie, w wielkiej wannie zdobionej kamieniami szlachetnymi, zanurzona w jakiejś żelowej substancji. Skrzywiła się, przypominając sobie, że Bahirianie śpiąją w tego typu zbiornikach.

Uniosła się lekko i z zaskoczeniem stwierdziła, że ból minął. Velmeni musieli podać jej środki przeciwbólowe i przeciwzapalne. Rana na głowie została opatrzona, na zębra założona opaska elastyczna, a kolano nastawione i usztywnione w specjalnej szynie.

„A więc chcę, żebym żyła” – pomyślała Sandra. To była ta dobra wiadomość. Zła, że znajdowała się w velmeńskiej niewoli.

W pomieszczeniu znajdowało się siedmiu strażników. Dwóch pretorianów pełniło

wartę przy wejściu, jeden trwał nieruchomo obok wanny, a pozostałych czterech otaczało jakąś istotę, która stała pośrodku komnaty, cały czas coś szepcząc.

Sandra podniosła się i przez chwilę uważnie spoglądała na pilnującego ją pretorianina. Nie poruszył się. Odetchnęła z ulgą i opuściła wannę. Dziwny żel oblepiał ją całą, ale tym się nie przejmowała. Ostrożnie zaczęła zbliżać się do dziwnej istoty. Thushpa była przekonana, że mówi po velmeńsku, ale nic nie rozumiała. To musiał być jakiś bełkot. Słowa łamały się, urywały nagle, żeby potem przejść w kaskadę zupełnie przypadkowych głosek i sonantów. Po nich następowała wypowiedziana natchnionym głosem melodyjna litania, kończąca się gwałtownym słowotokiem. I tak na okrągło.

Thushpa stanęła trzy kroki od istoty. Była wysoka i bardzo szczupła. Błada skóra mocno kontrastowała z cybernetycznymi wszczepami na niezwykle urodziwej twarzy. Sandra nie miała wątpliwości, że to Ardhanari. Wskazywały na to wąskie usta, wystające kości policzkowe, drobny nos i ledwie zarysowane brwi. Jedyne oczy były inne. Nie emanowały tym samym blaskiem co u Rhw'kho. Nagle zrozumiała.

Cofnęła się przerażona.

To były ludzkie oczy.

– To Pytia – usłyszała za plecami metaliczny, bezbarwny głos. – Jedyne, jaka nam pozostała.

Sandra odwróciła się i zbladła.

– Witaj, córko – rzekła mistrzyni.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Wynurzyli się z mgły.

W ciszy wieczoru, z majestatyczną grozą i olbrzymią pewnością, siebie szli wolnym krokiem w stronę pierwszych posterunków, rozstawionych przy wejściu do miasta.

Jedenastu Luusaat, przedstawiciele gatunku budzącego przerażenie w całej Galaktyce. Różnie ich nazywano. W Hegemoni Yid'ak – nocnymi wędrowcami, bowiem nie znosili światła słonecznego. Dla Abzu byli to hōsty, czyli drapieżnicy stojący na czele łańcucha pokarmowego. W odległej gromadzie Omega Centauri, którą zamieszkiwali Whrdowie, uważano ich za krewniaków okrutnej bogini wojny Hpuathuantli i oddawano im cześć. Natomiast ludzie nazywali ich gwiazdnymi wampirami, co nawiązywało do opowieści grozy powstałych jeszcze na Ziemi.

Ezra słyszał kilka z nich na rodzinnej Sâhr, gdy raz w tygodniu starszyzna osady zasiadała w świetlicy i snuła opowieści do późnej nocy. Wówczas dowiedział się o legendarnych istotach, które po śmierci opuszczały groby i polowały na żywych. Zazwyczaj wypijały krew, ale zdarzało się, że zabijały nieszczęśników lub przerabiały na swoje podobieństwo. Z opowieści wyłaniał się obraz szkaradnych, kryjących się w mroku nocy potworów, na wpół przypominających ludzi. Zabić je można było przy pomocy osikowego kołka, który należało wbić prosto w serce wampira. Innymi metodami były rozczłonkowanie lub spalenie. Trudno powiedzieć, czy pierwszy sposób był skuteczny, bo chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie ruszyłby na Luusaat uzbrojony jedynie w kawałek drewna, ale w pociski rozrywające ciało, wystrzelone z ciężkiego karabinu maszynowego albo płomień wyplute z miotaczy ognia już tak.

Patrząc, jak jedenaście karykaturalnych istot zmierza w kierunku prowizorycznej barykady zbudowanej z kamieni i desek, Leahy zastanawiał się, czy to możliwe, że Luusaat i wampiry z dawnych opowieści to te same istoty. Przecież mogło się zdarzyć, że w przeszłości odwiedzali Ziemię, tak jak miało to miejsce w przypadku innych gatunków zamieszkujących Drogę Mleczną. Ale z drugiej strony wiedział, co potrafi zrobić jeden rój. Całe życie w Układzie Słonecznym zostałyby unicestwione. A może to były tylko pojedyncze osobniki, które jakimś cudem trafiły na Ziemię? Same nie były w stanie dokonać tak wielkich zniszczeń, jednak na tyle mocno dały się we znaki, że powstały o nich legendy? A może po prostu ich podobieństwo było zwykłym zbiegiem okoliczności?

Ezra nie miał czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo Luusaat znajdowali się sto metrów od ich pozycji. Zbliźali się tyralierą, szli powoli, nonszalancko, niespecjalnie rozglądając się na boki. Dobrze wiedzieli, że idą prosto w pułapkę, i wcale ich to nie

martwiło. Tak byli pewni swojej przewagi. Czekala ich jednak niemiła niespodzianka. Ezra uśmiechnął się wrednie i mocniej chwycił karabin. Na pewno nie spodziewali się oddziału terrańskich sił zbrojnych, uzbrojonego w ciężką broń i miotacze ognia.

Plan był całkiem dobry, biorąc pod uwagę, że wymyślił go kapitan Dash. Tak przynajmniej powiedziano, bo Leahy podejrzewał, że prawdziwym autorem był sierżant Khaidu, który miał głowę na karku i większe doświadczenie bojowe niż szef operacji specjalnych. Ezrę zdziwiło tylko, że plan został zaakceptowany przez Voazonę, bowiem zakładał, że pierwsze uderzenie wezmą na siebie terrańscy żołnierze, a jaszczurzy wojownicy wkroczą do akcji później.

Wampiry zostały zwabione do opuszczonej części miasta, w ulicę zamkniętą z jednej strony barykadą, a po bokach wysokimi, kamiennymi budynkami. Wszędzie równomiernie rozmieszczono stanowiska strzeleckie. Otwarcie ognia z trzech stron miało zmasakrować Luusaat, a gdy ranni i ledwo trzymający się na nogach będą próbowali się wycofać, spadnie na nich od tyłu kawaleria jaszczurów.

– *Przygotować się do otwarcia ognia* – Ezra usłyszał głos kapitana w słuchawkach i odbezpieczył C-24. Wiedział, że kule wystrzelone z jego karabinu nie wyrządzą zbyt wiele szkód wampirom, ale i tak postanowił spróbować.

– Tak jest – rzucił do mikrofonu i przeniósł spojrzenie na ludzi pod swoją komendą.

Ivar Björk uśmiechnął się wrednie. Wyposażony w ważącego dwadzieścia kilogramów peruna, którego mocował na specjalnej uprzęży, rozkładającej ciężar broni na całe ciało, nie mógł się doczekać, aż pociski zrobią rzeź w szeregach wroga.

Nieco dalej przysiadła Abigail, wciskając w szparę między deskami karabin snajperski, ale bynajmniej nie po to, żeby z niego strzelać. Przykładając oko do lunety, przyglądała się nadciągającym wampirom. Mocno zaciskała usta i cała trzęsła się ze strachu. Ezra stłumił potrzebę podejścia do niej i przytulenia dziewczyny. Teraz nie byli parą kochanków w zaciszu kajuty drednota, ale żołnierzami elitarniej jednostki zwiadowców na misji bojowej.

Leahy przeniósł spojrzenie na Tiraha, który klęczał z bronią przy ramieniu. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Czy brał pod uwagę, że może zginąć? Czy rozmyślał o braku wizji w świątyni Pajęczej Bogini? Wyglądało, że skupiony jest wyłącznie na nadchodzącej bitwie.

Obok niego przycupnęli Bishop i Funke. Tobias próbował rozweselić Miriam żartami, ale nie zwracała na niego uwagi. Nadal była obrażona. Zapewne po powrocie na okręt wszystko sobie wytłumaczą i znowu będzie między nimi dobrze. I jak zawsze, skończy się na dzikim seksie na zgodę, przez który połowa żołnierzy w sektorze kwater dla zwiadowców nie będzie mogła zmrużyć oka. Wtem Ezra uświadomił sobie, że Miriam nie powiedziała im, czego doświadczyła w swojej wizji. Czy miało to coś wspólnego z Tobiasem? Czy widziała ich wspólne życie? A może dotyczyło czegoś zupełnie innego? Postanowił ją o to zapytać po wszystkim.

Za dwójką zwiadowców stanowiska zajmowało pięciu szturmowców przysłanych tutaj przez Shadracga Khaidu. Trzech dysponowało agresorami, jeden wyposażony został w dziewięciolufowego intruza, przytwierdzonego do pasa na biodrze i podłączonego kablami do gniazda zasilającego na klatce piersiowej pancerza bojowego. Karabin wypływał z siebie bezłuskowe pociski kalibru piętnaście, które rozrywały ciała ludzkie na strzępy. Ezra miał nadzieję, że okażą się skuteczne na Luusaat.

Piątym szturmowcem był Jeremiasz Ruon.

Nie ukrywał, że nie podoba mu się przydział do zwiadowców. Stwierdził, że jeśli ma umrzeć, woli zginąć wraz z towarzyszami ze swojej kompanii niż z błotołazami. Khaidu zbył jego pretensje wściekłą tyradą i przywołaniem do porządku, natomiast członkowie plutonu 7 powitali go wyniosłym milczeniem. Ruon też się do nich nie odzywał. Uzbrojony w miotacz płomieni, stał w oczekiwaniu na rozkaz otwarcia ognia.

Ezra z zadowoleniem pokiwał głową. Wszyscy byli na pozycjach, zwarci i gotowi. Przeniósł spojrzenie na przedpole.

Wampiry były już o trzydzieści metrów. Z tej odległości dało się dostrzec wykrzywione karykaturalnie twarze i szeroko rozwarte szczęki. Łaknęły krwi. Niektóre miały na sobie stroje zdarte z tubylców. Dominował kolor zielony i pomarańczowy. To były barwy dwóch klanów, mieszkających na południe od Sāpiry, które zostały już zgładzone. Tak przynajmniej donieśli zwiadowcy, dosiadający skrzydlatych bestii.

Uwagę Ezry skupił idący pośrodku tyraliery najwyższy z Luusaat. Na oko mierzył jakieś dwa metry, ale zmylić mogło to, że pozostałe wampiry garbiły się, a ten szedł dumnie wyprostowany. Nosił czarną, długą szatę, przetykaną złotem, a twarz skrywał pod kapturem. Leahy nie widział jego oczu, ale był przekonany, że tamten spogląda właśnie na niego. Nagle poczuł, jak coś wdiera się do jego głowy, obca świadomość oplata jego jaźń jakimiś mrocznymi, obleśnymi mackami, hipnotyzuje i zatrzuwa niemocą.

Ezrę ogarnęło przerażenie. Sparaliżował go strach. Nie mógł się ruszyć, nie potrafił wycelować i zrozumiał, że gdy padnie rozkaz otwarcia ognia, on nie będzie w stanie nacisnąć spustu.

Wtem potężny huk rozdarł wieczorną ciszę.

SYSTEM CHI AURIGAE

OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”

Ekran wizualny niemal w całości wypełniał obraz srebrnego, klinowego obiektu, połyskującego w blasku tutejszego słońca. „Hajmdal” wolno podchodził do burty pancernika i Tycho Brahe, podobnie jak pozostali, nie mógł uwierzyć, że Velmeni pozwolili im się tak bardzo zbliżyć. Spodziewał się, że gdy tylko wejdą w zasięg rakiet wroga, w stronę drednota zaraz polecą pociski nuklearne. Stało się jednak inaczej. Sensory bliskiego zasięgu informowały o braku jakiejkolwiek aktywności bojowej velmeńskiej jednostki. Nawet nie zostały postawione tarcze energetyczne. Krążące wokół kadłuba terrańskie sondy nie wykryły żadnych uszkodzeń, co oznaczało, że okręt jest sprawny. To było bardzo dziwne.

Podporucznik Brahe nie wiedział, co o tym myśleć. Doświadczenie nauczyło go unikać Velmenów jak ognia. Za każdym razem, gdy na nich trafiali, kończyło się to bitwą. Dlaczego tym razem było inaczej? Co się zmieniło? Czy Velmeni naprawdę chcieli się porozumieć, czy była to tylko pułapka?

Przeniósł spojrzenie na komandora Abrama Petersa, siedzącego w fotelu dowódcy, który pod nieobecność admirała pełnił jego obowiązki. Szpakowaty mężczyzna nerwowo drapał się po policzku, w każdej chwili gotów wydać rozkaz otwarcia ognia. Nie zgadzał się z admirałem i nawet tego nie krył. Uważał, że velmeński okręt należy zniszczyć, dopóki jest okazja.

Chorąży Xavier Hudson cały czas wywoływał wrogą jednostkę, bez skutku. Nikt się nie spodziewał, że Velmeni odpowiedzą, ale warto było próbować. Istniało prawdopodobieństwo, że wszyscy na pokładzie są martwi, ale równie dobrze mógł być to całkowicie zautomatyzowany okręt, który nie potrzebował załogi i uaktywnił się w momencie, gdy zbliżył się do niego „Hajmdal”. W głowie podporucznika Brahego kłębiło się mnóstwo pytań i hipotez. Westchnął ciężko. Spekulacje nie miały najmniejszego sensu. Postanowił skupić się na swoich obowiązkach.

Spojrzał na holograficzne dane, wyświetlane na konsoli taktycznej, i raz jeszcze przeanalizował wszystkie dostępne opcje. Jeśli teraz otworzyliby ogień, po minucie z velmeńskiego okrętu pozostanie wrak, ale jeśli tylko admirał znajdzie się na jego pokładzie, nie ma zbyt wielu możliwości. Żadna wybrana strategia ostrzału nie zagwarantuje bezpieczeństwa oddziału abordażowego. Podporucznik Tycho Brahe zgadzał się z Petersem. Powinni zniszczyć wrogi okręt i czym prędzej wynosić się z tego układu. Ale admirał Kashtaritu był innego zdania.

– Dowódca klucza czerwonego melduje o zakończeniu pościgu – poinformował oficer łącznikowy. – Cele zostały zlikwidowane. Prosi o dalsze rozkazy.

Komandor Abram Peters pokiwał w zadowoleniu głową. Potem zmrużył oczy, jakby sobie o czymś przypomniał.

– Co z kluczem porucznika Benneta? – zapytał.

– Zgodnie z wcześniejszymi rozkazami krąży wokół velmeńskiego krążownika, cały czas pozostając w gotowości bojowej.

– Dobrze – odparł Peters. – Niech klucz czerwony do nich dołączy. Albo nie! Niech wracają na pokład „Hajmdala”. Wykonali zadanie i zasługują na odpoczynek.

Skonsternowani oficerowie spojrzeli po sobie. Komandor nie posiadał takiego autorytetu i charyzmy jak Kashtaritu, ale podobne niezdecydowanie nie leżało w jego naturze. Widać było, że jest zdenerwowany. Pocił się i drżały mu ręce. Nie pierwszy raz zastępował dowódcę okrętu, ale po raz pierwszy nie dawał sobie rady ze stresem.

Tycho Brahe bezwiednie spojrział na ekran wizualny, licząc na to, że dostrzeże myśliwce klucza czerwonego wracające na pokład hangarowy. Ale wszystkie kamery skierowane były na pancernik. Miał nadzieję, że Valeria bezpiecznie wylądaje. Cały czas się o nią martwił. Obawiał się, że może jej się coś stać. Wolałby, żeby nie latała na misje bojowe, ale wiedział, że oczekuje niemożliwego. Ona nie mogła bez tego żyć. Bez adrenaliny związanej z pilotowaniem myśliwca, z walką w przestrzeni kosmicznej. Gdyby jej to odebrać, nie byłaby sobą. Poza tym to był jej obowiązek, tak jak jego pozostać na mostku okrętu do samego końca. Oboje byli oficerami terrańskiej floty i wiedzieli, co to oznacza. Powinni być gotowi oddać życie w służbie ludzkości.

Tymczasem Jonathan Anderson podprowadził drednota pod velmeński krążownik tak blisko, że obie jednostki stykały się niemal burtami. „Hajmdal” był większy, co podnosiło terrańskich oficerów na duchu.

W stronę pancernika wystrzelono cumy magnetyczne. Tycho Brahe wstrzymał oddech, spodziewając się reakcji ze strony Velmenów. Oczyma wyobraźni widział, jak otwierają się pokrywy w kadłubie wrogiego okrętu i działka obrony bezpośredniej otwierają ogień. Przy tej odległości wiązki laserowe bez problemu przedarłyby się przez osłony energetyczne drednota i zmasakrowały setki ludzi. Na szczęście nic takiego nie nastąpiło.

– Rękaw abordażowy zamocowany – oznajmił oficer nadzorujący akcję. – Grupa abordażowa przygotowana do wejścia na pokład velmeńskiej jednostki.

Komandor Abram Peters westchnął ciężko. Poprosił łącznościowca, żeby połączył go z admirałem.

– Nathanielu?

– *Tak?*

– Jesteś pewny, że chcesz to zrobić?

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

– *Nie* – odparł wreszcie admirał. – *Ale nie mamy innego wyjścia. Musimy dowiedzieć się, o co chodzi.*

– Ale dlaczego ty?!

– *Mam przecucie, że właśnie ja muszę tam wejść.*

Peters prychnął gniewnie.

– *Narażasz życie!*

– *Nie martw się o mnie, przyjacielu – rzekł ze śmiechem Kashtaritu. – Mam u boku sierżanta Campbella i jego ludzi. To Velmeni powinni się bać.*

Komandor odpowiedział trochę wymuszonym śmiechem.

– *Możecie ruszać – oznajmił. – Meldujcie o wszystkim. Powodzenia.*

– *Dzięki – odpowiedział admirał. – Bez odbioru.*

Tycho Brahe żałował, że mają jedynie komunikację radiową. Przed bitwą w systemie Zeta Monocerotis sztab operacji lądowych dysponował pełnym monitoringiem i obrazem z kamer żołnierzy, dzięki czemu można było całą akcję śledzić na ekranie. Inżynierowie obiecali przywrócić ten stan rzeczy, ale jak na razie to nie była najważniejsza pozycja na liście ich priorytetów.

– *Przeszliśmy przez korytarz abordażowy i dotarliśmy do drzwi śluzy pancernika – głos należał do Elektry Ramos, dowodzącej Plutonem 1, którą wyznaczono do relacjonowania przebiegu akcji. – Przystępujemy do przecięcia grodzi palnikiem... Zaraz. Grodzie są odbezpieczone. Tak jakby na nas czekali.*

Na mostku niemal namacalnie wyczuwało się atmosferę napięcia. Wszyscy z niepokojem oczekiwali kolejnego komunikatu. Nikt nie śmiał się poruszyć, nawet głośno oddychać. I wówczas w panującej ciszy rozbrzmiał zimny głos chorąży Gladys Gaumaty:

– Lidar wykazał ruch na obrzeżach systemu gwiazdowego. Wiele obiektów! Bardzo wiele!

– Ile? – zapytał przerażony komandor Peters.

– Ponad siedemset – odparła chorąży. – Nie! Już blisko tysiąc. Wygląda, jakby całe skupisko planetoid właśnie się ruszyło.

Tycho Brahe zbladł. Był przekonany, że mają do czynienia z niewielką gromadą Luusaat, a tymczasem okazało się, że to największy rój, o jakimkolwiek słyszał. Przekonał admirała, że nie ma się czego obawiać. Teraz tego żałował. Pomylił się również co do tego, że rój odpuści sobie inwazję na układ gwiazdny, gdy zdołają zniszczyć okręty zwiadowcze. Poczzerwieniał, napotykając rozwścieczone spojrzenie Abrama Petersa.

– Za jaki czas do nas dotrą? – Komandor przeniósł wzrok na stanowisko teledetekcji.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Chorąży Gaumata? – zirytował się pełniący obowiązki dowódcy.

W oczach kobiety pojawiło się zdumienie.

– *Zawracają – rzekła. – Okręty-asteroidy opuszczają system gwiazdny i kierują się*

w kosmiczną pustkę.

Brahe poczuł ulgę. Przynajmniej w tym się nie pomylił. Luusaat po stracie zwiadowców stwierdzili, że nie będą ryzykować zagłady całego roju, i polecili szukać innego miejsca.

– *Weszliśmy do środka* – z głośników dobiegł głos Ramos. – *Okręt wygląda na opuszczony. Zmierzamy korytarzem w stronę mostka...*

Nagle ucichła.

Następne, co dało się słyszeć, to krzyki i szczęk karabinów maszynowych.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Ziemia trzęsa się, hałas rósł. Dopiero teraz Ezra uświadomił sobie, że słyszał już takie dudnienie, i zorientował się, co ono oznacza, zanim ujrzał, co się dzieje. Po drugiej stronie ulicy pojawili się jaszczurzy jeźdźcy na swoich bestiach. Runęli na wampiry w szalonej szarży, dźgając długimi włóczniami, tnąc potężnymi mieczami i waląc olbrzymimi toporami. Trafiali jednak w pustkę, bo szybcy i zwinni Luusaat nie dali się zaskoczyć.

Leahy z jednoczesnym przerażeniem i fascynacją spoglądał, jak wątle wampiry bez trudu ściągały z siodeł masywnych jeźdźców, a potem masakrowały ich, rozrywały szponiastymi palcami, kłami rozszarpywały gardła i chłeptały niebieską krew.

Padły pierwsze strzały. Któryś ze szturmowców, ukryty w budynku po lewej stronie, najwidoczniej nie wytrzymał napięcia i otworzył ogień z intruza. Seria pocisków nie trafiła żadnego z Luusaat, za to uczyniła spustoszenie w szeregach jaszczurzych jeźdźców.

– *Wstrzymać ogień!* – dał się kapitan Dash w słuchawkach. – *Nie strzelać!*

„Nie tak to miało wyglądać” – myślał gorączkowo Leahy. „Coś poszło nie tak”.

Kawaleria jaszczurów miała uderzyć dopiero po ostrzale wampirów przez terrańskich żołnierzy. Ezra przyjrzał się masakrowanym jeźdźcom. Wszyscy nosili purpurowe barwy. To byli wojownicy Yōdhudy. I nagle wszystko stało się jasne dla młodego sierżanta.

Wódz rywalizującego klanu, pokonany w walce i poniżony przez Voazonę, który ostatecznie darował mu życie, najwidoczniej postanowił się zrehabilitować i nie bacząc na ustalenia taktyczne, ruszył na wroga.

Leahy nie potrafił ocenić, ilu ich było. W szarży mogło wziąć udział około trzydziestu jeźdźców, ale teraz na placu boju pozostało zaledwie kilku, w tym sam Yōdhuda, który wymachiwał dwuręcznym młotem bojowym, próbując opędzić się od dwóch wampirów.

Ezra nie czekał. Mocniej chwycił karabin, przeskoczył barykadę i głośno wrzeszcząc, zaczął biec, cały czas naciskając spust C-24. Rozgrzana lufa wypluwała kule, ale pociski tak małego kalibru nie robiły Luusaat krzywdy. Dla nich były to zaledwie ukłucia komara. Skutecznie jednak odwróciły uwagę od Yōdhudy. Teraz wampiry ruszyły na Ezrę.

Nie wiedział, jakim sposobem tak szybko znalazły się przy nim. Jeszcze sekundę temu dzieliło go od nich przynajmniej dziesięć metrów, a teraz spoglądał w rozwarte, ociekające krwią szczęki. Zadziałał instynkt. Ezra wykonał błyskawiczny unik,

uciekając przed pierwszym z wampirów, a drugiego uderzył kolbą karabinu w twarz tak mocno, że przeciwnik cofnął się trzy kroki. Normalnego człowieka taki cios pozbawiłby życia lub przynajmniej przytomności, ale Luusaat tylko potrząsnął głową i rozgniewany ruszył do natarcia.

Nagle wampir jęknął z bólu, gdy kule kalibru dwunastu milimetrów wzbily fontannę krwi, dosłownie wrywając z niego kawałki ciała. Ezra obejrzał się i dostrzegł Ivara, który również opuścił bezpieczną kryjówkę i teraz, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, pruł z peruna. Za jego przykładem poszli pozostali żołnierze, ukryci za barykadą. Wtem Ezra poczuł podmuch wiatru i zrozumiał, że popełnił błąd, tracąc z oczu drugiego wampira.

Stwór przypadł od tyłu, próbując wgryźć się Leahy'emu w szyję. Tym razem bardziej niż instynkt zadział automatyczny odruch wyrobiony przez setki godzin spędzonych na sali treningowej. Leahy przerzucił wroga przez plecy, a gdy ten znalazł się na ziemi, wpakował w niego serię z karabinu. Niestety, nie na wiele się to zdało. Luusaat zaczął się podnosić, ale wówczas bijak dwuręcznego młota bojowego opadł na czaszkę wampira, miażdżąc ją doszczętnie. To była sprawka Yōdhudy, który z zakrwawioną bronią do której przykleiły się skrawki skóry, tkanek i mózgu, stanął nad trupem, żeby poprawić raz jeszcze. Zadowolony z dzieła zniszczenia, spojrzął na Ezrę i skinął mu głową w podziękowaniu za wcześniejszą pomoc. A potem rzucił się w wir walki.

Leahy rozejrzał się po placu boju. Do walki dołączyła jazda Voazoni, którą przywiódł sam wódz na potężnej bestii. Impet szarży stratował dwa wampiry, które jednak wyszły z tego bez szwanku. Voazona zawrócił i jednemu z nich uciął głowę potężnym mieczem.

Rozpoczęła się rzeź.

Z oddziału Yōdhudy został tylko wódz i jeszcze czterech wojowników, którzy walczyli teraz pieszo pomiędzy truchłami bestii. Udało im się dopaść jeszcze jednego wampira, którego ciało zmiażdżyli młotami i porąbali toporami. Jeremiasz Ruon spalił miotaczem kolejnego, którego udało mu się przyszpilić do barykady. Potwór płonął wraz z deskami.

Pozostało sześć poczwar.

Rozdzieliły się. Trzy znikły we wnętrzu budynków, gdzie ukrywali się szturmowcy. Dochodziły stamtąd strzały, krzyki umierających ludzi i potępieńcze wycie wampirów. Reszta pozostała na zewnątrz, w tym ten najwyższy, odziany w czarną szatę z kapturem. Nie uczestniczył w jatce. Stał jak posąg, zwrócony w stronę Ezry. Młody sierżant ponownie poczuł wzbierający strach. Tym razem jednak się nie poddał. Warknął wściekle, uniósł broń i posłał serię w stronę wampira. Luusaat nawet tego nie poczuł. Spokojnym, majestatycznym krokiem, nie zwracając uwagi na trwającą wokół bitwę, tryskającą krew i pobratymców żerujących na trupach, ruszył

w stronę sierżanta. Leahy sięgnął po granat i rzucił go. Wybuch wstrząsnął okolicą, ale gdy dym się rozwiął, Leahy zobaczył, że Luusaat pozostał niedraśnięty. Nawet nie zwolnił kroku.

Ezra ciężko przełknął ślinę i zrobił krok do tyłu. Nie wiedział, jak ma walczyć z potworem, który wydawał się niezniszczalny. Rozejrzał się, szukając pomocy. Jaszczurzy wojownicy umierali jeden po drugim, próbując walczyć z wampirami, ludzie zaś szukali osłon i ostrzeliwali się z za nich. Dostrzegł Abigail przycupniętą za zwłokami jaszczurzej bestii. Jej karabin snajperski leżał obok, a ona strzelała z agresora, zabranego jakiemuś martwemu szturmowcowi. Nieco dalej, za kamiennym korytem do pojenia zwierząt, stanowisko zajęli Tobias i Miriam. Na zmianę strzelali i chowali się. Natomiast Ivar Björk ukrył się w budynku i stamtąd prowadził ostrzał. Udało mu się położyć trupem jeszcze jednego wampira, którego rozczłonkowane pociskami ciało leżało teraz w kałuży krwi.

Przywódca Luusaat przekroczył je i nadal zbliżał się do Ezry.

– *Wycofać się!* – usłyszał w słuchawkach spanikowany głos Dasha. – *Wszyscy mają się wycofać do...*

Krzyk głównodowodzącego operacjami specjalnymi niemal rozsadził bębunki w uszach Ezry. Nie miał wątpliwości, że Dash poległ. Zgodnie z regulaminem dowodzenie powinien objąć sierżant Khaidu, ale Leahy nie miał pojęcia, gdzie jest Shadracg.

Tymczasem wampir w kapturze był coraz bliżej.

Zwiadowca postąpił krok do tyłu. I jeszcze jeden. Potem następny. Instynkt podpowiadał, żeby natychmiast obrócić się na pięcie i zacząć uciekać jak najszybciej. Ukryć się gdzieś, gdzie ten potwór go nie znajdzie. Może w ten sposób uratuje życie? Jednak nie mógł zostawić swoich ludzi, opuścić posterunku. Przecież był żołnierzem terrańskich sił zbrojnych, dowódcą elitarniej Siódemki i miał obowiązek pozostać na placu boju do samego końca. Zginie, ale nie podda się bez walki.

Uderzył plecami w barykadę. Nie było już ucieczki. Pozostało mu jedno. Odrzucił karabin, wyciągnął z za pasa wibroostrze, wykrzywił usta w paskudnym uśmiechu i wycedził:

– No chodź, skurwysynu!

SYSTEM ALMAAZ PAŁACOWA PLANETA NŪSHEN

Doktor Sandra Thushpa wpatrywała się w mistrzynię, próbując rozpoznać w niej swoją matkę. Po raz ostatni widziała ją dwadzieścia lat temu, gdy była jeszcze małą dziewczynką, i inaczej ją zapamiętała. W jej wspomnieniach była cudowną istotą o anielskiej urodzie, długich, ciemnobrązowych włosach, dźwięcznym głosem, którym śpiewała jej kołysanki lub recytowała uspakajające mantry. Opiekuńcza, emanująca ciepłem i miłością.

Tymczasem stojąca przed nią kobieta wyglądała niczym upiór. Ubrana w czarną suknię z gorsetem, obszytą koronkami i rozkloszowaną u dołu, próbowała uchodzić za arystokratkę z Imperium Teegardeańskiego, a w rzeczywistości była jej groteskową karykaturą. Całości dopełniała trupio blada twarz, zeszpecona wtopionymi w nią metalowymi implantami, i wyblakłe oczy, na których białkach widoczne były przesuwające się velmeńskie symbole. Ale te oczy, niegdyś koloru morskiej toni, świadczyły o pokrewieństwie z Sandrą.

– Mamo – wyszeptała Thushpa i postąpiła krok, jakby chciała rzucić się kobiecie w ramiona, dać się utulić, jak wówczas, gdy była dzieckiem. Coś w postawie matki i jej zimnym spojrzeniu powstrzymało ją jednak przed takimi gestami. Mistrzynie przekrzywiła głowę i przyglądała się córce niczym doświadczalnemu zwierzęciu w laboratorium.

Sandra poczuła, jak wzbiera w niej złość. Sama nie wiedziała, czego się spodziewała po tym spotkaniu. Pragnęła zadać tak wiele pytań, dowiedzieć się, co skłoniło matkę do podjęcia takich, a nie innych decyzji, spróbować zrozumieć, dlaczego ją zostawiła, a może nawet wybaczyć. Ale wyglądało na to, że mistrzyni wcale nie widzi w niej córki, ani nawet istoty ludzkiej, tylko obiekt badawczy.

– Szukałam cię – oznajmiła oschle Sandra. Nie chciała, żeby tak to zabrzmiało.

– Wiem – odparła mistrzyni. – Nasze spotkanie było nieuniknione. W kontinuum czasoprzestrzennym istnieją punkty węzłowe, zdarzenia, które muszą zaistnieć. To było jedno z nich. Pytia przepowiedziała, że to nastąpi w systemie Almaaz.

– Pytia? – Sandra spojrzała na dziwną istotę, otoczoną przez pretorianów. – To hybryda!

– Zgadza się. Jeden z projektów genetycznych Ardhanari.

Sandra przeniosła spojrzenie z powrotem na matkę.

– Tak jak ty – wycedziła.

– Tak jak my – odparła mistrzyni. – Jesteś częścią ich projektu.

Sandra pokiwała głową. Trudno było temu zaprzeczyć. Chcąc nie chcąc, brała

w tym udział. Była jedynym dzieckiem istoty powstałej z połączenia człowieka i Ardhanari.

– Jeśli to cię pocieszy, to jeden z głównych koordynatorów projektu już nie żyje.

– Rhw'kho?!

– Zasłużyło na to – stwierdziła beznamiętnie mistrzyni.

– Jak zginęło?

– Zostało zabite podczas abordażu. Siedziało w centrum łączności, próbując skomunikować się ze mną i wynegocjować warunki poddania. Ale ja nie miałam mu nic do powiedzenia.

Sandra zrozumiała, że Rhw'kho jej nie okłamało. Sądziła, że uciekło prywatnym promem, tymczasem naprawdę udało się do centrum łączności. Ta wiedza wcale nie poprawiła jej humoru. Poczula żal.

– Nienawidziłam go – mówiła dalej jej matka. – Dorastałam w centrum badawczym, które koordynowało. Można powiedzieć, że to ono mnie stworzyło, a potem ukształtowało. Nauczyło wszystkiego, pokazało rzeczy, o których nawet ci się nie śniło, i otworzyło na niezwykle doznania.

Sandra spąsowiała, gdy dotarło do niej, jakiej natury były to doznania.

– To jednak nie wystarczyło, żeby mnie zatrzymać. Uciekłam. Okazało się, że więcej miałam z człowieka niż z Ardhanari. Obudziła się we mnie buntownicza dusza. Ludzie mają to do siebie, że dążą do zmian, pragną zawsze czegoś, co jest dla nich nieosiągalne.

– To marzenia.

– Niepotrzebny balast.

– Dzięki nim jesteśmy kreatywni.

– I głupi – odparła kobieta. – Teraz, z perspektywy czasu, uważam, że to był błąd, ale błąd, który doprowadził mnie w to miejsce i uczynił tym, kim teraz jestem.

Sandra spojrzała w jej puste oczy i cicho westchnęła.

– Czy ojciec wiedział, kim jesteś? – spytała.

– Na początku nie – odparła mistrzyni. – Myślał, że pochodzę z Imperium Teegardeańskiego, ale potem, gdy zaczął zajmować się polityką i miał wgląd w tajne projekty, zaczął łączyć fakty i pewnych rzeczy się domyślać. Musiałam wyjawić mu prawdę.

– Nic mi nie powiedział – rzekła ponuro Sandra.

Postanowiła zmienić temat. Wskazała na Pytię.

– Kim ona jest?

– Wyrocznią.

– Przepowiada przyszłość?

– Tak.

Thushpa szeroko otworzyła oczy. W tym momencie cały jej strach i emocje

związane ze spotkaniem rozwiały się, a górę wzięła naukowa ciekawość. Podeszła bliżej, żeby uważnie przyjrzeć się niezwyklej istocie, która cały czas szeptała coś w obłądnym transie.

– Ardhanari pracowali nad tym projektem bardzo długo i poświęcili mu wiele energii, ale produkt końcowy nie zaspokajał ich oczekiwań. Porzucili więc projekt, a raczej nam go oddali. Okazało się, że odpowiednia stymulacja mózgowi Pytii zwiększa prawdopodobieństwo trafności wizji. Wszystkie przekazane nam obiekty otrzymały błogosławieństwa...

– Zaimplantowaliście im cyberwszczepy!

– Zostały udoskonalone – metaliczny głos mistrzyni brzmiał beznamiętnie, ale pojawiła się w nim jakaś nuta irytacji.

– Poddane modyfikacjom – sprostowała Sandra.

Kobieta tym razem nie zareagowała. W milczeniu spoglądała na córkę. Na jej twarzy nie malowały się żadne emocje. Minęła chwila, zanim ponownie się odezwała.

– Teraz wizje są klarowne, przekaz czystszy, a predykcje bardziej trafione.

– Ale nadal nie są stuprocentowo pewne?

– Nie – przyznała mistrzyni. – Na przykład przepowiedziała, że znajdziemy cię w systemie Almaaz, ale na terrańskim promie „Zenit”.

– O mały włos się na nim nie znalazłam – stwierdziła Sandra.

– Rozkazałam nie strzelać do niego, tylko go przejąć. Masz pojęcie, jakie było moje zdziwienie, gdy cię na nim nie znaleziono?

– Domyślam się – odparła z przekąsem Sandra i zaraz zbladła, przypominając sobie o Lasancie i Zao. – Co stało się z załogą?

– Zostali wzięci do niewoli. Zostaną poddani modyfikacjom.

Sandra odetchnęła z ulgą. Po tym, jak ją zostawili samą na łasce Velmenów, nie powinna zupełnie się nimi przejmować, a jednak uspokoiła ją informacja, że żyją. Zastanawiała się tylko, czy śmierć nie byłaby lepsza od tego, co ich czeka.

Ponownie skupiła uwagę na Pytii. Obeszła ją, przyglądając się drobnej twarzy, kremowej skórze, wysmukłym kończynom, próbując dociec, czy geny ludzkie, czy też Ardhanari są odpowiedzialne za poszczególne elementy jej budowy anatomicznej. Nie potrafiła tego ustalić. Za to nie miała wątpliwości co do pochodzenia cyberwszczepów szpecących ciało wieszczki.

– Powiedziałaś, że została wam tylko jedna.

– To prawda – odparła mistrzyni. – Dziewięć na dziesięć obiektów nie przeżywa operacji wszczepienia implantów.

– To straszne!

– Cały czas myślisz ludzkimi kategoriami.

– Jestem człowiekiem! Ty też!

Mistrzyni skrzywiła się z niesmakiem, jakby to stwierdzenie było dla niej

obraźliwe.

– Tylko ta przeżyła – Sandra bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Nie – odparła kobieta. – Pozostały trzy.

– Gdzie zatem są pozostałe?

– Jedna uciekła, a druga trafiła niepowołane ręce.

Mistrzynie skinęła głową i natychmiast jeden z pretorianów podszedł do Sandry, żeby okryć ją płaszczem prawdopodobnie należącym do jakiegoś bahiriańskiego arystokraty. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że cały czas była w bieliźnie i marzła.

– Co ona teraz robi? – spytała, wskazując Pytię.

– Lokalizuje.

Sandra pobladła. Spojrzała przestraszona na mistrzynię.

– „Hajmdala”?

– Nie. – Na białych ustach kobiety pojawił się nikły uśmiech. – Pytie z jakiegoś powodu nie mogą go dostrzec. Dziwnym trafem w tej kwestii wszystkie są zupełnie ślepe.

Thushpa odetchnęła z ulgą. Pomimo tego, że porzuciła Federację Terrańską i uciekła z drednota, nadal zależało jej na bezpieczeństwie załogi. Na bezpieczeństwie ojca. I... Ezry.

– Ale nie potrzebuję wyroczni, żeby wiedzieć, dokąd zmierza „Hajmdal” – oznajmiła mistrzyni.

– Jak to?

– Mamy na pokładzie szpiega.

Krew z twarzy Sandry ponownie odpłynęła.

– Nie wierzę.

Mistrzynie wzruszyła ramionami.

– Nie musisz.

Thushpa pochyliła głowę, żeby kobieta nie mogła dojrzeć łez zbierających się w jej oczach. Dobrze wiedziała, co to oznacza dla wszystkich ludzi na pokładzie.

– Obchodzi cię to? – spytała ją matka.

– Tak.

– Typowo ludzkie. – Mistrzynie skrzywiła się z niesmakiem i kontynuowała natchnionym tonem: – Emocje są tylko niepotrzebnym balastem, który przeszkadza w osiągnięciu doskonałości i zespoleniu się z bóstwem. Ograniczeniem, które należy odrzucić w imię cybernetycznego absolutu!

Sandra postanowiła nie wdawać się z nią w dyskusję, obawiając się, że matka będzie namawiała ją do przyjęcia błogosławieństwa, a może nawet żądała tego. Postanowiła szybko zmienić temat.

– W takim razie co ona lokalizuje?

– Wroga.

Sandra uniosła pytająco brew.

– Kim on jest?

– To Ahaswer.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Luusaat zbliżył się na tyle, że Leahy mógł dostrzec jego oblicze pod kapturem. Młody sierżant zadrżał, widząc bladą twarz, na której wyraźnie odbiło się piętno długowieczności. Stwór miał cienką, pergaminową skórę z widocznymi, pulsującymi żyłami i głęboko osadzonymi onyksowymi oczami. Wyzierał z nich odwieczny mrok.

Ezra nie poddał się strachowi. Postąpił do przodu. Był gotowy.

Zatrzymali się trzy kroki od siebie, przyglądając się sobie uważnie. Wokół panował bitewny zgiełk. Kule świszczały nad głowami, powietrze rozdzierały krzyki umierających i ohydny mlask rozrywanych ciał. Ale oni nie zwracali na to uwagi. Szykowali się do walki. Człowiek i wampir.

Leahy poczuł smród. Woń zgnilizny, połączoną z zapachem świeżej, niedawno przelanej krwi. Stwór wyszczerzył potężne kły, których nie powstydziliby się dzikie zwierzę. Bez wątpienia był drapieżnikiem. Wiecznie głodnym i nienasyconym. Gotowym natychmiast uderzyć i pozbawić życia. Ezra dostrzegł nieznaczny ruch, skręcenie biodra i wiedział, że od starcia dzielą ich zaledwie ułamki sekund. Mocniej chwycił rękojeść wibroostrza z nadzieją, że przed śmiercią zdoła chociaż zranić przekłętego krwiopijcę.

Wampir ruszył. I wówczas stało się coś nieoczekiwanego. Luusaat został porwany przez latającą bestię. Próbował się szarpać i wyrwać, ale ta trzymała go mocno w swoich szponach. Zdumiony Ezra spojrzał w górę i dostrzegł, jak skrzydlaty stwór znika we mgle. Z niej zaś wyłoniły się kolejne, prowadzone przez jaszczurzych wojowników. Pikowały w dół, próbując dopaść pozostałe wampiry. Ale element zaskoczenia już przysł.

Leahy ujrzał, jak jeden z Luusaat wykonuje błyskawiczny unik, chwytając bestię w locie za błoniaste skrzydła i rzuca nią o ścianę budynku. W powietrze wzbił się żałosny jęk umierającego zwierzęcia. Inny z krwiopijców wyrzucił z siodła jaszczurzego wojownika, a zdeorientowany wierzchowiec, pozbawiony jeźdźca, wzbił się w niebo i odleciał na wschód.

Z budynków wybiegły pozostałe wampiry. Skąpane we krwi, ruszyły na pomoc swoim pobratymcom. Zabijanie szło im sprawnie, chociaż latające stwory uderzały potężnymi dziobami, szarpały, wlatywały w powietrze i pikowały na wrogów.

Widząc to, Luusaat skupili się na dosiadających ich jaszczurach. Po stracie jeźdźca zwierzęta wpadały w panikę i uciekały bądź atakowały na oślep nawet tubylców. Tak zginął Yōdhuda, który został porwany i zrzucony z wysokości ponad dziesięciu metrów. Trzask łamanych kości przebił się nawet przez bitewny zgiełk.

Powietrzną kawalerię wspierały pozostałe jaszczury, które walcząc pieszo, rąbały i siekły krwiopiców, a także ludzie prujący z karabinów i miotaczy ognia. Z budynku wybiegli szturmowcy. Ezra z przerażeniem stwierdził, że przy życiu pozostało ich zaledwie czterech. Wśród nich był Shadrag Khaidu. Sierżant ledwie trzymał się na nogach. Krwawił z wielu ran, miał rozorany pazurami bark i przetrącone lewe kolano, ale dźwigał potężnego intruza. Musiał zabrać go jakiemuś poległemu żołnierzowi, bo sam wcześniej miał tylko agresora. Założył pancierz bojowy i podłączył do niego przewody zasilające broń. Dziewięć luf plunęło, siekając kulami ciało jednego z Luusaat. Wampir runął na ziemię. Zaraz podbiegli do niego jaszczurzy wojownicy z toporami.

Ezra ruszył do ataku. Nie mógł tak stać i gapić się, jak inni walczą. Nie miał co prawda miotacza ani ciężkiego karabinu, ale to było bez znaczenia. Podbiegł do najbliższego Luusaat i wyprowadził szybkie cięcie wibroostrzem. Żaden człowiek nie miał szans się przed tym obronić, ale to był wampir. Krwiopicja wykonał unik i odpowiedział ciosem, po którym zwiadowca poleciał dobre trzy metry i uderzył plecami o ziemię. Natychmiast próbował się podnieść, ale był zbyt oszołomiony. Opadł z powrotem, przekonany, że ma połamane wszystkie kości. Wtem ktoś dźwignął go do góry. To był Bishop.

– Zupełnie ci odjechało? – warknął Tobias. – Z wibroostrzem na wampira?

Podeszła Miriam, wcisnęła mu w rękę agresora, a na szyi zawiesiła ładownice z magazynkami. Na wampiry ten karabin był tylko nieco bardziej skuteczny niż C-24, ale lepsze to niż nic. We trójkę otworzyli ogień do krwiopicja, który wcześniej cisnął Ezrą. Wampir zachwiał się, ale utrzymał na nogach. Bishop przerwał ostrzał, żeby przeładować broń. Po chwili karabin Ezry również wydał głuchy szczęk. Sięgnął do ładownicy po magazynek i znowu strzelał. Wreszcie zrezygnował i wyciągnął granat. Odbezpieczył i rzucił.

– Padnij! – krzyknął do towarzyszy.

Huknęło.

Dym się rozwiął i zwiadowcy jęknęli ze zgrozą. Wampir krwawił z wielu ran, trzymał się za kikut oderwanej ręki, ale cały czas żył. Warknął wściekle, ale ustąpił. Wycofał się.

Doskoczył do ściany budynku i pomimo braku jednej ręki zaczął się po niej błyskawicznie wspinać. Po chwili był już na dachu. Zwiadowcy opuścili karabiny. Nie mieli szans go trafić.

Wtem dopadły go dwie skrzydlate bestie i rozerwały na pół. Krew trysnęła, opryskując ludzi czerwonym deszczem.

– Tak! – krzyknął rozradowany Tobias i wałnął Ezrę w plecy. Ten jęknął z bólu. Normalnie nawet by się nie skrzywił, ale teraz odczuwał skutki starcia z wampirem.

– Zostało jeszcze trzech – rzekł.

Pozostali na placu boju Luusaat nie byli już tak pewni siebie. Zaspokoili głód i żądzę zabijania, więc teraz najchętniej zaszyliby się w jakiejś dziurze, pogrążając w błogim letargu. Ponadto stracili przywódcę, który porwany przez latającą bestię pewnie już nie żył.

Luusaat zaczęli się wycofywać. Wampiry próbowały uciec tą samą drogą, którą przyszły, ale od wylotu ulicy czekali na nich Ivar z perunem i sierżant Khaidu z intruzem oraz Voazona wraz z dwoma tuzinami gwardzistów. Wśród nich byli wojownicy w purpurowych barwach, którzy po śmierci wodza oddali się pod dowództwo władcy Sāpiry. Nad głowami wampirów krążyły skrzydlate bestie, które od czasu do czasu pikowały w dół, próbując któregoś dopaść.

Nagle jeden ze skrzydlatych nie zdołał wznieść się ponownie w górę i zarył głową w ziemię. Poniósł śmierć na miejscu. Natomiast kierujący nim jaszczur wyleciał z siodła i przekoziółkował prosto pod nogi trójki zwiadowców. Szybko wstał, otrzepał się i wyciągnął miecz. Stanął z nimi w jednym szeregu. Ezra poznał go, mimo że wszyscy tubylcy byli do siebie podobni. To był Dhēle, młody wojownik, któremu Gonzalez uratował życie.

Wampiry doszły do wniosku, że nie przebiją się przez ścianę pocisków z ciężkich karabinów maszynowych, i spróbowały szczęścia z drugiej strony ulicy. Ruszyły na barykadę. Tutaj znajdowała się zaledwie garstka terrańskich żołnierzy i jeden jaszczur. Jednak Dhēle się nie liczył, bo wyposażony w miecz miał niewielkie szanse w walce z Luusaat.

Wampiry biegły groteskowo pochylone, z rękoma zwisającymi niemal do ziemi, ale błyskawicznie pokonywały dystans, przeskakując nad trupami zwierząt, jaszczurów i ludzi. Ezra z przerażeniem zauważył, że zbliżają się do pozycji, którą zajmowała Abigail. Dziewczyna waliła do nich z agresora. Ale po chwili skończyły jej się naboje, rzuciła karabin i zaczęła uciekać. Leahy ruszył jej na pomoc. Strzelał w biegu, aż usłyszał charakterystyczny zgrzyt. Zaklął. Sięgnął do ładownicy, ale była pusta. Ponownie zaklął. Nie miał nawet wibroostrza, które zostało tam, gdzie upadł.

Tymczasem wampiry doścignęły Torres. Najbliższy machnął szponiastą dłonią i rozorał jej udo. Trysnęła krew. Abigail krzyknęła z bólu. Upadła. Szybko przekoziółkowała, schodząc z drogi biegnącym Luusaat. Dwaj pognali dalej, ale trzeci cofnął się, żeby dokończyć dzieła.

Ezra dopadł go, gdy ten już pochylał się nad leżącą dziewczyną. Sierżant nie przypuszczał, że ma w sobie tyle siły. Powalił wampira i zaczął go okładać pięściami. Strach o Abigail zamienił się we wściekłość. Walił z całych sił, wrzeszcząc jak opętany. Nie czuł bólu w zdzieranych kłykciach, pragnął jedynie zamordować, zmasakrować przeklętego stwora.

Twarz wampira zaczęła przypominać miazgę, a w głęboko osadzonych, czarnych oczach pojawił się lęk. Prawdziwy, pierwotny lęk zaszczutego zwierzęcia. Nie był już

dumnym i pewnym siebie drapieżnikiem, który przybył tu na polowanie, ale słabą, przerażoną istotą. Luusaat próbował się nieporadnie bronić, ale dzisiaj trafił na lepszego od siebie. Prawdziwego drapieżcę.

Wampir ostatkiem sił zdołał zrzucić z siebie Ezrę i pchnął go na leżącego obok martwego jaszczura. Krwiopijca nie dał rady jednak się podnieść i zaczął uciekać na kolanach. Leahy wstał, wyciągnął dwuręczny topór z dłoni martwego tubylca i wolnym krokiem podszedł do wroga. Stanął nad nim, uniósł broń, a potem bez litości opuścił ostrze. Głowa wampira potoczyła się po ziemi. Leahy stał, gapiąc się na zmasakrowane zwłoki.

– Ezra! – usłyszał głos Abigail, przywołujący go do rzeczywistości.

Siedziała, trzymając się za rozoraną nogę, i wyglądała tak, jakby miała zaraz stracić przytomność. Leahy natychmiast do niej podbiegł i pomógł tamować krew. Plecak z apteczką został za barykadą, więc musiał użyć paska, żeby zrobić opatrunek uciskowy powyżej paskudnie wyglądającej rany.

Tymczasem żołnierze pod wodzą sierżanta Khaidu rzucili się w pogoń za dwoma ostatnimi wampirami. Dopadli ich tuż przed barykadą, przyszpilili ogniem z karabinów i miotaczy ognia. Zaraz też pojawił się Voazona ze swoimi wojownikami, którzy ciskali w krwiopijców toporami. Oszalałe z bólu Luusaat w akcie desperacji rzuciły się na prześladowców. Zachowywały się jak dzikie zwierzęta. Gryzły i szarpały. Były silniejsze niż wcześniej, bo słońce systemu Chi Aurigae zdążyło już zajść.

– Idź – wyszeptała blada Abigail. – Pomóż naszym. Nic mi nie będzie.

Ezra wiedział, że to nieprawda. Krytycznie spojrzął na prowizoryczny opatrunek. Potrzebowała apteczki. I to szybko. A ta znajdowała się po drugiej stronie barykady, za plecami wampirów. Sięgnął po topór, którym chwilę wcześniej oderznął głowę krwiopijcy, i ruszył w stronę barykady. Skrzywił usta w ponurym uśmiechu.

Nikt go nie powstrzyma.

SYSTEM CHI AURIGAE VELMEŃSKI PANCERNIK

Starszy sierżant Seth Campbell naciskał spust karabinu szturmowego, który zabrał ze sobą na pokład velmeńskiego okrętu. Wybrał agresora zamiast C-24, bo wiedział, że w starciu z pretorianami karabin zwiadowców na nic mu się nie przyda. Co prawda standardowa broń oddziałów rozpoznawczych charakteryzowała się większą celnością niż szturmowców i można z niej było strzelać zarówno ogniem pojedynczym, jak i seriami, ale agresor posiadał pociski większego kalibru, które mogły przebić pancerze Velmenów. Campbell żałował, że nie mogli wziąć rewolwerów granatnikowych, które doskonale sprawdzały się w walce z pretorianami. Niestety, admirał wyraźnie zakazał ciężkiej broni, twierdząc, że to może źle wpłynąć na negocjacje. Stary dureń naprawdę sądził, że można się dogadać z Velmenami.

Campbellowi od początku się to nie podobało. Uważał, że szaleństwem jest pchać się na wrogi pancernik. Nie miał wątpliwości, że to pułapka. Kiedyś słyszał historię o wojnie toczonej na Ziemi w odległej przeszłości. Niejacy Grecy oblegali Troję, ale w żaden sposób nie mogli jej zdobyć. Wymyślili więc podstęp. Zbudowali wielkiego konia z drewna, w którym ukryli wojowników, i postawili go przed murami miasta, a następnie upozorowali odstąpienie od oblężenia. Rozradowani Trojańczycy wciągnęli konia do środka, uznając go za łup w zwycięskiej wojnie. Pod osłoną nocy greccy wojownicy wyszli z ukrycia, otworzyli bramy wojskom i tym oto podstępem zdobyli miasto. Campbell uważał, że velmeński okręt jest takim właśnie koniem trojańskim.

Na początku wszystko szło zgodnie z planem i nic nie wskazywało, że wydarzy się coś złego. Do śluzy numer siedem dotarł z dwunastoma ludźmi. Nathaniel Kashtaritu już na nich czekał. Chciał iść tak, jak stał, w śnieżnobiałym admiralskim mundurze, ale Campbell wymusił na nim, żeby chociaż założył pancerz szturmowy i hełm. Admirał przystał na to, choć niechętnie.

Przeszli przez rękaw abordażowy i dotarli do grodzi pancernika. Okazało się, że drzwi do śluzy są odbezpieczone, co stanowiło jawne zaproszenie na pokład i utwierdziło admirała w przekonaniu, że Velmeni nie mają złych zamiarów. Campbell był przeciwnego zdania. Cały czas miał w głowie opowieść o koniu trojańskim.

Pancernik wyglądał na opuszczony. Korytarze świeciły pustkami, z sufitu sączyło się słabe światło i działały tylko podstawowe systemy, w tym również podtrzymywania życia. Filtry powietrza pracowały, wtłaczając na pokład tlen niezbędny dla ludzkiego życia. A więc się ich spodziewali. To admirała ucieszyło.

Od razu ruszyli do centralnej części okrętu, gdzie jak przypuszczali, znajdował się

mostek. Z przodu szła Elektra Ramos wraz ze swoimi ludźmi z Plutonu 1, następnie admirał w eskorcie Campbella, pochód zamykał Anthony Pike, dowodzący Plutonem 12. I to właśnie on zginął pierwszy.

Atak nastąpił od tyłu. Sierżant najpierw wyczuł niebezpieczeństwo, a dopiero potem kątem oka ujrzał cień za plecami. Zadziałał instynkt i lata praktyki. Błyskawicznie zasłonił admirała, odwrócił się i wycelował broń w przeciwnika. Spodziewał się ujrzeć połyskujących metalem pretorianów, ale zobaczył potwora z krwi i kości. Powyginane ciało, pomarszczona blada skóra i karykaturalna twarz z otworami zamiast nosa uświadomiły Campbellowi, że ma do czynienia z wampirem.

Krwio pijca dopadł Pike'a i dosłownie go rozerwał. Głowa z klatką piersiową poleciała na ścianę, a reszta z ohydny płaszczyzną rozpryskujących się jelit runęła na podłogę. Żołnierze z Plutonu 12 zaczęli krzyczeć i strzelać. Kule z C-24 jednak nie wywarły żadnego wrażenia na wampirze. W mgnieniu oka zabił kolejnych dwóch zwiadowców i ruszył na admirała. Wtedy Campbell otworzył ogień.

Seria wystrzelona z agresora odrzuciła wampira trzy kroki do tyłu. Potwór zgiął się wpół i runął na kolana. Do sierżanta dołączyli pozostali żołnierze. Huk wystrzałów niósł się echem po korytarzach i mógłby obudzić nawet umarłego. Jednak Luusaat nadal szczyrzył kły. Nagle Campbellowi skończył się magazynek. Natychmiast sięgnął do ładownicy po nowy, ale w tym czasie wampir zdążył się już podnieść. Ruszył prosto na Campbella, rozwścieczony i żądny krwi. Sierżant wiedział, że nie zdąży przeładować. Odrzucił broń i z gołymi rękoma rzucił się na krwio pijcę. Prosto w ramiona śmierci.

Wtem Luusaat eksplodował. Zdumiony Campbell nie zdążył wyhamować i runął na podłogę. Próbował natychmiast stanąć, ale poślizgnął się na krwi i wnętrznościach. Usiadł i spojrzał w górę na swojego wybawcę. Zamarł.

To był pretorianin!

Mierzył ponad dwa metry i posiadał czarne, metaliczne ciało. W pneumatycznie wspomaganym rękach trzymał karabin pulsacyjny. Żarzące się szkarłatem ślepiec nie wyrażały absolutnie nic. Za nim stali następni. Campbell naliczył dwunastu.

Pierwsza zaczęła strzelać Elektra Ramos, a za jej przykładem poszli pozostali zwiadowcy. Byli przerażeni po spotkaniu z wampirem i kierował nimi pierwotny strach, który musiał znaleźć ujście. Kule jednak nie wyrządzały żadnej krzywdy pretorianom, odbijając się od ich pancerzy i rykoszetami stwarzając zagrożenie dla zwiadowców.

– Wstrzymać ogień! – Kashtaritu starał się przekrzyknąć huk, ale nikt go nie słyszał. Seth Campbell ze zdumieniem spostrzegł, że pretorianie nie odpowiadają ogniem. Tubalnym głosem, nawykłym do krzyczenia na podwładnych, powtórzył rozkaz admirała i dopiero wówczas żołnierze przerwali ostrzał.

– Oni nas nie skrzywdzą – oznajmił Nathaniel Kashtaritu, podchodząc do

najbliższego pretorianina. Uważnie mu się przyjrzał. Czerwone oczy Velmena spoglądały gdzieś ponad jego głowę, wypatrując zagrożenia. – Otrzymali rozkaz nas chronić.

– Nieco się spóźnili – warknęła Ramos, wskazując głową martwego Pike’a i dwóch żołnierzy z Dwunastki. Podeszła do zwłok wampira i ze złością je kopnęła. – Musiał za nami wleźć do rękawa abordażowego.

– Poinformujcie Lorde, że znaleźliśmy jej zgubę – rzekł Campbell z przekąsem.

– Już widzę jej minę, jak się dowie, kto odwalił za nią brudną robotę.

Sierżant skrzywił usta w ponurym uśmiechu i spojrzął na pretorianów. Odwrócili się jak na komendę i ruszyli w głąb okrętu. Szli jeden za drugim, w równym rytmie. Ich kroki dudniły w korytarzu.

– Za nimi – rozkazał admirał.

Campbell westchnął ciężko i dał znak zwiadowcom. Ponownie uformowali szyk, tym razem bez trzech żołnierzy, i ruszyli za pretorianami.

Otoczały ich gładkie, stalowe ściany i czyste podłogi, jakby znajdowali się w sterylnym laboratorium, a nie na jednostce wojennej. Okręt lśnił nowością, ale gdzieś tam widać było ślady stoczony bitwy: trochę łat, wgnieceń i sterczących kabli. Uszkodzenia wyglądały na stosunkowo świeże i Campbell zastanawiał się, kto ich tak urządził.

Dwukrotnie minęli inny oddział pretorianów, ale żaden z Velmenów nawet na nich nie spojrzął. To uspokoiło sierżanta. Po raz pierwszy pomyślał, że admirał może mieć rację.

Po dziesięciu minutach dotarli do dużych grodzi, przy których pretorianie się zatrzymali. Ustawili się po obu ich stronach, jakby pełnili wartę.

– Co teraz? – spytał Campbell.

– Czekamy – odparł Kashtaritu.

Sierżant wzruszył ramionami. Opuścił lufę karabinu, ale uważnie przyglądał się Velmenom, gotów otworzyć ogień, gdyby któryś z nich wykonał podejrzany ruch. Ale oni stali niczym posągi. Niewzruszeni i obojętni. Campbell zastanawiał się, czy w ogóle coś czują, czy są tylko zwykłymi maszynami zaprogramowanymi na zabijanie. Jego rozważania przerwał syk otwieranych grodzi.

Kashtaritu nie wahał się i jako pierwszy wszedł do dobrze oświetlonego pomieszczenia, które zgodnie z przewidywaniami było centrum dowodzenia. Jednak w przeciwieństwie do mostków na innych okrętach nie było tutaj stanowisk, konsoli, a nawet załogi. Wzdłuż ścian stały serwery, co potwierdziło przypuszczenia, że velmeńskie okręty sterowane są przez sztuczną inteligencję. Jedyne meble stanowił fotel ustawiony pośrodku pomieszczenia, na którym ktoś siedział, odwrócony do nich tyłem.

– Witajcie na moim okręcie – usłyszeli metaliczny głos w ludzkim języku. – Miło

mi was gościć.

Fotel obrócił się.

– Jestem Ahaswer.

SYSTEM CHI AURIGAE

MGLISTA PLANETA MANJU

Nocą Luusaat były silniejsze. O tym wiedział niemal każdy w Galaktyce. Miało to coś wspólnego ze światłem ultrafioletowym, którego wampiry unikały jak ognia. Mgła otulająca Manju w znacznej mierze zatrzymywała promienie słoneczne, co sprawiało, że te mroczne istoty mogły funkcjonować, ale nie czuły się w pełni komfortowo. Teraz, gdy nad Sāpirą zapanował mrok, osiągnęły pełnię mocy. To sprawiło, że pomimo przewagi liczebnej obrońcy miasta ginęli jeden po drugim.

Wampiry rozszarpywały ciała jaszczurzych wojowników, chwytaly w locie skrzydlate bestie i roztrzaskiwały je o ściany budynków. Zabiły kolejnych dwóch szturmowców, którym nie pomogły solidne pancerze bojowe. Ich rozczłonkowane zwłoki dołączyły do trupów walających się po ulicy.

Leahy podbiegł do barykady. Odnalazł plecak z apteczką i przewiesił przez ramię. Obiecał sobie, że jak tylko dostarczy go Abigail, natychmiast wróci do walki. Ruszył w drogę powrotną. I w tym momencie wyrósł przed nim wampir.

Wyszczerzył czerwone od krwi zęby i rzucił się na Ezrę. Młody sierżant nie dał się zaskoczyć. Wykonał błyskawiczny unik i uderzył dwuręcznym toporem. Luusaat syknął wściekle, gdy ostrze rozorało mu biodro. Taka rana powaliłaby człowieka, ale dla krwiopijcy było to tylko draśnięcie. W oczach zaczęło się regenerować.

Luusaat ponownie zaatakował. Tym razem próbował sięgnąć Ezrę szponiastymi paluchami. Leahy wbił ostrze topora głęboko w trzewia napastnika, ale to również nie zrobiło na nim większego wrażenia. Wampir postąpił dwa kroki w tył i żeleźce gładko wysunęło się z jego brzucha.

Ezra kątem oka dostrzegł, że biegną mu na pomoc dwaj jaszczurzy wojownicy, Ruon z miotaczem płomieni i Tirah strzelający do wampira z C-24. Oczywiście nie mógł tym wyrzucić krwiopijcy żadnej krzywdy, ale przynajmniej próbował coś zrobić. Jednak tym aktem odwagi tylko naraził się na niebezpieczeństwo. Czerwone oczy wampira zajaśniały dziwnym blaskiem, a na jego ustach pojawił się okrutny uśmiech. Ezra z miejsca zrozumiał, co bestia zamierza zrobić.

– Gonzalez! – krzyknął rozdzierająco, ale było już późno.

Luusaat doskoczył do Tiraha, chwycił go za gardło i uniósł. Twarz zwiadowcy nabiegła purpurą. Zaczął się dusić.

Ezra ruszył biegiem. Wiedział jednak, że nie zdąży. Gonzalez zginie. Nie będzie dla niego żadnej przyszłości – przepowiednia się wypełni, a Leahy nic na to nie poradzi.

Nagle w wampira coś uderzyło z impetem. To był Dhēle, który rzucił się na Luusaat i zmusił go do puszczenia Gonzaleza. Po zderzeniu jaszczur upadł i oszołomiony

próbował się pozbierać. Rozwścieczony wampir dźwignął go, uniósł i z potężną siłą cisnął o ziemię. Rozległ się trzask łamanych kości i kręgosłupa.

– Nie! – krzyknął zrozpaczony Tirah. Rzucił się na wampira, uderzając go kolbą karabinu w twarz.

Tak śmiały atak zaskoczył krwiopijcę, który postąpił krok w tył, a chwilę potem oberwał toporami od jaszczurzych wojowników, którzy w końcu dobiegli z pomocą. Wspólnymi siłami zdołali obalić przeciwnika i rąbali go zaciekle. Nic to jednak nie dało, bo Luusaat już zaczął wstawać. W tym momencie Ruon dobiegł z miotaczem płomieni i nacisnął spust. Wampir skonał na ziemi, wijąc się w strasznych męczarniach.

Tirah przypadł do umierającego jaszczura. Uklęknął przy nim i ścisnął trójpalczystą dłoń. Dhēle uratował mu życie, poświęcił się dla niego. Spłacił dług.

Na wąskich ustach tubylca pojawił się uśmiech. Wskazał naszyjnik wiszący na jego szyi. Gonzalez pokiwał głową, ściągnął go i założył sobie. Zwiadowca miał łzy w oczach. Jeszcze wczoraj deklarował nienawiść do jaszczurów, a teraz poruszała go śmierć jednego z nich. Oczy Dhēlego zgasły.

Gonzalez podniósł się i ruszył przed siebie. Szedł, nie zwracając uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Musiał być w szoku. Po kilku krokach przystanął i spojrzał na Ezrę. W jego oczach było niedowierzanie i nieme pytanie, na które Leahy nie potrafił odpowiedzieć. Chyba nikt we wszechświecie nie wiedział, na jakich zasadach śmierć wybiera ofiary. Wyglądało na to, że Tirah oszukał przeznaczenie.

Wtem szponiasta dłoń przebiła się przez plecy Gonzalez'a. Zdumiony zwiadowca spojrzał na zakrwawioną dłoń wystającą z jego klatki piersiowej, uniósł brwi, próbował się roześmiać, ale z jego ust popłynęła krew. Zakrztusił się i padł martwy.

Zabił go ostatni z wampirów. Osaczony przez obrońców miasta, wycofywał się w stronę barykady i pechowo na jego drodze stanął Tirah. Luusaat bronił się, dźgany przez jaszczury włóczniami i siekany toporami.

Leahy był zrozpaczony. Poświęcenie Dhēlego okazało się daremne. Przeznaczenia jednak nie da się oszukać, zawsze upomni się o swoje. Ezra zgrzytnął zębami, mocniej chwycił stylisko topora i doskoczył do wampira. Był niesamowicie wściekły. Nienawidził krwiopijcy, który zabił żołnierza z jego plutonu. Skurwiel zabił człowieka, który w życiu wiele przeszedł, zaznał cierpienia, poniżenia i bólu. Tirah Gonzalez miał prawo do życia. Miał prawo do szczęścia, którego nigdy wcześniej nie doświadczył.

Dowódca Plutonu 7 uderzył mocno, wkładając w to całą frustrację, złość i gniew. Głowa Luusaat potoczyła się po uliczce, na której właśnie zakończyła się najkrwawsza bitwa w dziejach Sāpiry.

Ezra nie zwracał uwagi na triumfalne okrzyki jaszczurów, nie widział mieszkańców wychodzących z kryjówek i świętujących zwycięstwo. Zupełnie nie obchodziło go

przemówienie, które Voazona wygłaszał do swoich poddanych w syczącym jaszczurzym języku. W blasku rozpalanych pochodni nie dostrzegał trupów leżących niemal wszędzie i krwi spływającej po ulicy. Nie czuł też smrodu wyprutych trzewi. Liczyła się tylko ona. Abigail.

Gdy do niej dobiegł, odetchnął z ulgą. Cały czas była przytomna. Szybko otworzył apteczkę i zatamował krew. Następnie zaaplikował dziewczynie środki przeciwbólowe i przeciwzapalne. To na razie powinno wystarczyć. Gdy trafi na okręt, zajmą się nią lekarze.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział.

– Wiem – odparła cicho.

– Niedługo wrócimy na „Hajmdala”.

Pokiwała głową

– Ezra?

– Tak?

– Kocham cię.

Usiadł przy niej i objął ją ramieniem, a ona oparła na nim głowę. Ezra czekał na to wyznanie od dawna, ale nie spodziewał się, że usłyszy je właśnie teraz, po bitwie, w samym sercu pobojuwiska. Ale czy dla żołnierza jest odpowiedniejsza chwila i lepsze miejsce?

Pocałował Abigail w czoło mokre od potu i krwi. Przymknął powieki. Wiedział, że powinien sprawdzić, co z pozostałymi członkami plutonu, odnaleźć sierżanta Khaidu i ustalić plan dalszych działań. Powinni spróbować nawiązać kontakt z drednotem i zażądać natychmiastowej ewakuacji. Ale najpierw musiał odpocząć. Dosłownie chwilę.

Nagle rozwarł powieki. Po drugiej stronie ulicy usłyszał płacz. A raczej szloch pełen rozpacz i żalu. Zmrużył oczy, próbując dojrzeć, skąd pochodzi. W słabym świetle pochodni dostrzegł sylwetkę klęczącego mężczyzny. Serce zabiło mu mocniej. Ciężko wstał i powłócząc nogami, ruszył w jego stronę.

Tobias Bishop był człowiekiem, który nawet w najgorszych sytuacjach zachowywał pogodę ducha, a ironiczny uśmiech nigdy nie schodził mu z ust. Teraz na jego zalanej łzami twarzy malowała się rozpacz. Wbił wzrok w leżącą obok Miriam. Kobieta nie miała hełmu, a jej ciemnoblonde włosy, zawsze związane w koński ogon, teraz były sklezione krwią. Pęknięta czaszka nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Funke nie żyła.

Ezra otworzył usta, żeby coś powiedzieć, pocieszyć przyjaciela, ale nagle zrozumiał, że żadne słowa tutaj nie pomogą. Wiedział, co Bishop czuje. On sam wyłby z rozpacz, gdyby zginęła Abigail. I nic byłoby w stanie ukoić bólu.

Uklęknął obok. Tylko tyle mógł zrobić. Trwali tak kilka minut, w milczeniu pochyleni nad zwłokami szeregowej Funke. Leahy przypomniał sobie, że nie zapytał

jej o wizję, jakiej doświadczyła w świątyni. Już nie musiał. Dobrze wiedział, że podobnie jak Gonzalez nie miała żadnej. Po policzku sierżanta spłynęła łza.

Dzisiaj stracił dwoje ludzi. W późniejszym czasie będzie ich jeszcze wielu, dziesiątki, setki, a nawet tysiące, ale ten pierwszy raz bolał najbardziej. W obronie Sāpiry zginęli nie tyle jego żołnierze, co przyjaciele.

Nagle jego rozmyślenia przerwało dzikie wycie, odbijające się echem wśród pogrążonych w ciemności gór.

Wiedział, co oznacza.

SYSTEM ALMAAZ PAŁACOWA PLANETA NŪSHEN

Sandra Thushpa ze zdumieniem spojrzała na matkę, ale oprócz zaskoczenia czuła coś jeszcze. Uświadomiła sobie, że to złość i rozczarowanie. W swojej arogancji myślała, że obecnie największym wrogiem Velmenów jest ludzkość. Nie bez powodu to właśnie technokraci wysłali największą flotę do systemu Epsilon Eridani, aby zniszczyć Federację Terrańską, a potem ścigali „Hajmdala” po całej Galaktyce. Wszędzie, gdzie udał się drednot, zaraz pojawiały się velmeńskie krążowniki i myśliwce. Okazało się również, że priorytetem dla nich jest jakiś tajemniczy osobnik, o którym Sandra nigdy nie słyszała.

– Ahaswer? – Pokręciła głową. – Kto to?

– To zdrajca – w głosie mistrzyni zabrzmiały groźne nuty. Po raz pierwszy Sandra wyczuła u matki jakieś emocje.

– Jest Velmenem?

– Tak – przyznała kobieta i zamilkła.

Sandra uważnie przyjrzała się mistrzyni i zauważyła, że mocniej zacisnęła usta.

– Opowiedz mi o nim.

Matka jakby się zawahała, ale skinęła głową.

– Dobrze – rzekła. – I tak prędzej czy później będziemy musiały się z nim zmierzyć.

Sandra uniosła w zdziwieniu brwi. Jej matka użyła liczby mnogiej. Co to miało znaczyć? Czy miała na myśli armię Velmenów, którą dowodziła, czy może raczej siebie i córkę?

– Ahaswer był jednym z najbardziej świątłych Velmenów i należał do najwyższego kręgu władzy. Nikt nie mógł się spodziewać, że właśnie on wznieci pożar rewolucji i pociągnie za sobą innych renegatów. Nie przewidziały tego żadne algorytmy, programy analizujące prawdopodobieństwo, a nawet Pytie.

Sandra otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Zawsze jej się wydawało, że cybernetyczna rasa jest jednomyślna, że działa niczym kolektyw, który ma jeden cel i te same priorytety. Okazało się jednak, że nawet w społeczeństwie Velmenów istnieją podziały.

– Podniósł bunt przeciwko technokapłanom i podważył wszystko, co święte. To nie tylko zdrajca, ale również obrazurca!

Mistrzyni zaczęła przechadzać się po komnacie wyraźnie rozgniewana. Sandra zaczęła zazdrościć Ahaswerowi, który wzbudzał w jej matce emocje. Wprawdzie negatywne, ale zawsze. To było lepsze od zimnej obojętności, jaką okazywała własnej córce.

– Musiał nieźle ci zaleźć za skórę – rzuciła z przekąsem.

Mistrzynie zdawała się nie zauważać kpiny.

– Rozpętał rewoltę – mówiła dalej. – Zebrał podobnych sobie buntowników i przystąpił do działania. Najpierw działali w ukryciu, sabotując ważne projekty i utrudniając działanie systemów informatycznych. Na początku Ahaswer był poza wszelkimi podejrzeniami, ale wreszcie, gdy porwał jedną z Pytii, nikt nie miał już wątpliwości, że planuje przewrót.

– A więc ma jedną z nich?

– Niewiele mu to pomoże, bo tak samo jak nasza wieszczka ma trudności z odczytaniem jego planów, jego wyrocznia nie umie poznać naszych.

– Dlaczego tak się dzieje?

– Mamy pewne teorie – odparła mistrzyni i zaraz zmieniła temat, wracając do Ahaswera. – Technokapłani wysłali flotę, żeby go aresztować i poddać procesowi rehabilitacji. Wierzyli, że to tylko drobny błąd oprogramowania, usterka, którą da się naprawić. Niestety, mylili się. To było coś więcej.

Mistrzynie wbiła spojrzenie w przestrzeń.

– W systemie Tau Ceti doszło do wielkiej bitwy, w której wzięły udział tysiące okrętów. Nikt nie mógł przypuszczać, że buntowników jest tak wielu i że spisek sięgnął tak głęboko. To była wojna domowa.

Sandra roześmiała się.

– Velmeni wykończyli się nawzajem!

Matka spojrzała na nią i Sandra myślała, że zobaczy gniew w jej oczach. Ale pozostawały beznamienne.

– Walczono nie tylko w przestrzeni kosmicznej, ale również na planetach. Straty były niewyobrażalne, ale kompleksy przemysłowe można odbudować, miasta postawić na nowo, zaprojektować lepsze i mocniejsze okręty. Lecz drzazga, jaką wbił Ahaswer w naszą społeczność, pozostanie już na zawsze.

– Wygraliście?

– Tak. Na szczęście siły lojalne wobec technokapłanów zdołały pokonać rebeliantów.

– A co z Ahaswerem?

– Uciekł – w głosie mistrzyni zabrzmiała frustracja. – Zdołał się wymknąć z systemu Tau Ceti i zabrał flotę okrętów.

– Dlaczego go ścigasz? Przecież już wam nie zagraża.

– Nadal jest groźny – odparła mistrzyni. – Nie ze względu na siły, jakie posiada, bo możemy rozgromić je w jednej bitwie, ale ze względu na to, co sobą reprezentuje.

Sandra uniosła pytająco brew.

– Ahaswer był ważną osobistością dla wszystkich Velmenów i tych, którzy wstąpili na drogę świętości. Czerpaliśmy z jego mądrości i wiedzy. Dla mnie osobiście był

nauczycielem i przewodnikiem. Gdyby nie on, pewnie nadal bym tkwiła w ignorancji, nie doświadczając objawienia. To pod jego kierunkiem przyjąłam pierwsze błogosławieństwa, on wskazał mi ścieżkę, którą cały czas podążam. A on z niej zбочzył...

W głosie mistrzyni zabrzmiał autentyczny żal. W Sandrze obudziła się nadzieja, że cyberwszczepy nie pozbawiły matki człowieczeństwa. Może był dla niej jeszcze ratunek? Tak bardzo pragnęła ją odzyskać, nawiązać jakieś ciepłe, ludzkie relacje. Jednak gdy spojrzała w wyblakłe oczy, nadzieja przygasła. Dostrzegła w nich tylko zimną determinację.

– Wiele mu zawdzięczam, ale teraz to już przeszłość. Ona nie ma żadnego znaczenia. Sentymety są domeną ludzi.

– Jesteś człowiekiem! – wybuchła Sandra.

Mistrzyni roześmiała się, ale był to śmiech nienaturalny, upiorny, nieludzki. Nagle przestała i przypominało to cięcie skalpelem. Thushpa poczuła strach pełznący po plecach. Zastanawiała się, czy to możliwe, że ta kobieta wydała ją na świat. Czy ją kiedykolwiek kochała? Czy w ogóle była zdolna do miłości? A może geny Ardhanari sprawiły, że zawsze była zimną i nieczułą socjopatką?

– Nic nie rozumiesz, córko – rzekła mistrzyni. – Ale zaraz wszystko stanie się dla ciebie jasne. Musisz poznać prawdę. Posłuchaj ...

Zaczęła mówić, a Sandra słuchała z szeroko otwartymi oczami. Co jakiś czas kręciła z niedowierzaniem głową, aż wreszcie, gdy matka skończyła, roześmiała się jak szalona. Jakby usłyszała najzabawniejszy żart wszechświata.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

To nie było wycie dzikiego zwierzęcia, jak mogło się w pierwszej chwili wydawać. Dobięło z gardła inteligentnej istoty, świadomej swojej mocy. Było swoistym wyzwaniem. Ezra nie miał wątpliwości, z czym lub raczej kim ma do czynienia. Zakapturzony wampir. Przywódca Luusaat. Jakimś cudem przeżył spotkanie ze skrzydlatą bestią i teraz kogoś przyzywał. Przyzywał właśnie jego – sierżanta zwiadowców.

Leahy wstał, zmrużył oczy, wpatrując się w ciemność. Zastanawiał się, skąd dochodzi wycie.

– Jest w świątyni – oznajmił Bishop, jakby czytając w jego myślach. Otarł łzy i zaczął się podnosić. – Chcesz tam iść? W takim razie idę z tobą.

– Nie! – rzekł twardo Ezra, kładąc mu dłoń na ramieniu. – On chce tylko mnie. Muszę iść sam. To moja walka. Moje przeznaczenie.

Tobias pokiwał głową. Ponownie przeniósł spojrzenie na Miriam, pogrążając się w rozpaczy. Leahy nie zwracał już na niego uwagi. Chwycił topór i ruszył w stronę świątyni. Po drodze spojrzał na Abigail. Miała półprzymknięte powieki, oddychała spokojnie, zaopiekowała się nią jedna z jaszczurzych samic, które przyszyły na pole bitwy zająć się rannymi. U wylotu ulicy dostrzegł Voazonę, który właśnie zbierał wokół siebie wojowników, gotowych wyruszyć na poszukiwania wampira. Na razie stało wokół niego zaledwie siedmiu gwardzistów, z czego połowa ledwo trzymała się na nogach. Ezra minął ich, nie odpowiadając na zdziwione spojrzenie władcy Sāpiry.

Minął ostatnie budynki i wówczas z ciemności wynurzyła się samotna jaszczurza bestia. Podczas bitwy gad musiał się spłoszyć i uciec, strącając jeźdźca. Leahy chciał uskoczyć, bojąc się stratowania, ale zwierzę zwolniło i zatrzymało się przy nim. Podszedł ostrożnie, położył dłoń na szerokiej głowie. Jaszczur nie zareagował. Ezra przesunął palcami po ziarnistych łuskach i poklepał baryłkowaty tułów. Gad spokojnie czekał.

Ezra zastanawiał się, czy to przypadek. A może wampiry posiadały zdolność kontrolowania zwierząt i przywódca Luusaat wysłał po niego wierzchowca? Nie miało to jednak znaczenia. Leahy nie zastanawiał się długo. Wskoczył na siodło i pognął w stronę świątyni.

Dojechał w niecały kwadrans. Wiedział, że będzie tam szybciej niż grupa pościgowa Voazony, ale to mu nie przeszkadzało. Tę walkę musiał stoczyć sam. Od jej wyniku zależała jego przyszłość.

Pytia twierdziła, że nic nie jest raz na zawsze określone, że istnieją pewne wzory,

wytyczne, ale to, co się wydarzy, zależy od pojedynczych czynów. Ezra podświadomie wiedział, że starcie, które go czeka, jest właśnie jednym z nich, a rezultat zależy wyłącznie od niego.

Wdrapując się na szczyt zigguratu, raz jeszcze przypomniał sobie wizję, której doświadczył. Zastanawiał się, czy jeśli przeżyje, będzie miała szansę się spełnić. Czy jego zwycięstwo sprawi, że w przyszłości zostanie pięciogwiazdkowym generałem i bohaterem ludzkości? A może to będzie zaledwie mały kamyczek, który pchnie lawinę przeznaczenia, i dopiero późniejsze czyny ukształtują jego przyszłość? A przegrana? Ezra nie miał wątpliwości, że oznaczała śmierć. Wziął głęboki oddech, nie dopuszczając do siebie strachu. Będzie, co ma być.

Pogrążony w myślach nawet nie zauważył, kiedy dotarł na samą górę. Przystanął zdumiony. Jedna ze ścian budynku była roztrzaskana. Wbiła się w nią skrzydlata bestia. Zwierzę nie żyło. Leżało całe pokrwawione, ze skreconym karkiem i gałęziami drzew wczepionymi w skrzydła. Najwyraźniej stoczyło ciężką bitwę z wampirem.

W pomieszczeniu zapłonęły świece. Ezra westchnął ciężko i przekroczył wrota świątyni.

Krwiopijca czekał na niego, odziany w czerń, wysoki i potężny. Luusaat sprawiał wrażenie wypoczętego, a przecież niedawno zakończył śmiertelne zmagania. Ezra nie widział jego twarzy skrytej pod kapturem i trudno mu było ocenić, co się na niej maluje.

– Dlaczego ja? – zapytał Leahy, zatrzymując się kilka kroków od wampira. Nie spodziewał się, że stwór odpowie. Nie spodziewał się, że zrozumie ludzką mowę. A Ezra nie zabrał tłumacza.

– Źle zadane pytanie – głos wampira przeszywał na wskroś. Dudnił w uszach i wibrował w ciele. Wywoływał mdłości. Podobny do ludzkiego, jednocześnie wydawał się przerażająco obcy. – Powinieneś raczej spytać, dlaczego ludzkość.

– Wyczuwam jakieś kompleksy – odparł Ezra, siląc się na lekki, ironiczny ton, chociaż serce waliło mu jak oszalałe. – Ty też uważasz nas za tępe istoty, które dopiero co zeszły z drzew i nie są godne władać Galaktyką?

Rozejrzał się, szukając Pytii. Ciekaw był, co się z nią stało. Została zabita przez wampira? A może z nim współdziałała? Jednak nigdzie jej nie spostrzegł. Nie wiedział, czy bardziej go to uspokoiło, czy zatrwożyło. Z jednej strony, nie chciał jej więcej spotkać, bo bał się kolejnych wieszczzeń, z drugiej zaś, ona była kluczem do zrozumienia, czym tak naprawdę jest ludzkość.

Luusaat zdjął kaptur i spojrzał na Ezrę czarnymi, nieprzeniknionymi oczami.

– Byłem przy tym – rzekł.

– Co? – zdumiał się Leahy, nie wiedząc, o czym wampir mówi.

– Kiedy ludzie zeszli z drzewa. – Krwiopijca wykonał dłonią nieokreślony gest. – Oczywiście czysto metaforycznie.

– Co ty bredzisz?

Wampir splótł dłonie za plecami i zaczął niespiesznie przechadzać się po pomieszczeniu. Ezra nie spuszczał go z oka, mocno ściskając stylisko topora. Stwór mógł zaatakować w każdej chwili.

– Byłem przy tym, jak zaczęliście rozłazić się po Ziemi. Plugawiliście ją, orząc wzdłuż i wszerz, wznosząc gliniane, a potem kamienne budowle, zapędzając wolne zwierzęta do zagród. Zdawało się wam, że byliście panami i jedynymi władcami planety. Głupcy!

Leahy zbladł. Domyślał się, co zaraz usłyszy.

– Ale byliśmy tam jeszcze my – mówił dalej wampir. – Pierworodni. Tak się nazwaliśmy. Określenie Luusaat narodziło się dużo później i zostało nadane nam przez ludzi. W dawnym, zapomnianym języku oznacza morderców. Tak, sierżancie Leahy, żyliśmy na Ziemi w tym samym czasie, gdy zaczęła się wasza ewolucja. Dzień należał do was, do nas zaś noc.

– Kłamiesz! – wychrypiał Ezra, ale podświadomie wiedział, że wampir mówi prawdę.

– Po co miałbym to robić? – zdumiał się Luusaat, lekko unosząc brwi. Sprawilo to upiorne wrażenie, bo jego pergaminowa skóra jeszcze bardziej się rozciągnęła. – Prawda jest taka, że byliśmy pierwszymi dziećmi Khon-Ma na Ziemi.

– Nie, nie, nie... – szeptał Leahy, kręcąc głową. Nie potrafił się z tym pogodzić.

– A potem postanowili stworzyć was, ludzi. Kruche istoty, które nie radziły sobie z niczym. Nie mieliście kłów, żeby gryźć, szponów, żeby szarpać, nawet żądry krwi, żeby zabijać z zimną bezwzględnością. A my? Stworzeni na ich obraz i podobieństwo siłę życiową czerpaliśmy z posoki innych stworzeń.

– Tak jak żyjące okręty, toch-em?

– Tak jak wszystkie pajęczaki.

Ezra zadrżał. Nie chciał tego słuchać. Mocniej ścisnął stylisko topora, pragnąc, żeby wampir zamilkł, ale on nie przestawał mówić.

– Poczuliśmy się zazdrośni o... hmm... naszych młodszych braci. Zaczęliśmy na was polować, zabijać i dziesiątkować. Wybijaliśmy całe osady, nowo powstałe miasta, dławiliśmy zalążek wszelkich form cywilizacji.

Luusaat uniósł ręce, dotychczas onyksowe oczy rozbłysły czerwienią.

– To były wspaniałe czasy – rzekł, odsłaniając kły. – Pełne przemocy, cierpienia i mroku. Trwało to tysiąc lat. Dla nas to mgnienie, dla was niemal wieczność. Ścigaliśmy was po sawannach, goniliśmy wśród wąwozów, wyrzynaliśmy w gęstych lasach, aż wreszcie zmusiliśmy do powrotu do jaskiń. Została was garstka.

Wampir podszedł do Ezry tak blisko, że ten poczuł jego cuchnący oddech.

– A wtedy powrócili oni. Bogowie. Zobaczyli, co uczyniliśmy, i spadł na nas ich gniew. Znasz mit o Kainie i Ablu?

Ezra skinął głową. W jego rodzinnej osadzie znajdował się mały kościół, do którego uczęszczał. Ponadto nieżyjący już Cyrus Tan, jeden z pierwszych członków Plutonu 7, był osobą bardzo religijną i często raczył ich biblijnymi przypowieściami.

– Kain zabił młodszego brata z zazdrości o względy Boga – głos wampira dudnił w głowie Ezry. – Gdy ten się o tym dowiedział, odebrał ziemię Kainowi i go wygnał. Od tej pory miał wieść żywot wiecznego tułacza.

– Chcesz mi wmówić, że ten mit jest prawdziwy? Kain symbolizuje Luusaat, a Abel ludzkość?

– W każdym micie jest ziarno prawdy – odparł wampir. – Jednak w tym wypadku historia potoczyła się nieco inaczej. Abel przeżył, niedobitki ludzkości zostały objęte opieką przez Khon-Ma i wasza cywilizacja zaczęła się znów rozwijać. Ale to nie zmieniło naszego losu. Pierworodni zostali wygnani z Ziemi i od tysiącleci tułają się po Galaktyce. A naszym przekleństwem jest żądza krwi. Nienasycona...

– Kainowe piętno – rzekł Ezra niemal ze współczuciem.

Luusaat skinął głową.

– Jak więc widzisz, sierżancie Leahy, jesteśmy ze sobą spokrewnieni. Khon-Ma ulepili nas z tego samego materiału genetycznego. A teraz nasze losy są do siebie podobne. Pierworodni i ludzie tułają się po Galaktyce bez prawa do osiedlenia.

– Pragniecie się osiedlić? – zdumiał się Ezra.

Luusaat roześmiał się, a w jego śmiechu było coś tak upiornego, że Leahy poczuł, jak ponownie zawładnął nim strach. Bezwiednie zrobił krok do tyłu i uniósł nieco topór.

– Nie – odrzekł krwiopijca. – Nic z tych rzeczy. Nasza natura nam na to nie pozwoli. Prowadzimy wędrowny tryb życia. Istniejemy po to, żeby niszczyć, zabijać i żerować.

– Dlaczego mi to mówisz? – Ezra zadał wreszcie pytanie, które nurtowało go przez całą rozmowę. – Po co mnie tu sprowadziłeś?

Wampir szponiastym palcem wskazał jego klatkę piersiową.

– Pod bluzą munduru nosisz nabój – rzekł.

Ezra machinalnie dotknął talizmanu.

– Skąd...

– Skąd wiem? – Wampir uśmiechnął się brzydtko. – Wiem wiele różnych rzeczy. O tobie, sierżancie Leahy, i o twoich przodkach. O tym, co uczynili mnie i moim pobratymcom.

SYSTEM CHI AURIGAE VELMEŃSKI KRĄŻOWNIK

Pretorianin siedzący w fotelu w niczym nie różnił się od innych Velmenów. Nosił taki sam metalicznie czarny pancerz, miał głowę przypominającą coś w rodzaju zamkniętego hełmu i żarzące się czerwienią oczy. Jednak jakieś dostojęństwo w jego postawie wskazywało, że nie mógł być zwykłym żołnierzem, ślepo wykonującym rozkazy.

Spoglądał na gości bez emocji. Sztuczne oczy przesuwwały się z jednego zwiadowcy na drugiego i zatrzymały się dopiero na admirale. Wówczas niebezpiecznie zabłyśły.

– Admirał Kashtaritu – odezwał się zimnym, przesywającym głosem. – Ciszę się, że wreszcie mogę pana spotkać. To dla mnie zaszczyt. Wiele o panu słyszałem.

– A ja o tobie nic – odparł admirał, nie spuszczać wzroku z rozmówcy.

Velmen roześmiał się i było w tym coś tak upiornego, że sierżant Campbell natychmiast uniósł karabin. Pozostali żołnierze poszli w jego ślady. Z tak bliskiej odległości nawet kule wystrzelone ze standardowej broni zwiadowców mogły być skuteczne.

– Lufy w dół! – syknął rozgniewany Kashtaritu. – Gdyby chciał nas zabić, już dawno bylibyśmy martwi.

– Słuszna uwaga, admirale. – Velmen skinął głową. – Jestem nieuzbrojony, a pretorianów zostawiłem na zewnątrz. Co prawda gdyby mi się coś stało, żywi nie opuścicie okrętu, ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Też mam taką nadzieję – odparł Kashtaritu i spojrzał gniewnie na Campbella. Sierżant westchnął ciężko, ale opuścił karabin. To samo zrobili pozostali zwiadowcy. Jednak ich palce pozostawały w okolicach spustów, a wzrokiem taksowali pomieszczenie, spodziewając się pułapki.

– Nie mam zamiaru was skrzywdzić – dodał Velmen, widząc ich podejrzliwość. – Wręcz przeciwnie, proponuję sojusz.

– Sojusz?! – zdumiał się admirał.

– Zdaję sobie sprawę, jak absurdalnie to brzmi...

– Owszem! – Kashtaritu poczerwieniał ze złości. – Zaatakowaliście nas w systemie Epsilon Eridani. Dokonaliście niewyobrażalnych zniszczeń i zabiliście tysiące ludzi. To był mord! A potem ścigaliście nas przez pół Galaktyki. Gdziekolwiek się pojawialiśmy, czuliśmy wasz oddech na karku. Pragnęliście zagłady ludzkości! Co się zmieniło?

Cybernetyczne ślepie wpatrywały się w Nathaniela zupełnie bez wyrazu.

– Nic – odparł Velmen po chwili. – Większość z nas nadal pragnie waszej

eksterminacji.

– Ale nie ty.

– Nie ja.

– Kim jesteś?

– Już się przedstawiałem. Jestem Ahaswer.

Admirał pokręcił głową.

– Nic mi to nie mówi.

– Nie dziwię się – odparł Velmen. – Uciekacie już od bardzo dawna i nie dochodzą was słuchy o tym, co się dzieje w sercu Galaktyki. Zresztą nigdy nie byliście na bieżąco. O bardzo wielu sprawach nie mieliście bladego pojęcia. Nadal nie macie.

– Sprowadziłeś tu nas, żeby z nas szydzić?

– Przepraszam, admirale. – Ahaswer wstał i ukłonił się kurtuazyjnie. – Nie to było moją intencją. Pragnę wam pomóc.

– Dlaczego mielibyśmy ci zaufać?

– Mamy ten sam cel. Przetrwanie ludzkości.

Seth Campbell prychnął pogardliwie. Admirał spiorunował go wzrokiem i ponownie przeniósł spojrzenie na Velmena.

– Nie rozumiem. Przecież pragniecie nas zniszczyć.

– Nie wszyscy – odparł Ahaswer, podchodząc do admirała.

Campbellowi się to nie spodobało i stanął tak, żeby w razie czego wkroczyć pomiędzy Velmena a dowódcę.

– Wśród nas zdania są podzielone. Technokapłani uważają, że jesteście zagrożeniem dla całego wszechświata, zarazą, która powinna zostać raz na zawsze wyeliminowana. Ale to zagorzali fanatycy, zaślepieni pragnieniem osiągnięcia doskonałości. Uważają, że powołaniem każdej żywej istoty jest przemiana i całkowite zjednoczenie z bóstwem cybernetyki. Ciało materialne to dla nich niepotrzebny balast, który należy odrzucić i przetransformować jaźń do niezniszczalnych naczyń.

– Ty się z nimi nie zgadzasz?

– Zarówno w pierwszym, jak i drugim punkcie. – Ahaswer zamilkł na chwilę i wbił spojrzenie czerwonych oczu gdzieś w przestrzeń, nad głową admirała. – Na początku myślałem, że jestem sam z moimi wątpliwościami. Podejrzywałem błąd oprogramowania wspomagającego, wirusa, który zatruwa moje jestestwo i logiczne myślenie. Ale okazało się, że takich jak ja jest więcej.

Velmen wydał z siebie coś na kształt westchnienia.

– Rozpętaliśmy rewolucję. Na początku nasze działania ograniczały się do negocjowania decyzji technokapłanów. Naszym głównym celem było ratowanie waszego gatunku za wszelką cenę. Nie mogliśmy dopuścić do zagłady ludzkości. Potem musieliśmy sięgnąć po bardziej drastyczne środki. Zaczęliśmy sabotować działanie flot inwazyjnych. Ale to na niewiele się zdało. Technokapłani mieli potężnego

sprzymierzeńca w postaci Khon-Ma. To w nich przede wszystkim musieliśmy uderzyć.

Ahaswer ponownie przeniósł spojrzenie na admirała.

– Znaleźliśmy sposób, żeby się ich pozbyć. To było niezwykle trudne do zrealizowania i bardzo niebezpieczne, ale warte ryzyka. Z tego, co mi wiadomo, plan się powiódł.

Nathaniel Kashtaritu pokręcił z niedowierzaniem głową. Jeśli Ahaswer mówił prawdę, wyglądało na to, że pozbył się pajęczaków, oprawców ludzkości i najpotężniejszej rasy w Galaktyce.

– Niestety, to nie wystarczyło – mówił dalej Velmen. – Myśleliśmy, że w ten sposób uda nam się zniszczyć sojusz przeciwko ludzkości, ale technokapłani jedynie ucieszyli się, że zmieniliśmy układ sił panujący w Drodze Mlecznej. Uznali, że teraz nadszedł czas Velmenów, żeby przejąć schedę po Khon-Ma, i nie zaprzestali swojej krucjaty.

– Czyli nadal jesteśmy ścigani?

– W tym względzie nic się nie zmieniło. Próbowaliśmy dokonać przewrotu, ale nie powiodło się nam. W systemie Tau Ceti doszło do potężnej bitwy. Niestety, naszą flotę rozgromiono i zostaliśmy zmuszeni do ucieczki.

– Pozostał ci tylko ten pancernik?

– Nie – odrzekł Velmen. – Dysponujemy jeszcze jakimiś pięćdziesięcioma jednostkami. Na razie są ukryte w tajnej bazie. To mój okręt flagowy, którym wybrałem się na wasze poszukiwanie.

– Jak nas znalazłeś? Skąd wiedziałeś, że tu będziemy?

– To dzięki jednemu z projektów badawczych. Velmeni dysponują istotami zwanymi Pytiami, hybrydami potrafiącymi przewidywać przyszłość. Jedna z nich znajduje się w moich rękach.

Nathaniel Kashtaritu pokiwał głową. Wreszcie zrozumiał, dlaczego Velmeni doskonale wiedzieli, dokąd zmierza „Hajmdal”.

– Ale przepowiednie nie zawsze są trafne. Zależy to od wielu czynników. Ja miałem szczęście.

Kashtaritu spochmurniał.

– Wiesz, dokąd zmierzamy?

– Nie – odparł. – Dziwnym trafem wszystkie Pytie są w tej kwestii ślepe. Nic nie mogą dostrzec. Ale ta, która was ściga, podobno już wie.

– Mistrzyni?

– Tak.

– Ma zdolniejszą Pytię?

– Nie. – Ahaswer pokręcił metalową głową. – Ma szpiega na pokładzie twojego okrętu.

Nathaniel Kashtaritu wypuścił ciężko powietrze. Obiecał sobie, że po powrocie na „Hajmdala” przeprowadzi śledztwo. Wykrycie zdrajcy nie powinno być trudne, bo tylko kilka osób wiedziało o celu podróży. Teraz jednak coś innego nie dawało mu spokoju.

– Dlaczego tak bardzo zależy ci na przetrwaniu ludzkości? – zapytał.

– Moje imię nic ci nie mówi, admirale? – Velmen odpowiedział pytaniem.

– Nic.

– Dawna legenda odnosi się do człowieka imieniem Ahaswer, który zgubił śmierć. To była kara za wyszydzanie Boga, odwrócenie się od niego, od ładu i porządku wszechświata. Nieśmiertelny i samotny, błądził w nieskończoność, skazany na wieczną kontemplację, sam nie mogąc zaznać spokoju. Poszukując własnego człowieczeństwa.

– Nie rozumiem.

Ahaswer podszedł krok do przodu, na co Campbell zareagował uniesieniem broni. Kashtaritu gestem kazał mu ją opuścić. Velmen sięgnął do hełmu i odsunął kawałek metalu. Ukazał się fragment ludzkiego policzka.

– Tyle ze mnie zostało – rzekł.

Admirał zrozumiał.

– Jesteś człowiekiem?!

– Byłem – odparł Ahaswer. – Wszyscy byliśmy.

– Jak to?

– Trzysta lat temu, zanim jeszcze Ziemia została zniszczona, w kosmos wyruszyła pierwsza wyprawa międzygwiazdowa. To było największe osiągnięcie technologiczne ludzkości. Potężny statek wielopokoleniowy, który miał eksplorować nowe światy. Celem był najbliższy system gwiazdny Proxima Centauri. Cztery lata świetlne to niewielka odległość, ale wówczas, bez napędu nadświatłowego, wydawała się wręcz niewyobrażalna.

Admirałowi wydawało się, że głos Ahaswera zadrżał.

– Załoga miała świadomość, że za swojego życia nie dotrze do Proximy i cel osiągną dopiero wnuki. Ale ludzie się nie poddawali. Na pokładzie było wielu zdolnych naukowców, wybitne umysły tamtej epoki. Zaczęli eksperymentować z cybernetyką i technologią wszczepów. Na początku pragnęli udoskonalić swoje ciała, przedłużyć życie i doczekać lądowania. Potem coraz bardziej zatracali się w modyfikacjach, aż wreszcie doszło do tego, że transferowali swoją świadomość w metaliczne ciała. To ułatwiło rozwój technologiczny. Pozbawieni ludzkich pragnień i żądz, skupili się tylko na doskonaleniu siebie i statku. Zmodyfikowali napęd i szybko dotarli do Proximy Centauri. Ten system okazał się jednak mało atrakcyjny pod względem zasobów. Szukali dalej, aż trafili na Tau Ceti. Tam się osiedlili. Byłem jednym z członków załogi.

Zapadło milczenie. Ludzie spoglądali na Ahaswera z niedowierzaniem.

– Zatem Velmeni to ludzie? – zapytała Elektra Ramos.

– Wyewoluowaliśmy z ludzi, ale już nimi nie jesteśmy. Stanowimy odrębny gatunek. Nie potrafimy się rozmnażać, dlatego nowych członków społeczeństwa rekrutujemy spośród innych gatunków. Poddajemy ich modyfikacjom i stają się legionistami.

– A pretorianie? – dopytywała Ramos.

– Mogą nimi zostać jedynie ludzie. Stają się nimi, gdy już nie pozostaje w nich nic organicznego. Z jakichś powodów inne gatunki odrzucają pełną transformację.

– Ty nie zmodyfikowałeś się do końca – rzekł Kashtaritu, wskazując na policzek Ahaswera.

– Tyle sobie zostawiłem, żeby pamiętać.

– O swoim pochodzeniu?

Velmen skinął głową.

– Czego od nas oczekujesz? – spytał admirał bez ogródek.

– Pomocy w przywróceniu człowieczeństwa.

– Tobie?

– Nie – odrzekł Ahaswer. – Całej naszej rasie.

– Nie za bardzo wiem, co możemy zrobić? I jak?

– Pozwólcie jedynie sobie pomóc.

– Mam ci zaufać?

– Nic nie tracisz.

Nathaniel Kashtaritu musiał się z nim zgodzić. Jeśli mówił prawdę, to mistrzyni wiedziała, dokąd zmierza „Hajmdal”, i czekało ich starcie z potężną velmeńską flotą. I w tym wypadku pięćdziesiąt okrętów Ahaswera mogło odmienić jej los. Natomiast jeśli kłamał...

– Jaki masz plan? – spytał.

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

– Nie wszyscy Pierworodni opuścili Ziemię – wampir kontynuował swoją opowieść. – Niektórzy nie pogodzili się z wyrokiem stwórców, uważali, że to niesprawiedliwe. Ja byłem jednym z nich.

Luusaat ponownie zaczął krążyć po komnacie.

– Ocalało nas niewielu. Postanowiliśmy zostać, żyć wśród was, czając się w mrokach najpierw jaskiń, potem zamków, aż wreszcie zaułkach ulic i w kanałach wielkich miast. Samotnie. Nie mogliśmy tworzyć społeczności, bo prędko byście nas odkryli i wytępilli. Polowaliśmy w nocy i kryliśmy się w mroku. Zawsze obok was, zawsze blisko, niemal na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie tak daleko. Byliśmy ostrożni i uważni. Nie mogliśmy dać się zdemaskować. Sami już nie byliście pewni, czy naprawdę istniejemy. Krążyły legendy, niesamowite opowieści. Pisaliście o nas książki, kręciliście filmy.

Wampir skrzywił wąskie usta w okrutnym uśmiechu, który bardziej przypominał grymas. Oczy jeszcze mocnej zapłonęły czerwienią.

– Byłem jednym z nich – mówił dalej. – Z tych, którzy pozostali. Widziałem, jak stawiacie pierwsze miasta, mieszkałem nawet w Jerycho. Widziałem, jak tworzycie coraz nowsze technologie. Widziałem, jak toczycie ze sobą wojny i jak współdziałacie. Próbowałem zrozumieć, co czyni was tak wyjątkowymi. Dlaczego Khon-Ma dali wam Ziemię w posiadanie, a nas, swoich Pierworodnych, wygnali? Nie potrafiłem tego pojąć i z roku na rok, z wieku na wiek, z tysiąclecia na tysiąclecie coraz bardziej was nienawidziłem. Polowałem już nie z przymusu, ale dla przyjemności. Żerowałem na wszystkich kontynentach, zabijałem mężczyzn, kobiety i dzieci. I czerpałem z tego niewysłowioną rozkosz.

Wtem twarz wampira zmieniła się. Ezra mógłby przysiąc, że ujrzał coś przypominającego strach. Oczy krwiopijcy na powrót stały się onyksowe.

– I wówczas pojawił się człowiek, który zmienił wszystko. Po raz pierwszy usłyszałem o nim, gdy bawiłem na pierwszej krucjacie. Krwawe oblężenie Antiochii, pogromy żydowskie, bitwa o Jerozolimę, tam wszędzie przelewano krew. Byłem w swoim żywiole. Wyobraź sobie, że najbardziej smakowali mi krzyżowcy...

– Przejdź do rzeczy – warknął Leahy, któremu zbierało się na wymioty od przechwałek wampira.

– Wedle życzenia. – Luusaat uklonił się z udawaną kurtuazją. – Człowiek ten nie był zbrojnym, nie należał do żadnego hufca, nie służył żadnemu królowi. Działał sam i zabijał tylko Pierworodnych. Polował na nas.

Ezra wybuchnął śmiechem.

– Łowca wampirów?! – spytał z niedowierzaniem. – Poważnie?

Luusaat tylko przechylił głowę. Najwidoczniej nie widział w tym nic śmiesznego.

– Nie powinien mieć z nami żadnych szans. Jesteśmy od was szybsi i silniejsi. A ten mężczyzna w pojedynkę zabijał najpotężniejszych. Wśród Pierworodnych zaczęły krążyć legendy, że Khon-Ma stworzyli wojownika mogącego się z nami mierzyć. W obliczu takiego zagrożenia po raz pierwszy od tysiącleci Pierworodni zebrali się, żeby działać razem. Dopadliśmy go na Półwyspie Iberyjskim. Miał już swoje lata i nie był tak sprawny jak za młodu. Osaczyliśmy go w jego zamku i wytoczyliśmy z niego krew. I myśleliśmy, że to koniec.

Wampir westchnął ciężko. Niemal jak człowiek.

– Niestety – mówił dalej. – Okazało się, że określona pula genów przechodziła na kolejne pokolenia. Jego synowie i córki to mieli, jego wnukowie i wszyscy potomkowie. Od tego czasu nie mogliśmy czuć się bezpiecznie. Polowano na nas. Zabijano. To my staliśmy się ofiarami bezwzględnych drapieżców.

Leahy otworzył bezwiednie usta. Zaczynał rozumieć.

– Przez całe stulecia udawało mi się ich unikać. Byłem ostrożny, niezwykle ostrożny. Lecz pewnego dnia jeden z nich mnie odnalazł. Żerowałem na wieśniakach w krainie zwanej Wietnamem. Było tam wilgotno i duszno. Na szczęście teren pokrywała gęsta dżungla i nocą zamieniała się w idealne miejsce do łowów. Toczyła się tam jakaś wojna i wszystkie moje rzezie przypisywano żołnierzom. Ale tamten człowiek wiedział, jaka jest prawda. Odnalazł mnie w moim legowisku. Na szczęście jeszcze nie zapadłem w letarg. Stoczyliśmy ciężki bój, on i ja. Dwaj nienawidzący się rywale. Myślałem, że będzie ode mnie silniejszy i szybszy. Ale nie na tym polegała jego przewaga...

– Był bardziej zdeterminowany – podpowiedział Ezra.

– Możliwe – zamyślił się wampir. – Nie wiem, co to dokładnie jest, nie potrafię tego zdefiniować. Was, ludzi, pcha do przodu jakaś siła. Wasza wola nie zna granic, nigdy się nie poddajecie i walcycie, nawet jeśli nie macie perspektyw na wygraną. Dlaczego?

– Wierzimy, że nam się uda.

– Nawet jeśli nie macie żadnych szans?

Ezra uśmiechnął się drapieżnie.

– Zwłaszcza wtedy.

– Jesteście szaleni. – Wampir pokręcił głową. – On również był. Podczas walki trzykrotnie powaliłem go na ziemię, ale on zawsze jakimś cudem unikał śmierci. A potem dzięki swojej zaciekłości zaczął zdobywać przewagę. Mimo tego, że była noc.

– Ale przeżyłeś.

Luusaat skinął głową.

– Jak ci się to udało?

– Przypadek – odparł. – Amerykańscy żołnierze postanowili zrobić obławę na partyzantów właśnie w tej okolicy i o tej godzinie. Nagle noc wybuchła. Dżungłę rozdarły odgłosy eksplodujących granatów, terkot karabinów maszynowych, jęki rannych i krzyki umierających. Na terenie, gdzie toczyliśmy walkę, zapanował chaos. Wykorzystałem to i uciekłem.

Leahy ryknął śmiechem.

– Uciekłeś?! Ty?! Potężny Luusaat, żyjący przez tysiąclecia i zabijający tysiące, uciekłeś przed jednym człowiekiem?

– Już ci mówiłem. To nie był zwykły człowiek.

– Mam uwierzyć w te bajki o łowcach wampirów?

– Nie musisz. – Stwór wzruszył ramionami. – Ale może zainteresuje cię, że ten mężczyzna nosił talizman. Ujrzałem go podczas walki, gdy rozerwałem mu bluzę mundurową. To był nabój na srebrnym łańcuszku.

Leahy otworzył usta ze zdumienia. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Drżącymi rękoma wyciągnął spod bluzy talizman. Cenną pamiątkę po dalekim przodku.

– Taki?

– Ten sam.

– Czy to oznacza...

– Tak. Nosisz w sobie ten gen. Jesteś jednym z nich.

Ezra w końcu zrozumiał.

– To dlatego mnie zwabiłeś. Pragniesz odegrać się na potomku człowieka, który sprawił, że uciekłeś jak ostatni tchórz.

Luusaat warknął i wyszczerzył kły. Jego oczy na chwilę zapłonęły czerwonym blaskiem, ale zaraz zgasły. Wampir opanował się. Przynajmniej na razie.

– To prawda – rzekł głosem wypełnionym wściekłością. – Ludzie powiadają, że zemsta najlepiej smakuje po latach, Pierworodni zaś, że po stuleciach. Dzisiaj się wszystko dopełni.

– Zgoda – rzekł Leahy, udając beztroskę, i przyjął postawę bojową. – Zdradź mi tylko, skąd wiedziałeś, kim jestem.

– Wyrocznia.

– No tak – prychnął Ezra. – Mogłem się domyślić. Odwiedziłeś ją?

– Nie – odparł wampir. – Sama do mnie przyszła, gdy najedzeni obozowaliśmy w poprzednim mieście. Uznałem to za szczęśliwy traf.

– Naprawdę wierzysz, że to zbieg okoliczności? – Młody sierżant zaczął krążyć wokół przeciwnika, kręcąc młynki dwuręcznym toporem. Miał wrażenie, że broń jest o wiele lżejsza niż poprzednio. Uznał, że to wpływ adrenaliny.

– A jest jakieś inne wytłumaczenie? – spytał Luusaat.

– Przeznaczenie.

– To też jakaś opcja. – Wampir wysunął lewą nogę, również szykując się do starcia.

– Może to spotkanie było nam pisane? Mogłem zginąć na Ziemi, gdy Khon-Ma postanowili ją zniszczyć, ale los chciał inaczej. Miałem szczęście. Gdy ludzie wyruszyli w kosmos, żeby badać i eksplorować Układ Słoneczny, poleciałem wraz z nimi. Liczyłem na nowe, bezpieczne miejsca łowów. W statkach kosmicznych nie ma gdzie uciekać.

Gdy Ezra pomyślał o masakrach, jakie urządzał Luusaat, znowu zebrało mu się na wymioty.

– Nie wiem, czy to przypadek, czy przeznaczenie. Po zagładzie Ziemi zdobyłem statek i samotnie przemierzałem kosmos w poszukiwaniu żeru. Ale pewnego dnia los zetknął mnie z pobratymcami. Przypadek jeden na milion. A potem mój okręt-asteroida rozbija się na planecie, na której znajduje się potomek łowcy wampirów. Przypadek jeden na miliard.

Wampir wciągnął powietrze w dwie małe szczeliny, pełniące funkcję nozdrzy.

– Nawet cuchniesz jak on.

– Ty również nie pachniesz.

– Zakończmy to.

– Racja – zgodził się Ezra, unosząc topór. – Dość tego pierdolenia.

SYSTEM ALMAAZ PAŁACOWA PLANETA NŪSHEN

Mistrzynie nagle odwróciła głowę w stronę wejścia, gdzie pojawiło dwóch pretorianów podtrzymujących słaniającego się na nogach Bahirianina.

– To cesarz – oznajmiła.

Sandra skinęła głową. Domyśliła się tego, gdy tylko go ujrzała. Miał na sobie bogato zdobioną purpurową szatę, na głowie coś w rodzaju diademu wysadzanego szlachetnymi kamieniami. Ciemnogramatowa skóra była szara, cztery macki zwisające z otworu gębowego drżały, a w czarnych oczach ze źrenicami w kształcie klepsydr malował się strach.

– Po co to wszystko? – zapytała, spoglądając z litością na cesarza. – Dlaczego go torturujecie? Dlaczego najechaliście Almaaz?

Mistrzynie podeszła do Bahirianina i wbiła w niego spojrzenie cyfrowych oczu. Władca jednego z największych imperiów w Galaktyce skulił się pod jej wzrokiem. Z otworu gębowego dobiegła się seria chrząknięć i kwików. Sandra sięgnęła po translator, ale zorientowała się, że go nie ma. Velmeni musieli jej go zabrać, gdy była nieprzytomna.

– Co on mówi?

– Nic, czego bym już nie wiedziała – odparła mistrzyni. – Generał Tzittas został skazany na śmierć za bunt przeciwko cesarskiej władzy i wyrok został wykonany.

– Przybyłaś tu po Tzittasa? – zdumiała się Sandra.

Mistrzynie skinęła głową.

– Dowiedzieliśmy się, że Ahaswer kontaktował się z generałem Tzittasem i wspierał jego rebelię. Zdrajca ciągnie do zdrajcy.

Kobieta zdjęła z głowy diadem cesarza i zaczęła się nim bawić, obracając w dłoniach.

– Generał zebrał wokół siebie niezwykle zdolnych naukowców, którzy produkowali broń chemiczną i wirusy. Na zlecenie Ahaswera znalazł sposób, żeby pozbyć się naszych sprzymierzeńców.

– Sprzymierzeńców?

– Khon-Ma.

Sandra zadrżała.

– Khon-Ma są uzależnieni od narkotyku zwanego gro-kar i praktycznie bez niego nie funkcjonują. Pozwala im on rozszerzać granicę percepcji, ale wprowadzają go również do krwiobiegu żyjących okrętów. Naukowcy pod wodzą Tzittasa zmodyfikowali gro-kar, wprowadzając do niego jakiś wirus. Później Whrdowie

dostarczyli ziele do Imperium Khon-Ma. Toch-emy w jakiś sposób są ze sobą powiązane i gdy udało się zatruć jeden z nich, wirus rozprzestrzenił się na całą ich flotę. Nagle wszystkie okręty pajęczaków zaczęła drążyć choroba. Ponoć znikają jeden po drugim. Nikt nie wie, co się z nimi stało.

Sandra milczała. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Z tego, co zrozumiała, Ahaswer doprowadził do zniszczenia potężnych Khon-Ma, którzy uchodzili niemal za bogów.

– Najeżdżając Almaaz, liczyłam, że od Tzittasa dowiem się czegoś więcej o planach Ahaswera. Niestety, spóźniłam się.

Mistrzynie delikatnie nałożyła cesarzowi diadem na głowę, a potem nagle ścisnęła tak mocno, że czaszka pękła. Trysnęła niebieska krew i gąbczaste resztki mózgu. Sandra szybko odwróciła wzrok, nie mogąc patrzeć na agonię Bahirianina.

– Nie będzie nam już potrzebny – rzekła mistrzyni. – Za jakiś czas dotrze tu dwudziesta druga flota cesarska pod dowództwem komodora Thraextetorusa, który ma ogromne ambicje. Dopilnujemy, żeby spełniło się jego marzenie. Z naszą pomocą zostanie cesarzem.

– Marionetkowym cesarzem – dodała Sandra, której cały czas zbierało się na mdłości.

Kobieta pokiwała głową.

– Dzięki niemu będziemy kontrolować Cesarstwo Bahiriańskie.

– A jeśli Thraextetorus się zbuntuje?

– Nie ma takiej opcji – odparła mistrzyni. – Będzie jednym z nas.

– Poddacie go modyfikacjom?

– Nawet nie będzie ich świadomy.

– Nie rozumiem.

– Potrafimy dokonać odpowiednich ingerencji w mózgu. To eksperymentalna technologia oparta na trójwymiarowych obwodach, które działają na poziomie molekularnym i używają sygnalizacji elektrochemicznej. Wszczepiamy procesor sterujący wspomnieniami. Obiekt pozostaje nieświadomy swojej prawdziwej natury, a jednocześnie realizuje zaimplantowane cele. Jego tożsamość pozostaje bez zmian.

Sandra pobladała.

– Szpieg na „Hajmdalu”...

– Zgadza się – potwierdziła mistrzyni. – Właśnie tak funkcjonuje. Jest nieświadomy tego, że przekazuje mi informacje. Dzięki niemu wiem, dokąd drednot zmierza.

– Admirał Kashtaritu zdradził to tylko kilku osobom. Kto nim jest?

– Jeszcze się nie domyśliłaś?

– Nie.

– To...

Nagle mistrzyni odwróciła głowę i wbiła wzrok w Pytię. Oczy kobiety straciły

niebieską barwę i w całości wypełniły się bielą. Przewijały się na nich velmeńskie symbole. Mistrzynie trwała nieporuszona przez dobrą minutę, najwyraźniej sprzężona z Pytią. Wreszcie zamrugła, oczy odzyskały zwykłą barwę, symbole zniknęły.

– Pytia zlokalizowała Ahaswera – rzekła. – Znajduje się w systemie Chi Aurigae.

– Powinno mi to coś mówić?

– Tam obecnie stacjonuje „Hajmdal”.

Sandra nie wiedziała, co o tym sądzić. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Nie miała pojęcia, jakie zamiary ma Ahaswer wobec ludzi. Stwierdziła, że i tak nie ma to żadnego znaczenia. „Hajmdal” i jego załoga stanowiła dla niej przeszłość. Tymczasem ona znajdowała się tutaj wraz z matką, którą wreszcie odnalazła.

– Co teraz?

Mistrzynie spojrzała na nią bez cienia emocji.

– Udamy się do miejsca, gdzie zmierza „Hajmdal”. Tam wszystko się rozstrzygnie. Zakończymy to.

– My?

– Tak. – Mistrzynie skrzywiła usta w grymasie uśmiechu. – Matka i córka!

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU

Wampir był szybki. Bardzo szybki. Ezra nie zdążył nawet mrugnąć, gdy krwiopijca przypadł do niego i uderzył szponiastą dłonią. Leahy wylądował na ścianie, uderzając w nią mocno plecami. Cudem nie stracił przytomności. Nie miał czasu na złapanie tchu, bo przeciwnik był już przy nim. Przymierzał się do zadania kolejnego ciosu. Ezra nie czekał. Machnął toporem. Wampir bez najmniejszego trudu chwycił broń, wyszarpnął ją i odrzucił. Poleciała daleko poza świątynię. Następnie Luusaat chwycił sierżanta za bluzę, dźwignął w górę i cisnął nim o podłogę.

Ezra na chwilę stracił oddech i możliwość ruchu. Luusaat podszedł do niego i przykucnął. Przechylił groteskowo głowę i przyglądał się przeciwnikowi. Człowiek próbował się podnieść, ale wampir położył dłoń na jego klatce piersiowej i bez trudu ponownie przyspilił ofiarę do ziemi. Następnie sięgnął do lewego ramienia Ezry i zerwał z munduru emblemat przedstawiający Ziemię z zarysem kontynentów. Symbol Federacji Terrańskiej. Usta wampira wykrzywiły się w grymasie.

– Ziemia – rzekł. – Nasza wspólna ojczyzna. Macierzysta planeta, która już nie istnieje. Różnica polega na tym, że ja spędziłem tam tysiące lat i nie mam w stosunku do niej żadnych sentymentów, ty zaś nigdy jej na oczy nie widziałeś, a kultywujesz pamięć o niej. Dziwnie to się czasem układa.

– Oszczędź mi tych farmazonów – prychnął Leahy. – Po prostu zakończ sprawę. Wygrałeś. Wykończ mnie.

– To zbyt proste – odparł stwór. – Nie wystarczy cię zabić, muszę cię złamać.

– Złamać? Czego ty ode mnie jeszcze chcesz, pierdolony skurwysynu?!

– Pragnę, żebyś skomlał o litość.

Ezra czuł, jak ogarnia go złość. Gniew, który nagle się gdzieś narodził i za wszelką cenę pragnął znaleźć ujście.

– Nigdy!

Odepchnął wampira tak mocno, że ten się przewrócił. Zaskoczyło to Ezrę, ale nie miał czasu zastanawiać się, skąd wziął w sobie tyle siły. Zerwał się z ziemi i zaczął rozglądać za czymś, co mogłoby posłużyć jako broń. Nic takiego nie znalazł. Spojrzał ponownie na Luusaat, ale stwora już nie było w poprzednim miejscu. Stał za plecami człowieka.

W wyuczonym odruchu Leahy wykonał błyskawiczny unik, wykręcił się i wyprowadził kopnięcie w głowę przeciwnika. Ale wampir zdążył wykonać blok. Sierżant poprawił z półobrotu, ale i to kopnięcie zostało zbite. Nie namyślając się długo, uderzył łokciem, czując, jak trafia w pergaminową twarz krwiopijcy. Ten

odskoczył krok i zaczął się śmiać.

– Całkiem nieźle – przyznał. – Oczywiście jak na człowieka.

– Sam powiedziałaś, że nie jestem zwykłym człowiekiem. – Ezra uśmiechnął się drapieźnie. Z każdą chwilą zyskiwał coraz większą pewność siebie. Zdjął poszarpaną bluzę, której luźno wiszące skrawki tylko przeszkadzały mu w walce. Odślonił nagi tors, ozdobiony talizmanem wiszącym na srebrnym łańcuszku.

– To nie ma znaczenia – rzekł Luusaat. – I tak przegrasz.

– Miałaś swoją szansę, skurwysynu. Nie wykorzystałaś jej. Teraz moja kolej.

Sierżant Ezra Leahy jeszcze półtora roku temu był zwykłym szeregowym, niczym niewyróżniającym się żołnierzem, który schodził z drogi szturmowcom z Plutonu A. Wówczas nie miałby żadnych szans w walce wręcz z żadnym ze swoich prześladowców. Dzisiaj nie tylko był dowódcą elitarniej jednostki wojsk rozpoznawczych, muskularnym mężczyzną i doświadczonym w boju żołnierzem, ale również wojownikiem, gotowym w pojedynkę stawić czoło straszliwemu Luusaat.

Skoczył do przodu, markując uderzenie w twarz, ale zaraz błyskawicznie pochylił się i próbował podcięcia. Bezskutecznie – wampir zręcznie uniknął ciosu. Ale Ezra nie poddawał się. Przekoziółkował i wstając, wyprowadził proste kopnięcie. Trafił. Wampir zawył z wściekłości i bólu. Natychmiast jednak przystąpił do kontrataku. Próbował chwycić sierżanta, ale ten wyslizgnął mu się dzięki temu, że nie miał już na sobie bluzy mundurowej, a jego ciało było śliskie od potu. Natomiast sam Leahy nie miał problemu, żeby złapać wampira za szaty, szarpnąć, podstawić biodro i cisnąć przeciwnikiem o podłogę. Nie tracił czasu, żeby sprawdzić, jaki to wywołało efekt. Przypadł do Luusaat i zaczął go okładać pięściami.

Nie wystarczyło.

Krwio pijca zrzucił z siebie Ezrę, błyskawicznie wstał i sięgnął pazurami, pozostawiając krwawe ślady na piersi wroga. Leahy cofnął się o krok, ale i tak dosięgło go następne uderzenie. Tym razem rozorało mu ramię. Kolejny cios trafił w brzuch. Zwiadowca zgiął się wpół. Wampir nie próżnował. Doskoczył do niego, chwytając mocno i pewnie, a następnie cisnął człowiekiem o ścianę. Ezra uderzył w nią twarzą. Impet złamał mu nos i rozkwasił usta. Poczował słodki smak krwi. Bólu już nie czuł.

Luusaat znowu był przy nim. Złapał go i rzucił przez całe pomieszczenie. Na szczęście martwy skrzydlaty stwór wbity w ścianę zamortyzował udar. Leahy podniósł głowę i zamglonym wzrokiem spojrział przed siebie. Przez wyłom widać było odległe światła Sāpiry. Pomiedzy miastem i świątynią majaczyły pojedyncze płomienie pochodni. To nadciągał Voazona ze swoją gwardią. Przybędzie jednak za późno. Ezra będzie już martwy.

Odwrócił się, żeby spojrzeć w twarz oprawcy. Wampir zbliżał się powoli, z gorejącymi czerwienią oczami. Leahy wiedział, że tym razem obrzydliwiec go

zabije. Czas na rozmowy już minął. Pazurami rozedrze gardło i pożywi się krwią. A potem zniknie w mroku nocy.

Ezra próbował stać dumnie wyprostowany, ale rany i zmęczenie na to nie pozwoliły. Oparł się plecami o tułów jaszczura. Hardo spoglądał na wampira, gdy ten stanął tuż przed nim.

– Nie będę błagał o litość – wychrypiał.

– Wiem – odparł Luusaat, a w jego głosie zabrzmiał podziw. – To była dobra walka. Okazałeś się godnym przeciwnikiem, sierżancie Leahy.

Uniósł rękę do ciosu, ale go nie zadał. Bo nagle zajął się płomieniami. Ryknął przeraźliwie i odwrócił się. Za jego plecami stał Jeremiasz Ruon z miotaczem. Oszałały z bólu wampir uderzył go na odlew w twarz, tak mocno, że szturmowiec znalazł się na ziemi. Ogień na ciele Luusaat nagle wygasł i oczom Ezry ukazało się na wpół zwęglone ciało. Krwiopijca nadal jednak był groźny. Odwrócił się w stronę zwiadowcy, żeby dokończyć dzieła.

Leahy desperacko szukał ratunku. Za plecami namacał gałąź, wbija w skrzydło martwego zwierzęcia, złamał ją i tą prowizoryczną maczugą uderzył z całych sił, celując w głowę przeciwnika. Ten zablokował cios ręką i drewno pękło. W akcie rozpaczony Ezra rzucił się ostatkiem sił na wampira, wbijając mu ostry ułomek prosto w pierś, na wysokości serca.

Luusaat zachwiał się i spojrzał z niedowierzaniem na kawałek drewna. Z ust popłynęła mu krew. Po chwili runął bez życia na ziemię.

Przez kilka sekund Ezra stał bez ruchu, gapiąc się na martwego wampira. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę mu się udało. I zrobił to kawałkiem drewna, zupełnie jak w dawnych ziemskich legendach.

Roześmiał się.

– Udało nam się! – krzyczał radośnie Ruon, zbierając się z podłogi.

Leahy spojrzał na niego krytycznie.

– Nam?

– Przecież gdyby nie ja, ten stwór by cię rozszarpał – odparł szturmowiec, badając, czy ma całą szczękę. Na jego brodzie już pojawił się spory krwiak.

Ezra niechętnie musiał przyznać mu rację. Gdyby nie jego pomoc, byłby już martwy. Nie chciał jednak przyznać, że Jeremiasz Ruon, ten wredny sukinsyn, uratował mu życie.

– Wynośmy się stąd – burknął tylko. Świece dogasały, świątynia pogrążała się w mroku. Zadrżał na myśl, że gdzieś w ciemnościach czai się Pytia.

Schodzili z zigguratu ramię przy ramieniu. Zwiadowca i szturmowiec.

– Jesteśmy kwita? – zapytał Ruon.

Ezra nie odpowiedział od razu. Zmrużył oczy, spoglądając na jaszczurzych wojowników, którzy trzymając w dłoniach pochodnie, zaczęli wspinaczkę na wieżę.

Chciał do nich krzyknąć i powiedzieć, że nie ma się dokąd spieszyć, ale uświadomił sobie, że i tak go nie zrozumieją bez tłumacza.

– Nadal nie usłyszałem przeprosin – rzekł do Ruona. Szturmowiec spojrzał na Ezrę z niedowierzaniem, a następnie wybuchnął gromkim śmiechem. Jednak zaraz się opanował, jego twarz stężała. Szli przez chwilę w milczeniu.

– Zdaje się, że będziesz potrzebował nowych ludzi do oddziału – pierwszy odezwał się szturmowiec.

Ezra poczuł ból w sercu. Przypomniawszy sobie o śmierci Funke i Gonzaleza. A dzisiaj mógł stracić również Abigail.

– To prawda – odparł sucho.

Wtem Jeremiasz Ruon przystanął, wyprężył się jak struna i zsalutował.

– Byłbym zaszczycony, mogąc służyć pod pana dowództwem, sierżancie Leahy – rzekł. – I...

– Tak?

– Przepraszam.

SYSTEM CHI AURIGAE

OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”

Na drednocie panowała pora nocna. Światła przygasty, wymienniki powietrza cicho szumiały, wszędzie panowała błoga cisza i spokój. Okręt poruszał się ustalonym kursem, zmierzając ku krańcom systemu, gdzie bezpiecznie mógł dokonać skoku w nadświatłą. Trudno było uwierzyć, że jeszcze kilka godzin wcześniej uczestniczył w kosmicznej bitwie. Po starciu z Luusaat pozostało tylko wspomnienie.

Ezra Leahy przemierzał puste korytarze. Mimo potwornego zmęczenia nie mógł spać. Zbyt wiele myśli kłębiło mu się w głowie, za dużo miało nim uczuć, żeby przejść nad tym do porządku dziennego.

Dzisiaj kolejne kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce. Okazało się, że ludzie nie byli pierwszymi inteligentnymi istotami na Ziemi, a historie o wampirach nie zostały wyssane z palca. Tę rewelację jednak przyćmiła wiadomość, która rozeszła się lotem błyskawicy, i gdy Pluton 7 wrócił z Manju, cały okręt już o tym huczał. Dotyczyła pochodzenia Velmenów.

Jajogłowi spierali się, czy można ich jeszcze nazywać ludźmi, czy stanowią już odrębny gatunek. Jedni argumentowali, że najważniejsza jest ludzka świadomość zawarta w stalowych ciałach, inni dowodzili, że ich mentalność i biologia są zupełnie różne. Torres opowiadała się przy tej drugiej koncepcji, twierdząc, że procesy ewolucyjne powodują przemiany, a przechodzenie jednych gatunków w inne to rzecz nieunikniona. A Ezra ufał jej osądowi.

Jego myśli podążyły w stronę kobiety, którą kochał. Rana, jaką odniosła w starciu z wampirami, okazała się na tyle poważna, że Abigail musiała pozostać na noc w ambulatorium. Lekarze twierdzili, że nie zagraża życiu, ale woleli nie ryzykować. Leahy siedział przy jej łóżku i rozmawiali, dopóki nie zasnęła. Potem poszedł do swojej kajuty, położył na koi, ale wiercił się tylko niespokojnie. Nie wytrzymał i po kwadransie wyruszył na wędrowkę po okręcie.

Przy kwaterach w dziobowej części spotkał obejmującą się parę, która wracała z pokładu widokowego. Mężczyzna był postawnym brunetem w stopniu podporucznika floty. Ezra kojarzył go tylko z widzenia, natomiast w dziewczynie rozpoznał Valerię. To ona opowiedziała Abigail o losie Nelsona. Mijając ich, skinął jej głową. Odpowiedziała bladym uśmiechem. Ona pewnie też nie miała łatwego dnia.

Ezra wrócił do rozmyślań o Abigail. Zastanawiał się, ile prawdy było w wizji, którą przekazała jej Pytia. Czy naprawdę będą mieć dziecko? A jeśli ta przepowiednia się spełni, to czy inne też mają szansę się zrealizować? Zostanie bohaterem wojennym, Federacja Terrańska zyska miano imperium, a ludzkość będzie władać Galaktyką?

Pytia stwierdziła, że nic nie jest raz na zawsze ustalone, a przyszłość pozostaje zmienna i zależy od wielu czynników. Na razie jednak wypełniła się przepowiednia względem Tiraha i Funke.

Posmutniał. Podczas dzisiejszej misji stracił dwoje ludzi. Od momentu gdy objął dowodzenie nad plutonem, wiedział, że prędzej czy później to nastąpi. Czuł żal i złość. Jednak pojawiło się coś jeszcze. Poczucie winy.

Z jednej strony wiedział, że nie popełnił błędu. Na wojnie ludzie ginęli. Po prostu, taki jest żołnierski los. Z drugiej jednak strony zadręczał się tym, że mógł pewnie zrobić coś więcej, lepiej zadbać o podkomendnych, ochronić ich. Przecież na niego liczyli, ufali mu. To on był dowódcą. Czuł, że ich zawiódł. Nie tylko Gonzaleza i Funke, ale cały pluton.

Nogi same zaprowadziły go pod drzwi kajuty Tobiasa. Zatrzymał się i stał przed nimi dobry kwadrans. Zastanawiał się, co mógł powiedzieć przyjacielowi. Czy jakiegokolwiek słowa pocieszenia przyniosą ulgę? Miriam zginęła, odeszła na zawsze i nic nie przywróci jej życia.

Ezra pomyślał, że może powinien pójść na dziób okrętu, do zapieczętowanego luku torpedowego, gdzie bosmanmat Kavanagh potajemnie pędził bimber, i zaopatrzyć się w butelkę albo dwie. Upiliby się z Bishopem, próbując zapomnieć o stracie, żalu i bólu. A także o strachu.

Jednak uznał, że to nie jest dobry pomysł. Alkohol nie rozwiązywał żadnych problemów i przynosił tylko chwilową ulgę.

Nacisnął przycisk otwierający drzwi i zobaczył Tobiasa. Nawet nie przebrał się po misji. Siedział na koi w zakrwawionym mundurze, brudny, ze łzami w oczach. Spoglądał nieobecny wzrokiem w ścianę.

Ezra usiadł przy nim i trwali tak w milczeniu.

Tylko to mógł mu ofiarować.

* * *

Mężczyzna zamrugał. Zdumiony, rozglądał się po centrali informatycznej, która o tej porze świeciła pustkami. Wzdłuż ścian ciągnęły się repozytoria cyfrowe, przechowujące pliki, okablowane serwery i węzły komunikacyjne. Większość komputerów, umieszczonych w szafach stelażowych, pozostawała w uśpieniu, inne pracowały pełną mocą, analizując pakiety danych i przetwarzając informacje docierające ze wszystkich systemów drednota. Kontrolowały ich sprawność i regulowały wszelkie odstępstwa od normy. Chronione zaporami sieciowymi, programami antywirusowymi i monitorującymi oraz skanerami rezydentnymi,

praktycznie uniemożliwiały cyfrowe włamanie. Przynajmniej tak twierdziła chorąży Gaumata, która pomagała je instalować. Ale nawet ona nie dawała gwarancji, że Velmeni nie zdołają zhakować systemów „Hajmdala”, jak to już raz miało miejsce.

Mężczyzna zastanawiał się, co tu robi. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, było to, że po służbie udał się do swojej kajuty, zmęczony, rzucił się na koję i zasnął. To był naprawdę ciężki dzień. Należał mu się zasłużony odpoczynek. A teraz stał w pełnym umundurowaniu, nie mając pojęcia, jak tu się znalazł.

Na jego twarzy pojawił się strach. To nie zdarzyło się po raz pierwszy. W ciągu ostatniego roku był to już siódmy taki przypadek. Zawsze było tak samo. Kładł się spać we własnej kajucie, a budził się w dziobowej części okrętu. Trzykrotnie w centrali informatycznej, a czterokrotnie na korytarzu prowadzącym właśnie do niej. Podejrzewał, że za każdym razem przebywał tę samą drogę.

Poważnie martwił się o te dziury w pamięci. Nie miał pojęcia, skąd się brały. Przecież nie pił alkoholu, nie zażywał narkotyków, substancji psychoaktywnych ani leków. Może lunatykował?

Uznał, że mogą to być objawy jakiejś choroby, i stwierdził, że w najbliższym czasie uda się do sekcji medycznej, zrobi wszystkie niezbędne badania i porozmawia o swoim problemie z doktor Dheran. Zaraz jednak na jego czole pojawił się głęboki mars. Instynktownie czuł, że nie może tego zrobić. Coś go dosłownie odrzucało od tego pomysłu.

Na pewno miało to związek z tym, że był wysokiej rangi oficerem na drednocie i nie mógł pozwolić, żeby coś wpłynęło na jego opinię oraz pozycję. Najmniejsze podejrzenia mogły nie tylko zaważyć na karierze we flocie, ale również postawić go w stan oskarżenia. A to mogło skończyć się sądem wojskowym. Było jednak coś jeszcze – dręczył go jakiś nieuświadomiony lęk.

Szybko ruszył w stronę grodzi. Pragnął jak najszybciej znaleźć się w swojej kajucie i zapomnieć o tym niecodziennym spacerze. Idąc przez pokład, krył się w cieniu. Nie chciał, żeby ktokolwiek go rozpoznał. To było niedorzeczne, ale z jakiegoś powodu wiedział, że postępuje słusznie.

* * *

Nathaniel Kashtaritu nie mógł zasnąć. Podniósł się na łokciu i zaczął przyglądać się Camirze leżącej obok. Spoglądał na jej ciemne włosy, przetykane siwizną, sieci zmarszczek w kącikach ust i głębokie cienie pod oczami, stwierdzając, że nigdy nie widział tak pięknej kobiety. Kochał ją i dzisiaj nie wstydził się tego wyznać. Ona odpowiedziała tym samym i poczuł, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Wtem zmarszczył brwi. Mógł ją dzisiaj stracić. Z raportu wynikało, że niewiele brakowało, a zginęłaby rozszarpana przez wampira. Admirał obiecał sobie, że już nigdy nie narazi jej na takie niebezpieczeństwo. Nie narazi nikogo z załogi.

Musiał przyznać, że starcie z flotą Luusaat nie było najlepszą decyzją. Ponieśli duże straty. Ale nie mógł postąpić inaczej. Jeśli Federacja Terrańska miała przetrwać, a człowiek pozostać człowiekiem, musiał robić to, co było konieczne. Tak nakazywało sumienie. Nie mógł pozwolić, żeby Luusaat zmasakrowali mieszkańców Manju. Gdyby można było cofnąć czas, wydałby takie same rozkazy.

Delikatnie wyswobodził się z objęć Camiry, z czułością całując ją w czoło. Uśmiechnęła się przez sen. Admirał wstał, owinął się szlafrokiem i podszedł do prywatnego terminala. Włączył hologram i zaczął przeglądać dokumenty. Czekąco go dużo pracy i miał wiele decyzji do podjęcia, na przykład co zrobić z pułkownik Wheeler, która złożyła rezygnację z funkcji głównodowodzącej wojskami lądowymi. Poza tym należało wszcząć śledztwo w sprawie velmeńskiego szpiega, który przebywał na pokładzie „Hajmdala”. Ale teraz było coś jeszcze ważniejszego. Kashtaritu westchnął ciężko.

Otworzył plik, do którego tylko on miał dostęp. Obejrzał się. Camira spała.

Mężczyzna skupił całą uwagę na wyświetlanych danych. Przedstawiały koordynaty miejsca, do którego zmierzał „Hajmdal”, oraz jego wizualizację w paśmie widzialnym. Długo przyglądał się feerii czerwono-fioletowych barw, zauroczony niecodziennym widokiem. Wreszcie pokiwał głową, wywołał kod identyfikacyjny okrętu Ahaswera i posłał mu całą zawartość pliku.

Miał nadzieję, że to dobra decyzja.

Musiał zaufać Ahaswerowi. Zresztą wszystko wskazywało na to, że mistrzyni naprawdę wie, dokąd zmierza „Hajmdal”. Ale o jednej rzeczy nie wiedziała. Nikt nie wiedział, poza nią.

Admirał Kashtaritu uśmiechnął się samymi kącikami ust.

* * *

Abigail Torres dręczyły koszmary.

Trudno się dziwić. Kobieta przez lata przebywała na tocz-emie, uwięziona w pajęczym kokonie, a okręt wysysał z niej siły życiowe. W krótkich przeblyskach świadomości widziała rzeczy przerażające. Czasami były to ohydne kształty przemykające w mroku, innym razem olbrzymie żyły, nabrzmiałe tętnice i błoniaste, pulsujące ściany. Dotykały jej oślizgłe macki, wpatrywały w nią paciorkowate oczy, emanujące ponadczasowym okrucieństwem. Ale to nie wspomnienia dręczyły Abigail

Torres. To było coś zupełnie innego. W blasku czerwonego karła widziała spaloną słońcem powierzchnię jakiegoś globu. Popękana i porwana kraterami równina zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Gdzieś wyrastały czarne, skarłate drzewa, zupełnie pozbawione liści. W przecinających pustkowie głębokich rozpadlinach bulgotała lava, a rozległe kratery wypełniał popiół. Od czasu do czasu z gejzerów strzelały języki ognia. Całości dopełniały ohydne brązowe chmury i żółta mgła unosząca się nad planetą. Abigail czuła odór powietrza.

Torres zdawała sobie sprawę, że znajduje się teraz na szpitalnej pryczy, a wszystko co widzi, jest tylko snem, majakiem spowodowanym gorączką lub traumatycznymi przeżyciami ostatnich godzin. Jednak to, czego doświadczała, było niezwykle realne, podobne do wizji, jaką miała w świątyni Pajęczej Bogini na Manju. Zastanawiała się, czy to możliwe, żeby takie miejsce istniało naprawdę. A ona doznaje kolejnego widzenia...

Wtem z żółtej mgły wyłoniły się jakieś postacie. Wlekły się noga za nogą, odarte i wycieńczone. Najpierw ujrzała łysego mężczyznę, którego twarz pokrywał ruchomy tatuaż. To był kolorowy smok, przemykający przez czoło, następnie przez policzek i pikujący w dół, żeby w okolicach ust zionąć ogniem. Nigdy wcześniej nie widziała tego mężczyzny, ale podświadomie wiedziała, że on istnieje naprawdę. Na pewno nie był wytworem jej wyobraźni.

Obok niego szła chuda kobieta w średnim wieku, o twarzy zmęczonej, pozbawionej jakichkolwiek emocji. Zgasłe oczy mówiły, że już dawno się poddała i zaakceptowała swój los. Jej również Abigail nigdy wcześniej nie widziała.

Tuż za nią człapał chłopiec o wystraszonej obliczu i przetłuszczonych włosach, chudy i niski. Cały czas spoglądał pod nogi, jakby bał się spojrzeć na to, co znajduje się przed nim. Nieco dalej Abigail dostrzegła kobietę o płomiennych włosach i skrzących się zielenią oczach. Pomimo brudu i zmęczenia malującego się na jej twarzy nie sposób było nie zauważyć jej atrakcyjności. Torres nie знаła tych ludzi.

I na końcu szedł on.

Serce Abigail zaczęło bić jak oszalałe. Obudziła się i usiadła na łóżku, łapczywie łykając powietrze.

– On żyje – wyszeptała. – Uriah Nelson żyje.

KONIEC TOMU 4

Spis treści

SYSTEM TAU CETI USHAKIJSKI FRACHTOWIEC „QUASIMODO”
SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”
SYSTEM ALMAAZ ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY
SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”
SYSTEM CHI AURIGAE PROM DESANTOWY „NADIR”
SYSTEM ALMAAZ ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM ALMAAZ ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE SEKTOR CENTRALNY
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM ALMAAZ ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM ALMAAZ PROM „ZENIT”
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM ALMAAZ ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM ALMAAZ ARDHANARIAŃSKI PROM DYPLOMATYCZNY
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE SEKTOR CENTRALNY
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM ALMAAZ PROM „ZENIT”

SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM ALMAAZ PAŁACOWA PLANETA NŪSHEN
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM ALMAAZ PAŁACOWA PLANETA NŪSHEN
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM ALMAAZ PAŁACOWA PLANETA NŪSHEN
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE VELMEŃSKI PANCERNIK
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM ALMAAZ PAŁACOWA PLANETA NŪSHEN
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE VELMEŃSKI KRAŻOWNIK
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM ALMAAZ PAŁACOWA PLANETA NŪSHEN
SYSTEM CHI AURIGAE MGLISTA PLANETA MANJU
SYSTEM CHI AURIGAE OKRĘT FEDERACJI TERRAŃSKIEJ „HAJMDAL”